

WYDANIE SPECJALNE
NA ŚWIĘTA

17132
STRONY

WIKŁO:
BYŁEM NA GRANICY
Z BIAŁORUSIĄ

PREZES OBAJTEK DLA „SIECI”:
FUZJA Z LOTOSEM I PGNiG
JEST POLSKĄ RACJĄ STANU

ROKITA:
WSPOMNIENIE
Z GALILEI

PAŁKIEWICZ:
ŚWIĘTA POD OKIEM
FBI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 51 (473) 2021
20–26 grudnia 2021

CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROROCTWA
ZAPOWIADAJĄCE

NADEJŚCIE JEZUSA

GRZEGORZ GÓRNY ODKRYWA KOLEJNĄ
Tajemnicę BOŻEGO NARODZENIA



Prezentami rządzisz

Nowy superpakiet ze sportem **już za 60 zł/mies.**

Dekoder polsat box I 4K lite **za 1 zł.**


polsat sport
premium

Na start
3 miesiące
pełnej oferty TV bez opłat



polsat box 

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach na pakiet M Sport ze zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za Internet. Technologia kablowa IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. „Od 1 zł” – opłata uiszczana przy podpisaniu umowy dotyczy aktywacji i udostępnienia dekodera. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. Oferta ważna na dzień 13.12.2021 r.

Niech ten wyjątkowy czas będzie dla nas wszystkich
źródłem odnowionej wiary. Niech w naszych domach
nie zabraknie miłości i radości, a w naszej ukochanej Ojczyźnie
nadziei i pokoju.

Zdrowych, spokojnych i pełnych rodzinnego ciepła
świąt Bożego Narodzenia

życzy Czytelnikom
redakcja tygodnika „Sieci”

Musimy być razem

Dla obozu propolskiego to był trudny rok. Liczne przeciążenia, w większości wynikające z czynników zewnętrznych, od światowej inflacji, przez niekończącą się epidemię, po zmianę władzy w USA i atak ze strony Brukseli, nieraz stawiały pod znakiem zapytania możliwość przetrwania kryzysu. Niezwykle wymagającym egzaminem była obrona polskiej i jednocześnie unijnej granicy w obliczu ataku hybrydowego.

A jednak, mimo wszystko, dziś poparcie dla Zjednoczonej Prawicy wynosi trwale niemal 40 proc. w grupie wyborców zdecydowanych. Premierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu udało się także odbudować kruchą, jednak stabilną większość parlamentarną. Trwa wdrażanie głównych elementów Polskiego Ładu, co – wbrew propagandzie obozu III RP – znacząco poprawi dochody 90 proc. pracujących Polaków.

Koniec politycznego roku pozwala na stwierdzenie, że nie udał się plan mocodawców przysłanego z powrotem nad Wisłę Donalda Tuska: blitzkriegu nie było. Ani rozpętane jesienią ubiegłego roku manifestacje, ani wyrwanie kilku posłów z ram Zjednoczonej Prawicy nie dało opozycji władzy. Także szokujące z punktu widzenia prawa polskiego i europejskiego blokowanie Krajowego Planu Odbudowy, i co za tym idzie należnych nam pieniędzy, przyjmowane jest przez polską opinię publiczną dość spokojnie. Patrząc

na to wszystko, można zaryzykować tezę, że fundamenty zmiany wybranej przez Polaków w roku 2015 pozostają mocne. Trzecia kadencja obozu Kaczyńskiego jest możliwa. Duża w tym zasługa wielu zwykłych Polaków, którzy bronią prawdy w swoich środowiskach, miejscach pracy, wobec kolejnych fal nagoniek, kampanii zniesławiających porządných ludzi. Za to należą się każdemu słowa uznania.

Niestety, im dłużej obóz III RP pozostaje w opozycji, tym częściej wybiera skrajności programowe. Szukając przełamania politycznego i sojuszników, gotów jest do przyjęcia każdego, nawet ekstremalnie szkodliwego, postulatu. Konieczny będzie w najbliższych latach duży wysiłek w obronie polskości, chrześcijańskiego dziedzictwa, życia. Te wartości będą niezwykle mocno atakowane. A także spistość i suwerenność państwa polskiego, bo staje się jasne, iż wizja brukselsko-opozycyjna to jakieś landy w miejsce Polski, podporządkowane bezpośrednio Brukseli i Berlinowi. Głos Polaków w takim układzie niewiele będzie znaczył. Na tym właśnie polegać mają owe „stany zjednoczone Europy”.

Jest możliwe, że kolejne lata będą równie trudne, jak ten mijający rok. Na całym świecie robi się

niespokojnie, a na Wschodzie szczególnie. Tym bardziej musimy być razem. Musimy być dzielni. Musimy zachować wiarę. Jeśli to się uda, dzielni Polacy znowu wygrają.

Michał Karnowski




48

Nasz sondaż:
wymarzony prezent
Polaków pod choinkę
Dorota Łosiewicz


82

O sekretach małżeństwa
Sobieskich z prof.
Aleksandrą Skrzypietz
rozmawia Piotr Ślabek


103

Karp i cała reszta
Anna Monicka

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **ŚWIĘTE BAŁWANY**
Krzysztof Feusette
- 9** **POWROTU NORMALNOŚCI!**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12** **CAŁUŚNIK I ZAZDROŚNIK**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 14** **BOŻE NARODZENIE,
A PRYWATNOŚĆ RELIGII**
Bronisław Wildstein
- 16** **WALIZKA BARTOSZA RUTKOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 18** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19** **BLISKOŚĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 20** **HISTORIA, KTÓRA WYCHODZI
Z SZAFY I WALI NAS W ŁEB**
Samuel Pereira

BOŻE NARODZENIE

- 24** **PROROCZTA O JEZUSIE**
Grzegorz Górny

KRAJ

- 28** **ZA DNIA PIEKŁO ZAMARZA**
Marcin Wikło
- 32** **WYGRANI I PRZEGRANI 2021**
Konrad Kołodziejcki
- 36** **PLAN BEZ PLANU**
Stanisław Janicki
- 38** **MICHNIK U „BANALNEGO
POLSKIEGO PATRIOTY”**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 40** **Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawiają Michał Karnowski
i Maciej Wośko

ŚWIAT

- 44** **POLSKIE ROLNICTWO NIE
PRZETRWA EUROPEJSKIEJ
POLITYKI KLIMATYCZNEJ**
Marek Budzisz

POD CHOINKĘ

- 48** **NASZ SONDAŻ: WYMARZONY
PREZENT POLAKÓW POD CHOINKĘ**
Dorota Łosiewicz
- 50** **MITY I FAKTY O BOŻYM NARODZENIU**
Milena Kindziuk
- 54** **WSPOMNIENIE Z GALILEI**
Jan Rokita
- 58** **TWARZ MARYI**
Goran Andrijanić

- 60** **ANIELSKA TAKSONOMIA**
Przemysław Barszcz
- 64** **GWIAZDKA POD OKIEM FBI**
Jacek Pałkiewicz
- 70** **O SZCZĘŚCIU Z PROF. JANUSZEM
SYTNIKIEM-CZETWERTYŃSKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 74** **NIECH DALEJ ŻYJE BAŁ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 78** **OSTATNIA ROLA ORDONKI**
Wojciech Łada
- 82** **O SEKRETACH MAŁŻEŃSTWA
SOBIESKICH Z PROF. ALEKSANDRĄ
SKRZYPETZ**
rozmawia Piotr Ślabek
- 88** **IMPERIUM ELECTIVUM**
Andrzej Nowak
- 92** **NOWE BOGACTWA ZIEMI**
Konrad Kołodziejcki
- 96** **BIZNESY POLSKICH PIŁKARZY**
Cezary Kowalski
- 103** **KARP I CAŁA RESZTA**
Anna Monicka
- 108** **PRZEDOSTATNIA GWIAZDKA**
Krzysztof Logan Tomaszewski
- 110** **ZAWSZE JEST NADZIEJA**
Robert Tekieli
- 111** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 112** **POLECA**
Łukasz Adamski

NARODOWE ZBIORY

- 115** **ZAGRABIONE, ODZYSKANE. NA
TROPIE UTRACONYCH DÓBR KULTURY**
Dodatek

NA KONIEC

- 124** **NIE ZE MNĄ TE NUMERY...**
Wojciech Reszczyński
- 125** **CZARNO I BIAŁO**
Aleksander Nalaskowski
- 126** **ŚWIATŁO W MROKU**
Jan Pospieszalski
- 127** **SĄDY CENIĄ (CHRONIĄ) TALENTY**
Jerzy Jachowicz
- 128** **A MY ICH TRADYCJĄ!**
Ryszard Makowski
- 129** **BOŻONARODZENIOWO**
Leszek Długosz
- 130** **ZŁE ŚWIATŁA**
Katarzyna Zybortowicz



Narodowy Bank Polski wyjaśnia:

Czy NBP „drukuję puste pieniądze?”

NBP nie „drukuję pustych pieniędzy” jak twierdzą autorzy fake newsów publikowanych w mediach społecznościowych. We współczesnych gospodarkach rynkowych pieniądź kreowany jest przez banki komercyjne poprzez udzielanie kredytów. Banki, udzielając kredytu, tworzą nowy pieniądź, którego nie było przed udzieleniem tego kredytu.

Dokonując zakupu obligacji na rynku wtórnym, NBP nie „drukuję pustych pieniędzy”. Bank centralny nie zwiększa podaży pieniądza, kupując obligacje. Te zakupy są dokonywane głównie od banków komercyjnych, które – w zamian za sprzedane papiery wartościowe – otrzymują płatność na swoje rachunki w NBP.

Te operacje banków centralnych działają w kierunku zwiększenia płynności rynku obligacji oraz spadku ich rentowności. To zaś ułatwia lub umożliwia rządowi realizowanie programów fiskalnych, jak np. tarcze finansowe i to bez ponoszenia wysokich kosztów finansowania.

Dlaczego zatem zdarza nam się wypłacić nowe banknoty z bankomatu?

Banknoty i monety będące w obiegu ulegają zużyciu podczas ich używania, a w ich miejsce są wprowadzane nowe środki pieniężne. Nowe banknoty i monety w obiegu nie są więc efektem „druku pustego pieniądza”, a są rezultatem wymiany przez NBP zużytych egzemplarzy na nowe.



*Dbamy o wartość
polskiego pieniądza*

Sygnalista nadaje

🔊 Aktorka **Krystyna Janda** podjęła głodówkę – dla zdrowia. Opowiadając o tym w „Newsweeku”, zdołała jednak wpleść w swoją wypowiedź wątek inflacji: „Jak kupię bochenek chleba, to go dzielę i zamrażam. Na tydzień wystarcza. Ale ceny rosną. Widzę starszego pana w sklepie, który ogląda drożdżówki i pyta, ile kosztuje ta, a ile tamta. Gdy mówię, że mu kupię, zgadza się. Patrę na koszty stałe teatrów, na prognozy rachunków za prąd”. Cóż, za energetyczne szaleństwa Unii Europejskiej trzeba płacić. Może euroentuzjaści powinni płacić za prąd więcej?

🔊 Janda poza tym cierpi. „Boże, co mi jest? Dlaczego się budzę nie-szczęśliwa? A to jest mi Polska! Boli. Jest jak choroba nieuleczalna. Dookoła jest niedobrze, w Polsce i na świecie, nie ja to zrobiłam, ale budzę się z niejasnym poczuciem winy”. W ogóle świat jest szary: „Każde wyjście do sklepu, na ulicę. Ludzie są smutni, przestraszeni, przerażeni nawet, w każdym razie ci, którzy choć trochę myślą”. Wychodzi na to, że ci smutni to ci, którzy myślą. A może po prostu to ludzie zagrożeni depresją?

🔊 Marcin Duma, szef ośrodka badania opinii publicznej IBRIS, o swoich wrażeniach z fokusów, czyli pogłębionych badań jakościowych, z udziałem wyborców Koalicji Obywatelskiej. „Hm, imigranci, no cóż z nimi robić... No nie wpuszczać”. „Ale jak to? Zostawić w lesie?” – dopytujemy. „No nie, przywieźć im leki, jakieś namioty...”. „A jak oceniacie politykę rządu na granicy?”. I tu cisza. Nie wiedzą, co po-

wiedzieć, gryzą się wewnętrznie. „No może nie trzeba ich tak brutalnie wypychać, grzeczniej jakoś czy coś”. Może jesteśmy mniej podzieleni, niż sądzimy?

🔊 Jeszcze jeden fragment z wypowiedzi Marcina Dumy: „Tak naprawdę [wyborcy KO] uważają, że rząd dobrze robi, ale ciężko to powiedzieć na głos, bo wiadomo, że jak rząd jest pisowski, to musi robić źle. To burzy całą konstrukcję racjonalną i emocjonalną. Jak dociskamy i już naprawdę trzeba okazać humanitaryzm, no to słyhać: »To przyjmijmy kobiety z dziećmi, ale najlepiej wdowy«. I tak jesteśmy łaskawi”. W jednym z ościennych krajów przeprowadzono tajny sondaż, z którego wynika, że 42 proc. wyborców opowiada się za tym, by do nielegalnych imigrantów po prostu strzelać. A jest to kraj, który uważa, że jest bardzo zachodni.

🔊 Wyborcy swoje, politycy KO swoje. Europejski Janina Ochojska rozesłała swoim kolegom w Parlamencie Europejskim raport, w którym czytamy m.in., że na polsko-białoruskim pograniczu nie mamy do czynienia z kryzysem migracyjnym, tylko humanitarnym. „Strategia [polskiego rządu] polega na tym, aby osób przekraczających granicę możliwie szybko i za wszelką cenę się pozbyć – odesłać je z powrotem do Białorusi”. W sumie „Polska porzuciła standardy ochrony praw człowieka, ochrony uchodźców i uchodźczyń oraz podstawowe zasady humanitaryzmu”. Z kolei Janina Ochojska porzuciła wszelkie standardy lojalności.

Nie milkną
echa tańm,
które
ujawniła
Anita Gargas
w TVP, a na
których widać, jak
13 grudnia

2000 r. Michnik
wyznaje miłość
Jaruzelskiemu
i nie żałuje mu
komplementów.

Robert Bąkiewicz
zaapelował do prezydenta
o odebranie szefowi

„Gazety Wyborczej” Orderu
Orła Białego. „Człowiek, który
pachółka Moskwy nazywa
»polskim patriotą«, nie jest
godzien najwyższego odznaczenia
państwowego” – przekonuje prezes
stowarzyszenia Marsz Niepodległości.

To chyba przesada. Na razie wystarczy to,
co robi Agora.

🔊 Aktor Maciej Stuhr wciąż wierzy, że w Polsce jednoznacznie wygra jego obóz: „Łukaszenka jest krwawym dyktatorem, który desperacko trzyma się stółka. Ale władza każdego dyktatora tak i jego dobiegnie kresu. »Spisane będą czyny i rozmowy«. Po-dejrzewam, że za parę lat ze świecą będzie trzeba szukać na Białorusi tego, kto wspierał Łukaszenkę. W odpowiedniej skali i proporcji podobnie będzie kiedyś w Polsce – będziemy się zastanawiać, kto tak naprawdę głosował na Kaczyńskiego. I za jakiś czas trudno będzie takich ludzi znaleźć”. Tak już z dwie dekady powtarzają sobie tę bajeczkę.

🔊 I jeszcze jeden cytat z aktora Stuhra: „Generalnie trzymamy się pewnych wartości. A jednak przez tyle lat przed nastaniem tej władzy potrafiliśmy żyć koło siebie, cieszyć się, imprezować, świętować, potrafiliśmy po prostu razem żyć, a teraz jest to z roku na rok coraz trudniejsze. Dlaczego? Bo zostały obudzone lęki, że ci drudzy chcą nam coś zabrać, że musimy się bronić, musimy być bardziej radykalni, mocniej okopać się na swoich pozycjach i w ten sposób wpadliśmy w okropną spiralę”. A może to wybrzydło się bawiliście przed 2015 r.? To, że wam było fajnie, nie znaczy, że wszystkim było fajnie.

🔊 Dziennikarz Piotr Kraśko został skazany, bo przez sześć lat jeździł bez prawa jazdy. Po raz pierwszy stracił uprawnienia w 2009 r. Ponownie spotkało go to w roku 2014. Aby odzyskać dokument, musiałby ponownie zdać egzamin. Nie zrobił jednak tego. Wpadł podczas rutynowej kontroli na Podlasiu. „Prokuratura postawiła mu zarzuty, a Kraśko przyznał się do winy” – informuje „Super Express”. To chyba inny gatunek ludzki. A może inna kasta? Poczucie bezkarności może imponować, jest naprawdę głęboko zakodowane. To jak z noszeniem fraka – leży dobrze dopiero w trzecim pokoleniu.

🔊 Kraśko dostał parę tysięcy złotych grzywny, a więc jak na gwiazdę TVN kara była symboliczna. Dziennikarz przeprosił: „Odpowiadając na bardzo zasadne w tej sprawie pytanie: co on miał w głowie? Cokolwiek to było – było to bardzo głupie. I wstyd mi za to. Poniosłem konsekwencje prawne. Ale rozumiem, jak bardzo zawiodłem Państwa zaufanie. Zrobię wszystko, by na nie zasłużywać. Przepraszam”. Przeprasziny nie wystarczą, trzeba zacząć od rezygnacji z pouczenia całego świata.

🔊 Najsztub, Durczok, Kozidrak, Tusk, Kraśko – lista celebrytów, którzy w ostatnich latach popadli w kłopoty w związku z rutynowymi działaniami policji, jest z pewnością dłuższa. Łączy je to, że zdarzyły się w ostatnich latach, już po zmianie władzy. Czy wcześniej celebryci nie popadali w tego typu kło-

poty? Zapewne popadali, ale my o nich nie słyszeliśmy. Można sądzić, że były po prostu „gaszone” na bardzo wczesnym etapie. Znikały w czeluściach policyjnych notatników albo w szufladach przełożonych. Coś się jednak w Polsce zmieniło.

🔊 Wspominaliśmy już o inflacji, która sięga 8 proc., ale ma spaść na początku roku. Ekonomiczna twarz Platformy poseł Izabela Leszczyna wie, jak rozwiązać problem rosnących cen: „Jeśli chcecie, żeby ceny przestały rosnąć jak zwariowane, to trzeba spełnić jeden warunek: Polska musi mieć wolne sądy, wolne media i państwo musi przestrzegać wolności obywatelskich i praw człowieka. I na koniec przypomnam politykom PiS-u, że kobieta jest człowiekiem”. Kolejny dowód, że PO nadal brzydzi się samodzielnym myśleniem w dziedzinie ekonomii.

🔊 **Donald Tusk** odniósł się wreszcie do wielkiej afery na styku TSUE i Komisji Europejskiej, opisanej przez francuski dziennik „Libération”. „Wszystkie osoby wskazane w tej pseudoafery wyjaśniały publicznie przed organami Unii Europejskiej tę całą sytuację. Nie wszystkim musi się podobać, że ktoś z kimś je obiad, ale nikt nie złamał czy nie naruszył prawa, co potwierdza sam autor artykułu. Pytany wprost, czy chodzi o korupcję, czy przestępstwa, powiedział, że nie o to chodzi, tylko obyczaj nie taki”. Czyż nie tak tłumaczy się każda sytuacja?

🔊 Konfederacja zorganizowała przed Sejmem protest przeciwko obostrzeniom antycovidowym. Na nagraniu z tego wydarzenia widać, jak liderzy Konfederacji stoją na tle transparentu z napisem: „Szczepienie czyni wolnym” – zarówno samo hasło, jak i jego wygląd nawiązują jednoznacznie do napisu: „Arbeit macht frei” na bramie obozu zagłady Auschwitz-Birkenau. Jak widać, nie tylko nastolatkom powinno się organizować wycieczki do obozu, w którym Niemcy zamordowali co najmniej milion ludzi. A poza tym, to naprawdę wygląda jak rosyjski scenariusz.

🔊 Niemiecki „Bild” potwierdził, że to **Angela Merkel** blokowała dostawy broni na Ukrainę. „Oficjalnie jej rząd zawsze stał po stronie Ukrainy. Kanclerz i jej ministrowie spraw zagranicznych [...] wielokrotnie podkreślali, że suwerenność i integralność terytorialna kraju są dla Niemiec decydujące” – pisze dziennik. Ale fakty mówią co innego: „RFN od maja 2021 r. wykorzystuje mechanizm w ramach NATO, aby uniemożliwić innym członkom sojuszu sprzedaż Ukrainie broni”. Jeśli Polska podda się Niemcom w nadziei, że Berlin osłoni nas przed Rosją, skończy tak samo. Berlin nie chce nas chronić, ale chce się nami podzielić.



Zgodnie z dyrektywą Wysokiej Komisarz ds. Głównouprawnienia Federacji Europejskiej nr 24-12-00/2021, na mocy której chrześcijańskie korzenie naszego kontynentu powinny zostać poddane głębokiej samokrytyce – pozwólcie, że rozpoczniemy nasz podział łopatką, to znaczy opłatką, od minuty ciszy po tysiącach karpi, śledzi i choinek wprowadzanych w biały dzień, związywanych kablem i obwieszanych bombami, sorry, bombkami, ale i tak wyglądają jak bomby. To nie jest prawie to samo? Dość już tego nieznośnego sztafażu, który co roku towarzyszy świętom Bożego Narodzenia. Bo my jesteśmy za tradycją, jak najbardziej, ale to musi być tradycja nowoczesna, europejska, celowo podając w takiej kolejności, bo są tradycje europejskie nienowoczesne, na szczęście umierają.

Już kilka lat temu w „Głosie Nauczyciela” podnosiliśmy postulat, by zaprzestać terroru wierzących wobec niewierzących, tradycyjnych wobec nowoczesnych, rodzinnych wobec singlotwórczych, bo zawsze gdzieś ktoś może się obrazić. To nie są święta żydowskie czy muzułmańskie, żeby nie można było na nie ręki podnieść. A wizerunków świętych zastąpić choćby bałwankiem czy reniferem. Na szczęście dziś nie musimy już ukrywać się po kątach. Nasze dzieci wypatrują gwiazdki w telewizji śniadaniowej, nie na niebie, bo wiedzą, że nad głowami jest tylko atmosfera. Kosmiczna, nie świąteczna. Nie musimy się zaslaniać pełnieniem publicznych funkcji, gdy na opłatek reagujemy jak na święconą wodę, że wspomnijmy tylko Agatę Diduszkę z warszawskiego ratusza. Nie mamy obowiązku ścisnąć się z tymi, których nienawidzimy, tu przywołajmy słowa Katarzyny Lubnauer o tym, że „podział opłatkami” (jak to nazywa) nigdy nie był jej bliski, a w Sejmie to już w ogóle. Bo trudno usiąść z innymi politykami, a potem wołać „Na zdrowie!”. Zwłaszcza to ostatnie trzeba uznać za ciekawą wykładnię „dzielenia się opłatkami”, przeobrażonego tu w tradycyjne stukanie się kieliszkami. Oczywiście, w swoim gronie. Gronie ludzi życzliwych, otwartych, gotowych do dialogu, darzących szacunkiem drugiego człowieka.

Nie możemy więc zapomnieć o tych, bez których opiewywanie nie szłoby tak sprawnie. Z okazji święta Bałwana życzymy zatem Krystynie Jandzie, żeby w nowym roku wreszcie przestało jej lecieć na głowę to, co czuje, że wciąż leci. Bo potem znowu będzie na święta mówiła, że Polacy „są obrzydliwi”. Redaktorowi Michnikowi – aby i on sobie z tym poradził. Przecież wiadomo, że ludzie to robią z zawiści. Kto by nie chciał się całować z sowieckim namiestnikiem odpowiedzialnym za czystki antysemickie w '68, grudzień '70, tragedię Wujka, ofiary stanu wojen-

Święte bałwany



KRZYSZTOF FEUSETTE

nego. Krewnym i znajomym Michnika zaś – wytrwałości przy oczyszczaniu pomnika. Powinni dać radę, wszak zawodu uczył niektórych niejaki TW „Ketman” Maleszka, jeden z najlepiej opłacanych szpicli w komunistycznym reżimie, który potem, mimo zdemaskowania, w latach 2001–2008 „adjustował” teksty w gazecie Michnika. Czy mógł przypuszczać, że organ „legendy Solidarności” będzie potem bronić praw esbeków do wyższych emerytur? Że kwity na Wałęsę miała już nawet Kiszczakowa? Albo że na wyborczych listach PO znajdą się Miller, Cimoszewicz czy Belka, którzy będą w Brukseli grać demokratów? A dla kogo Tusk „liczył głosy” podczas „nocnej zmiany”? I czemu Czarzasty zamknął usta Frasyniukowi, mówiąc: „Myśmy się z wami, k..., dogadali”? Tyle pytań, a odpowiedź w jednym krótkim filmie z 12/13 grudnia 2000 r., którego nikt nie miał obejrzeć, a przypilnować tego miały, oczywiście, wolne media. Czy w noc wigilijną ktoś powie: „Przepraszam”? Oj, nawet niech się nie waży. Tacy ludzie są pomostem między starymi i nowymi czasami. Między dziadami i pradziadami, którzy umacniali demokrację ludową, a nami, którzy umacniamy demokrację liberalną. Ale zawsze chodzi o to samo: nowy, wspaniały świat, wolny od ludzkich wad. Tym serdeczniej dziękujemy włodarzom

Warszawy, Łodzi, Szczecina, Wałbrzycha pomysłu, by tegoroczne kartki bożonarodze..., wróć, świąteczne, oddać do zaprojektowania artystce, która, gdyby mogła, toby pewnie Kościół na stosie spaliła. A już na pewno piorunem zrobiłyby to jej idolki. W myśl zasady zatem, iż chcącemu nie dzieje się krzywda, wszystkim wyżej wymienionym życzymy takich właśnie świąt, jak z ich ulubionych świątecznych kartek. Pełnych szalonych lyżwiarzy, którzy z ośmioma gwiazdkami nad lodowiskiem „bez wyjątku dla wszystkich” popędzą w siną dal z szalikami na oczach. I żeby „świętowali po łódzku”, w otoczeniu jednorożców i wszelkiej innej rogacizny, z naciskiem na dwurożce zwane baranami. A stoły niech uginają się od szczecińskich paprykarzy, jak ugina się od niego świąteczna kartka z tego miasta.

Życzenia specjalne zaś skierujemy do najważniejszej telewizji na świecie, która z okazji 40. rocznicy stanu wojennego zaprosiła do studia rzecznika Urbana. Idź, złoto do złota, więc i dla TVN – pysznego Urbana na święto Bałwana. I pamiętajcie – żadnych opłatków, chyba że dla podziału. Żadnych życzeń czy szopki z Dzieciątkiem. Czy mamy się zniżać jak jacyś, pozał się Boże, Trzej Mędrcy czy Królowie do poziomu noworodka? Świętujemy przyjście śniegu, a komu się nie podoba, niech sobie po cichu kolędę zanuci. Ale tak, żeby sąsiadów nie urazić. Zwłaszcza tych z zagranicy.

Kilka tygodni temu polskie media obiegała historia 54-letniego pana Mariusza, który postanowił zamieszkać w lesie, bo miał dość pandemii. Mężczyzna nie chciał już słuchać, co media mają do powiedzenia o koronawirusie, testach i kolejnych obostrzeniach. Dlatego wykopał ziemiankę w świętokrzyskim lesie. Mężczyzna robił pranie w rzece, jadł to, co uzbierało, i cieszył się życiem. Mediom opowiadał, że interesuje się survivaliem, a w internecie znalazł filmik, jak zrobić ziemiankę i wpadł na kilka udogodnień. Pan Mariusz planował powrót do normalności, ale nie umiał powiedzieć, kiedy to nastąpi. Twierdził, że „normalność” to jest to miejsce, w którym się akurat znajduje. W swojej ziemiance długo nie zabawił i wyjechał z synem do Holandii. Ziemianka została i czeka na kolejnych zmęczonych pandemią.

Ucieczka pana Mariusza nie była pierwszą ucieczką przed pandemią. Na podobny, choć nieco bardziej spektakularny pomysł wpadł w marcu 2020 r. obawiający się zakażenia koronawirusem mieszkaniec Hiszpanii. Mężczyzna udał się na bezludną wyspę S'Espalmador, znajdującą się w archipelagu Balearów. Samotny żeglarz przed wyprawą zaopatrzył się w prowiant, który miał mu wystarczyć na 30 dni podróży. Pocho-dzący z Walencji Rafael Lambies o swojej podróży poinformował nie tylko hiszpańską rozgłośnię Cadena Ser, lecz także balearską żandarmerię. Hiszpan twierdził, że ucieczka na bezludną wyspę o wielkości 3 km kw. to decyzja „zdroworozsądkowa”, a brak towarzystwa nie jest dotkliwy, gdy jest się w raju.

Na podobny pomysł co Hiszpan wpadł wiosną 2020 r. pan Jacek, który z rodziną wyjechał z Polski. Uciekał przed szaleństwem, które ogarnęło kraj i większość świata. Padło na Tanzanię, która dość długo nie testowała swoich obywateli,

Powrotu normalności!

Życzę, żebyśmy znów mogli się do siebie normalnie uśmiechnąć i by ten uśmiech było widać, by nie trzeba było się go domyślać po wyrazie oczu

nam nasze stare życie. Byśmy znów mogli się cieszyć, bez strachu, rodzinnymi i przyjacielskimi spotkaniami.

Byśmy mogli usiąść razem w restauracji, pójść do kina, na koncert i do galerii bez konieczności legitymowania się dodatkowymi dokumentami. Życzę, byśmy znów spokojnie mogli oddychać w kościele czy galeriach handlowych, nie rozglądając się histerycznie, gdy ktoś kichnie lub kaszlnie gdzieś obok. Życzę, by lekarze znów mogli normalnie leczyć chorych, by nie uciekali przed nimi w teleporady. Życzę, byśmy idąc do pracy, nie bali się, że dopadnie nas zaraza, byśmy spokojnie mogli posyłać do szkoły nasze dzieci. Życzę, by edukacja odbywała się w przeznaczonych do tego placówkach, a nie w czterech ścianach domu, by dzieci znów mogły beztrosko chodzić na lody i wisieć głową w dół na trzepaku. Życzę, by skończyło się natręctwo dezynfekowania klamek, rąk, drzwi, zakupów i wszystkiego, co da się zdezynfekować. Życzę, żebyśmy znowu mogli odsłonić twarze, tak byśmy znów mogli rozpoznawać się na ulicy czy na korytarzach biur. Życzę, żebyśmy znów mogli się do siebie normalnie uśmiechnąć i by ten uśmiech było widać, by nie trzeba było się go domyślać po wyrazie oczu.

Wciąż wierzę, że to jest możliwe i że się niebawem wydarzy. Że ktoś odda nam życie, które zostało brutalnie skradzione.

Dorota Losiewicz





To historyczny dzień dla naszego narodu” – ogłosiła minister zdrowia nowozelandzkiego rządu Ayesha Verrall. „Chcemy mieć pewność, że młodzi ludzie nigdy nie zaczną palić. Stworzymy wolne od dymu pokolenie Nowozelandczyków” – zapowiedziała. Zgodnie z nowym prawem osoby urodzone po 2008 r. do końca swojego życia nie będą mogły kupować wyrobów tytoniowych. Zakaz nie obejmie jednak e-papierosów.

Ustawa jest ostatecznym krokiem w walce rządu z paleniem papierosów. W tym celu przyjęto plan Smokefree 2025, który zakładał ograniczenie do tego czasu liczby palaczy do zaledwie 5 proc. populacji. Dziś ten odsetek wynosi 11 proc. Jednak wśród Maorysów odsetek jest wyższy i sięga 29 proc. Będzie to więc uderzenie w mniejszość, która przecież jest chroniona politpoprawnymi przepisami.

Kilka miesięcy temu partia Maorysów domagała się zmiany nazwy kraju na Aotearoa i uczynienia języka maoryskiego głównym językiem w Nowej Zelandii. Maorysi utrzymują, że tracą swoją tożsamość. Nie można oczywiście stawiać tezy, że palenie tytoniu jest częścią tej tożsamości, niemniej jednak wśród Maorysów przywiązanie do tego nałogu wynika z gorszej pozycji społecznej. Maorysi mają niższy status ekonomiczny, co łączy się z większą podatnością na uzależnienia. To samo zjawisko widać również wśród uboższych białych Nowozelandczyków. Ustawa zakłada, że ilość nikotyny w wyrobach tytoniowych oraz ich dostępność w handlu zostanie radykalnie ograniczona. Dziś wyroby tytoniowe może sprzedawać 8 tys. sklepów, a po wejściu w życie nowych przepisów ich liczba spadnie do 500. To najmocniej uderzy w biedniejsze grupy społeczne, jak podkreśla konserwatywna partia Act. Gorzej sytuowani obywatele będą musieli kupować więcej papierosów ze względu na niską dawkę substancji uzależniających. Kwitnąć będzie też przemysł, podobnie jak w czasach amerykańskiej prohibicji, gdy rozwinęły się potęgi gangsterów w rodzaju Ala Capone.

Jest jeszcze argument wolnościowy. Skoro rząd chce zabraniać palenia papierosów, to co w takim razie będzie go powstrzymywać od wydania zakazu spożywania alkoholu, wysokokalorycznych posiłków czy czerwonego mięsa? W imię walki o zdrowie obywateli można też zakazać im uprawiać sporty ekstremalne. Gdzie jest granica?

Lewicowy rząd w Nowej Zelandii jest znany z rewolucyjnej agendy. Pod kierownictwem Jacindy Ardern należy do najbardziej parytetowych gabinetów na świecie. Prawie połowę ministrów stanowią kobiety, a jedną czwartą Maorysi. Szefową MSZ jest Nanaia Mahuta, noszącą na twarzy tradycyjny tatuaż moko. Może więc ona pochyli się nad uderzaniem w Maorysów nową prohibicją?

Łukasz Adamski**Austria**

Życie po Kurzu

Sebastian Kurz, który przez pięć lat kierował centroprawicową Austriacką Partią Ludową (ÖVP) i życiem politycznym kraju, dwa tygodnie temu ogłosił, że odchodzi z polityki. Były kanclerz, który niedawno został ojcem, zamierza się teraz skupić na rodzinie. Odejście Kurza wywołało w Austrii całą lawinę zmian.

Kurz był „cudownym dzieckiem” austriackiej polityki. W 2017 r. – jako 31-latek – został jednym z najmłodszych szefów rządów na świecie. W październiku tego roku prokuratura zarzuciła mu, że w błyskawicznej karierze pomogły mu „podrasowane” sondaże, które umieszczał w mediach (na koszt podatnika) oraz przychyłność prasy, którą miał sobie kupować za pomocą „zleceń reklamowych”. Wszczęto śledztwo. Kurz utrzymuje do dziś, że jest niewinny. „Nie jestem świętym ani kryminalistą. A jako kanclerz podejmuje się tyle decyzji, że siłą rzeczy podejmuje się także złe decyzje” – podkreślił w jednym z wywiadów. Odchodząc z urzędu, Kurz wyjaśnił, że „jego kraj jest dla niego ważniejszy niż jego osoba”. Nie była to jednak całkiem dobrowolna dymisja, bo domagał się jej partner koalicyjny ÖVP, czyli partia Zielonych, która dała jasno do zrozumienia, że albo Kurz odejdzie, albo rząd upadnie. Wraz z Kurzem z polityki wycofał się były minister finansów i jego partyjny kolega Gernot Blümel, na którym również ciążył oskarżenia korupcyjne, i to w aż dwóch prokuratorskich śledztwach.

Kurza na stanowisku kanclerza zastąpił początkowo dotychczasowy minister spraw zagranicznych Alexander Schallenberg, który został także szefem partii. Oba stanowiska piastował jednak zaledwie przez 52 dni. W minionym tygodniu również ustąpił. Nowym kanclerzem został Karl Nehammer, który będzie trzecią osobą na tym stanowisku w ciągu mniej niż trzech miesięcy. Nehammer przejął także stery ÖVP. Nie będzie miał łatwo, bo afery korupcyjne mocno zaciążyły na wizerunku partii. We wrześniu partia cieszyła się poparciem na poziomie 34–35 proc., co oznaczało aż 10 pkt proc. przewagi nad zajmującymi drugie miejsce socjaldemokratami z SPÖ. Od czasu afery i rezygnacji Kurza z funkcji kanclerza ÖVP zrównało się z SPÖ (27 proc. dla obu partii), a nawet spadło na drugie miejsce, do zaledwie 23 proc. poparcia. Nehammer ma jednak nadzieję na powrót wysokich notowań, a przynajmniej na sondażową stabilizację w okolicach 30 proc. Jest to możliwe, bo odejście Kurza spowodowało lekki wzrost słupeków.

Polityka rządu raczej się nie zmieni. Nehammer uchodził dotąd za osobę lojalną wobec Kurza i realizującą jego politykę. Było to widoczne zwłaszcza w polityce migracyjnej, gdzie ówczesnego szefa MSW charakteryzował równie ostry kurs, z jakiego znany był Sebastian Kurz.

Aleksandra Rybińska



Nowy front Putina?

Moldawia 

Władze Moldawii rozwiązały przed upływem kadencji Radę ds. Radia i Telewizji, tamtejszy odpowiednik KRRiT, która kilkakrotnie zignorowała ostrzeżenia prezydent Mai Sandu przed rosyjską propagandą i zagrożeniami w cybersferze. Pozwoliło to przyspieszyć prace nad przyjęciem nowego prawa zakazującego retransmisji informacji i politycznych talk-show z rosyjskich kanałów telewizyjnych. Podobne przepisy uchwalone zostały już w 2018 r., ale po przejęciu kontroli nad Moldawią przez prorosyjskich socjalistów byłego prezydenta Igora Dodona przestały one obowiązywać, a wszystkie kanały retransmitujące rosyjskie programy przeszły pod bezpośrednią kontrolę socjalistów.

W kontekście rosyjskiego zagrożenia Maja Sandu oświadczyła też, że nie uzna wyborów prezydenckich, które odbyły się w ubiegłą niedzielę w Naddniestrzu. Nie chodzi tylko o liczne doniesienia związane z łamaniem praw wyborczych, czego przejawem jest choćby fakt, że z pięciu chcących w nich uczestniczyć polityków komisja wyborcza zarejestrowała tylko dwóch – obecną głowę Naddniestrza Wadima Krasnosielskiego i mało znanego politologa Siergieja Pynzara. Zdaniem miejscowych ekspertów Sandu zdeterminowana jest, aby „rozwiązać” sprawę Naddniestrza, które od początku września jest praktycznie zablokowane zarówno od strony Ukrainy, jak i Moldawii.

Viorel Cibotaru, były moldawski minister obrony, powiązany z niewielką, niemającą reprezentacji w parlamencie Partią Konserwatywno-Liberalną, proponował, aby Moldawia zawarła traktat o obronie z Rumunią. Propozycja ta wzbudziła komentarze w rosyjskich mediach, zwłaszcza że Cibotaru powołał się na przykład podobnego porozumienia między Turcją a Azerbejdżanem, którego podpisanie pozwoliło Baku odzyskać kontrolę nad obszarami Górskiego Karabachu zajętymi przed laty przez Armenię. Wprawdzie prezydent Sandu opowiada się za rozwiązaniem kwestii Naddniestrza w drodze negocjacji, ale w przeciwieństwie do swojego poprzednika Igora Dodona, który był częstym gościem Putina, nie tylko nie pojechała jeszcze na rozmowy do Moskwy, lecz również – jak zapowiedział szef moldawskiego MSZ Nicu Popescu – taka podróż „nie jest w najbliższym czasie planowana.”

Rosyjskie media podgrzewają więc atmosferę, twierdząc, że w przypadku Naddniestrza może dojść do rozwiązania siłowego, zwłaszcza że Sandu już kilkakrotnie wzywała Moskwę do wycofania swoich oddziałów z Naddniestrza, a Stany Zjednoczone zaczęły przerzucać śmigłowce bojowe z baz w Grecji do Rumunii. Pytanie tylko, czy przypadkiem to Rosji, a nie Moldawii bardziej zależy na eskalacji.

Marek Budzisz



Ze szczytów w otchłań

Etiopia 

Dwa lata temu wydawało się, że Etiopia najgorszy okres w swej historii ma już za sobą, przed krajem zaś rysują świetlane perspektywy. Eksperti mówili wręcz o etiopskim cudzie ekonomicznym, komplementując najszybciej rosnącą w minionej dekadzie gospodarkę świata. Dość powiedzieć, że od 2009 do 2019 r. PKB wzrósł tam aż o 146,7 proc. Wielkie nadzieje wiązano zwłaszcza z premierem Abiyem Ahmedem Alim, który w 2019 r. jako 42-latek otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za zakończenie konfliktu z sąsiednią Erytreą. Reprezentował polityków nowej generacji, którzy zastąpić mieli starych skorumpowanych kacyków.

Minęły raptem dwa lata, a w Etiopii trwa dzisiaj gigantyczny kryzys humanitarny wywołany wojną domową. Zaczęła się ona ponad rok temu, gdy Tigrajski Ludowy Front Wyzwolenia (TLFW), występujący rzekomo w imieniu 10-milionowej mniejszości etnicznej Tigrajczyków, wywołał rebelię w północno-wschodniej części kraju, aby uniezależnić się od władz centralnych. Wybuchł krwawy konflikt zbrojny, który spowodował, że z regionów Amhara, Afar i Tigraj uciekło już ok. 2 mln uchodźców.

Nie wiadomo, ile osób zginęło w walkach, ponieważ obie strony podają sprzeczne informacje, których nie sposób zweryfikować. Wiadomo natomiast, że bojownicy TLFW prowadzą akcje przeciwko ludności cywilnej i międzynarodowym organizacjom humanitarnym, które straciły w czasie wojny 26 pracowników. Rząd federalny podał, że poważnie uszkodzonych i splądrowanych zostało ponad 2 tys. szkół oraz ok. 1,5 tys. klinik i szpitali, nie licząc centrów handlowych, obiektów sakralnych czy turystycznych.

ONZ ocenia, że na zapobieżenie katastrofie humanitarnej potrzeba 1,3 mld dol. Każdego dnia do znajdującej się w potrzebie ludności powinno dotrzeć ok. 100 ciężarówek z żywnością, odzieżą i lekami. Tymczasem konwoje do wielu miejsc, np. miast Kombolcza i Desje, zostały wstrzymane z powodu ataków TLFW. Według danych ONZ aż 9 mln ludzi pilnie potrzebuje pomocy żywnościowej, a 400 tys. cierpi głód... A miało być tak pięknie...

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Całusnik i zazdrośnik

Pojawiły się w sieci obrazki Michnika całującego Jaruzelskiego. Zawzięty z niego całusnik ze znanej szkoły całowania w stylu Breżniew-Gierek. Starsze roczniki pamiętają transmisję z lotniska, kiedy tak się wpijali ukochani przywódcy w swoje usta, że kompania honorowa musiała ich rozłączać. Młody wówczas buntownik Michnik z zazdrością oglądał te sceny. Wiedział, do czego dążyć, o co walczyć, o czym marzyć...

Na archiwalnym filmiku widać, że jego relacja z Jaruzelskim to nie przelotne uczucie, lecz miłość od pierwszego więzienia, potwierdzona ciepłymi uściskami, przyklepana umizgami pod stołem. Ścisłe mówiąc, pod „okrągłym stołem”. Cóż, każdemu wolno kochać! Wyszło na jaw, że ten osławiony niegdyś opozycjonista, jak dowiodła historia, bardziej kochał i kocha do dzisiaj wrogów Polski niż Polskę samą.

W obszerny sposób opisał ten kliniczny przypadek Rafał Ziemkiewicz w książce „Michnikowszczyzna”, wydanej w 2006 r., więc w zasadzie sprawa jest znana. Jednak w czasach cywilizacji obrazkowej wymowny, emocjonalny akt miłosny w pobliżu ko-



**Jan
Pietrzak**

zetki robi większe wrażenie niż zadrukowany papier. Ponadto mamy tu do czynienia z zachowaniami typu gender, a więc sprawa nabiera szerszego znaczenia. Jest potwierdzeniem tęczowego charakteru przemian społecznych w Polsce od realnego socjalizmu do awangardowego seksizmu. Obejmując miłosnym uściskiem generała, podniecony Adaś obejmuje symbolicznie cały światowy obóz postępu ze Związkiem Radzieckim na czele. Choć Związek już nie ma, obóz postępu rozkwita, zwalczając ksenofobiczne polskie państwo zwane zaściankiem. Zamiast staroświeckiego hasła Polaków: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, ich znana aktywistka wołała: „Bób, humus, włoszczyzna”. Inna płomienna mówczyni wykrzykuje na ulicach brzydkie wyrazy po kilka razy.

Nie wszyscy pamiętają, skąd się wziął ten radykalnie ordynarny trend („Wicie, rozumiecie tyn trynd”) pośród postępowego chamłajfu. To rozmiłowany w generale redaktor rzucił niegdyś emocjonalną odpowiedź na trudne pytania oponentów: „Odpie... się od generała”. Jak widać po archiwalnych obrazkach, rezerwował go jedynie dla siebie. Zazdrośnik. **▲**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Czeska sprawa nasza sprawa

Za mało się interesujemy naszymi braćmi z południa. A powinniśmy, bo także w Czechach rozgrywa się potężna wojna między zasiedzonym europejskim establishmentem a świeżymi politycznymi siłami, które wypierają tłuste polityczne koty sterowane z Brukseli.

To niekonięcznie jest spór między lewicą a prawicą, bo dziś linia ideowego podziału nie jest klarowna. Na przykład taka czeska Partia Piratów. Przez politologów określana jako postępową i centrolewicową. Ale obecnie (po zdobyciu w niedawnych wyborach prawie 16 proc. głosów jest trzecią siłą w praskim parlamencie) wchodzi do rządowego sojuszu, w którym prym wiedzie centroprawicowa koalicja Spolu, a kandydatem na premiera jest polityk ODS Petr Fiala.

W Pradze trwa przepychanka o powołanie nowego rządu, prezydent Miloš Zeman chciał utrzymania poprzedniego, lewicowego gabinetu, ale cóż ani jego socjaldemokraci, ani ich sojusznicy komuniści nie dostali się do parlamentu. Czerwoni wciąż władzy nie utrzymują. Premierem będzie Fiala, umiarkowany i proeuropejski, ale najwyraźniej niewystarczająco, bo medialna brukselska jacejka już rzuciła mu się do gardła.

Szefem MSZ miał być polityk Piratów Jan Lipavský, ale Zeman się na to nie godzi (wedle czeskiej konstytucji nie ma prawa

wetować ministrów, ale cóż, są przecież ważniejsze wskazania, pochodzące z Berlina i Brukseli, sami tego doświadczamy). Na czym polega problem z Lipavským? Otóż, wedle prezydenta, nie ma wystarczającego wykształcenia, bo uzyskał tylko licencjat, a i to ze słabymi wynikami. (Co na to powie magister Kwaśniewski? Profesorowie Mazowiecki i Bartoszewski pewnie zaś w grobach się przewracają. No i czemu wcześniej Zeman bez protestów powoływał magistrów na ministrów?).

Chyba jednak prezydentowi Czech nie o stopnie na świadectwie chodzi. Są inne powody. Na przykład: Lipavský zadrażnia stosunki z Izraelem (nie godzi się m.in. na okupację Stefy Gazy – żeby nie było wątpliwości, nie jestem w tej kwestii po jego stronie, uważam, że arabski terroryzm trzeba ograniczać kiedy się da, a Żydzi zasługują na bezpieczeństwo swojego państwa) i jest chorobliwie antyrosyjski (zwalczał kremlowską agenturę w czeskiej polityce – tu pełna zgoda).

Walka więc trwa. Nie ma nic wspólnego ze sporem prawicy z lewicą. To ważniejszy spór. O niezależność myślenia, nieuleganie ideowym sztancom. O prawo do swobodnego wyboru. **▲**

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**



Zdrowych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia

Wiemy, jak zadbać o świąteczną atmosferę i obdarowywać innych przez cały rok. Życzymy Wam, byście mieli odwagę dzielić się dobrem i sami doświadczali życzliwości.

Zdrowych i bezpiecznych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego Roku.

Dziękujemy, że jesteście z nami!



BRONISŁAW WILDSTEIN

Boże Narodzenie, a prywatność religii

Swięta Bożego Narodzenia szczególnie mocno odciskają się na życiu zbiorowym całego Zachodu, chociaż w ogromnej mierze zostały skomercjalizowane i przekształcone w kolejne konsumpcyjne przedsięwzięcie. Biznes z natury rzeczy usiłuje wykorzystać wszelkie okazje do poszerzenia swojej przestrzeni działania. Chrystus przepędzał przekupniów ze świątyni, a więc praktyką było wykorzystywanie jej do celów handlowych. I to w pobożnej żydowskiej społeczności. W średniowieczu duchowni regularnie musieli przypominać, aby nie prowadzić w kościołach świeckich interesów.

Nasz świat jest polem walki między sakralnym a świeckim, a obecny tryumf konsumpcji uznać można za zwycięstwo materialnego, zmysłowego żywiołu, który redukuje człowieka do hedonistycznego modelu życia. Chrześcijaństwo nie negowało materialnego wymiaru jego egzystencji, ale nie ograniczało się do niej. To, jak przekształca się kultura sprowadzona do konsumpcyjnej utopii, widzimy na przykładzie dziejów św. Mikołaja, biskupa z Miry, wspomagającego biednych i potrzebujących. W kulturze masowej przetransformowany on został w rubasznego grubasa sypiącego z wora kolejne gadzety, bez których podobno nie potrafimy się obejść. Dodatkowo uległ jakiemuś dziwnemu rozmnożeniu, gdyż z niewiadomych powodów dzień św. Mikołaja przemienił się w mikołajki. To, co nie udało się w Polsce komunistom, którzy usiłowali zastąpić go Dziadkiem Mrozem, powiodło się biznesowi.

Mimo to religijny charakter Bożego Narodzenia w Polsce utrzymuje się ciągle. Dobra to okazja do zastanowienia się nad narzucanym nam i obowiązującym na Zachodzie przesądem, który głosi, że religia winna być sprawą prywatną. Dosłownie rozumiany jest on po prostu nonsensem. Skądinąd dużo nam mówi o naszej epoce fakt, że religię uznano w niej za sprawę prywatną, a seks za publiczną.

Słowo, którego używamy na oznaczenie religii, ma łacińską etymologię i generalnie odwołujemy je do wyrazu religare (wiązać), co podkreśla tylko rzecz oczywistą. Religia jest sprawą społeczną, bo człowiek jest istotą społeczną, taki charakter ma jego system porządkowania rzeczywistości nazywany cywilizacją. Najszerzej religię zdefiniować można



jako stosunek człowieka do świata nadprzyrodzonego. Tak rozumiana przenika ona i wyraża się we wszelkich formach ludzkiej egzystencji. Jeśli nie można jej dać wyrazu w życiu zbiorowym, musi obumierać. Wyobraźmy sobie Boże Narodzenie sprowadzone do „wewnętrznego przeżycia”.

Dziś religia ma być sprawą prywatną i zostać zepchnięta do sfery intymnej, właściwie wstydlivej, o którą nie wypada nawet pytać. Tyle że wezwanie takie oznacza nie jej redukcję, ale anihilację. Nie ma prywatnej religii, tak jak nie ma prywatnego języka. Wyobrażenie, że można sprowadzić ją do rodzaju wewnętrznego sentymentu, jest gruntownym nieporozumieniem, ale w obecnej Europie ma charakter celowego zabiegu, który zmierza do jej unicestwienia.

Współczesny Zachód jest nie tyle areligijny, ile antyreligijny, a zwłaszcza antychrześcijański w konsekwencji dominującego w nim nowego, świeckiego wyznania. Słyszymy, że powinniśmy pogłębiać demokrację, czyli wzbogacić ją o głos pozarządowych organizacji. Zostawmy na boku sprawę, że dziś w przeważającej mierze stanowią one nie wyraz spontanicznej aktywności społecznej, ale potężnych sił, które tą drogą kształtować usiłują politykę, nie tyle pogłębiając, ile wypierając demokrację. Potraktujmy serio owe apele. Największą autentyczną organizacją pozarządową jest w Polsce Kościół. Ci, którzy nawołują do „pogłębiania” demokracji, powinni apelować o jego szersze uczestnictwo w życiu publicznym. Zamiast tego słyszymy od nich wezwania, aby Kościół nie mieszał się do polityki, co w tym wypadku znaczy sferę publiczną. Oczywiście, przyczyną jest antychrześcijańska fobia dominujących dziś ośrodków i próba wykluczenia Kościoła z domeny społecznej przez tych, którzy walczą z wykluczeniem.

Słyszymy, że argumenty wyznawców religii przełożyć musimy na język świecki, aby mogły być zaaprobowane w debacie publicznej. Niby dlaczego? Uznanie, że świeckie założenia są lepsze niż religijne, jest wyłącznie kwestią wiary. Rzecznicy świeckości bezzasadnie powołują się na autorytet nauki, która o religii nic nie mówi ani powiedzieć nie jest w stanie. Religia nie tylko nie musi być jej wrogiem, ale rozwinęła się właśnie dzięki chrześcijańskiej racjonalności. Zresztą religia jest fundamentem kultury ludzkiej. Owszem, bywała nadużywana, jak wszelkie ludzkie rzeczy, tak jak była i jest nadużywana nauka. Czy w związku z tym mamy żądać jej likwidacji? Dlaczego mamy zrezygnować z Bożego Narodzenia?



WESOŁYCH ŚWIĄT!

Pięknych Świąt Bożego Narodzenia, wypełnionych
miłością i radością, nutą wspólnie śpiewanych kolęd
oraz szczęśliwego Nowego Roku

życzy **Energa z Grupy ORLEN**



Walizka kmdr. ppor. rezerwy Bartosza Rutkowskiego

zaloźciela fundacji Orla Straż

Tak naprawdę nie lubię podróżować bez rodziny. Tęsknię za bliskimi zaraz za progiem domu. Jednak w październiku 2015 r. przeczytałem o ukrzyżowaniu i zamordowaniu przez terrorystów z tzw. Państwa Islamskiego 12-latkę, który był rówieśnikiem mojego starszego syna. Dwa dni później złożyłem wypowiedzenie stosunku służbowego i po 22 latach rozstałem się z mundurem. Spakowałem dwa plecaki i po raz pierwszy w życiu wyruszyłem na Bliski Wschód. Byłem tam od tego czasu 11-krotnie. Z pierwszego wyjazdu wróciłem wstrząśnięty losem kobiet i dzieci, które były w niewoli. Zakończyłem fundację Orla Straż, która stara się odbudować życie rodzin po atakach terrorystycznych. Głównie na terenie Iraku odbudowujemy rodzinne firmy, spalone domy, odkupujemy rolnikom zwierzęta hodowlane, finansujemy zabiegi medyczne czy też naukę. Współprowadzimy dwa ośrodki, gdzie pod opieką znajduje się pół tysiąca dzieciaków. Jest nas trzech i tysiące wspierających nas Polaków.

PLECAK

Prezent od kolegów z wojska. Wytrzymały 30-litrowy z cordury, nie do zdarcia. Na dwutygodniowy wyjazd mieści w nim wszystkie potrzebne rzeczy. Produkt polskiej firmy Wisport.



RÓŻANIEC

Od zaprzyjaźnionego kapłana. Wykonany m.in. z paracordu, materiału używanego do produkcji linek w spadochronach. Zwykle wisi na lusterku w samochodzie „po iraku”.

MULTITOOL

I znowu prezent od kolegów z Ośrodka Szkolenia Nurków, gdy odchodziłem na okręt ratowniczy ORP Piast. Firma Leatherman zapewnia jakość i gwarancję. Właściwie trzecia ręka przydatna do wszystkiego – od noża i piły po komplet imbusów i śrubokrętów.



Wesprzyj nas – www.orlastraz.org



LAPTOP

Przenośne biuro otrzymane w... prezencie od kuzyna do pracy w fundacji. Jest prawie trzy razy lżejszy od poprzedniego modelu i ma elastyczną matrycę, co uodparnia go na trudy podróży.



CZYTNIK KSIĄŻEK

Kocham książki. Gdy armia wysłała mnie na półroczny kurs nurkowy do USA, wróciłem z niego z osobną walizką, w której było 66 książek. Dzisiaj w podróży zostały zastąpione czytnikiem elektronicznym.



BUTY

Zwykle chodzę w Meindl Sahara, aż się rozpadną. Ale na jesień i zimę w Iraku z szafy wyjmuję moje buty wojskowe, których kiedyś używali legionieści. Mam je i używam od 16. roku życia, gdy dostałem jako prezent na urodziny. To ich trzecie czy czwarte podeszwy, ale robiłem w nich wszystko – od całodniowych marszy po skoki spadochronowe.



KURTKA

Porządny softshell Gunfighter zabezpiecza przed warunkami pogodowymi, czasem jest kocem, a innym razem poduszka.



APTECZKA

Tu chyba nie trzeba wiele tłumaczyć.



KLOCKI LEGO

Wożone kilogramami do dzieciaków w Iraku. Zawsze zaskakuje mnie ich naturalna bystrość. Inteligencja, gdy tylko mają styczność z rzeczami, które je pobudzają.



GRY LOGICZNE

Tak samo jak klocki. Przenoszą dzieciaki z namiotu w dzikim obozowisku w mgnieniu oka o tysiące kilometrów. Muszą być mądre, trwałe i bezpieczne. Tu pokazuję akurat serię „Smart Games” dla dzieci i dorosłych. Dzięki nam do dzieciaków trafiły „Pędzące żółwie”. Marzy nam się produkcja gier logicznych tam na miejscu.



ZDJEĆIA RODZINNE

Zdjęcie dziadka z partyzantki, aby nie zapomnieć o korzeniach. Na Bliskim Wschodzie nieraz topiło lody i było początkiem wielogodzinnych rozmów. A z żoną jestem 28 lat, z czego 24 po ślubie i choć w ten sposób może być przy mnie w podróży.



BATERIA SOLARNA

Pozwala ładować dwa urządzenia. W sytuacji gdy prąd jest regularnie wyłączany co kilka godzin, a najdłuższa przerwa trwała prawie dwa dni, jest to po prostu potrzebny element mojego „domku na plecach”.



ULOTKA FUNDACJI

Bycie członkiem „zakonu żebraczego” to wieczne szukanie możliwości do wsparcia. Dlatego materiały o naszej działalności mam przy sobie zawsze.



WIARA W BOGA

i ludzi, że da się zmieniać świat na lepsze. Tego się nie da sfotografować, ale bez tej wiary nie zrobiłbym nic.

Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Morskie opowieści

Ryszard Kukliński to polski bohater narodowy, którego działalność wywiadowcza oraz współpraca ze służbami amerykańskimi najprawdopodobniej zapobiegły III wojnie światowej. Był oficerem Ludowego Wojska Polskiego, osiągając stopień pułkownika. Jako oficer miał dostęp do tajnych planów wojskowych. Ponadto brał udział w tzw. grze wojennej na północy PRL w 1965 r. Wówczas sowiecki dowódca marszałek Andriej Grieczek pokazał grupie najwyższych rangą oficerów LWP mobilne wyrzutnie rakiet z głowicami jądrowymi. W maju 1974 r. Kukliński został zapoznany z projektem „Albatros” – tajnym planem budowy trzech schronów przeciwatomowych dla przedstawicieli dowództwa wojsk Układu Warszawskiego. W razie konfliktu atomowego mieli się w nich schować oficerowie. Przez kolejne lata aż do 1981 r. przekazał ponad 40 tys. stron dokumentów z informacjami na temat PRL, ZSRS i Układu Warszawskiego. W nocy z 7 na 8 listopada 1981 r. Kukliński wraz z rodziną zostali ewakuowani z Polski przez oficera CIA. Z zemsty sowiecki wywiad prawdopodobnie zmordował już w USA jego dwóch synów Bogdana i Waldemara. Według tego, co podają „Super Express” i „Wprost”, co najmniej jeden z synów Kuklińskiego, Bogdan, żyje i ukrywa się. Według oficjalnej wersji Bogdan zaginął w sylwestrową noc 1993 r., kiedy razem z kolegą wypłynął w rejs u wybrzeży Florydy. Oficjalnie podano, że jacht został przewrócony przez falę, mężczyźni utonęli, a ich zwłok nie odnaleziono. Tyle tylko, że w tym czasie morze było zupełnie spokojne. Ponadto na pokładzie jachtu na stole ratownicy znaleźli puste szklanki i kieliszki. Niemożliwe, aby fala morska, która potrafiła dwóch dorosłych mężczyzn, nie zniszczyła naczyń. Co ciekawe, mężczyzna, który tej nocy towarzyszył Kuklińskiemu, oficjalnie zmarł 10 lat wcześniej. Uczestnicy „utonięcia” mieli się bowiem przesiasć

na inny jacht, a „1 stycznia 1994 r. Bogdan Kukliński zszedł na ląd i zaczął życie z nową tożsamością”. Oznaczałoby to, że Bogdan Kukliński miałby dziś 63 lata. Jeśli to prawda, to bardzo dobra wiadomość, która oznacza, że płk Kukliński nie spędził ostatnich lat swego bujnego życia samotnie, a Sowietaom nie udało się dokonać na nim pełnej zemsty.

Amerykański jezuita o. James Martin ponownie znalazł się w centrum uwagi po tym, jak swoim tweetem wywołał atak mediów głównego nurtu na katolicką diecezję Marquette w stanie Michigan, która jedynie potwierdziła katolicką naukę na temat płciowości człowieka. „Grzech” o. Martina polegał na przytoczeniu fragmentu z dokumentu diecezji: „Osoba, która publicznie utożsamia się z odmienną płcią niż jej płeć biologiczna albo próbuje dokonać tranzycji płciowej, nie może być ochrzczona, bierzmowana czy przyjęta do pełnej wspólnoty w Kościele, chyba że wyrazi skruchę”. Po wpisie o. Martina diecezja Marquette spotkała się z krytyką Associated Press i NBC, które sugerowały jednoznacznie, że polityka Kościoła wobec LGBT jest odpowiedzialna za to, że ludzie porzucają katolicyzm. Trudno znaleźć większą bzdurę niż antykościelna propaganda lewicowych mediów, które twierdzą, że brak liberalnej polityki powoduje odejście wiernych od Kościoła. Najlepszym przykładem jest Holandia, gdzie przez 25 lat umizgów Kościoła do antychrześcijańskiej propagandy znacząco spadła liczba wiernych.

Wporcie wojennym w Gdyni odbyła się przykra uroczystość ostatniego opusz-



czenia bander wojennych na okrętach podwodnych ORP Sęp (295) i ORP Bielik (296). W ten sposób zakończyła się epoka pięciu norweskich okrętów podwodnych typu 207 kobben w naszej Marynarce Wojennej. Osiągnęły znaczny wiek ponad 54 lat, a ich czynna służba trwała prawie 20 lat. Teraz będzie miała ciąg dalszy, ale w rolach muzeum i laboratorium szkolnego. Ze względu na położenie Polski i sytuację militarną na Bałtyku posiadanie przez naszą Marynarkę Wojenną okrętów podwodnych jest niezbędne. Program zakupu nowych jednostek „Orka” ze względów finansowych (wyparty przez program zakupu fregat Miecznik) znowu został odsunięty w czasie. I tak zostaliśmy praktycznie bez floty podwodnej. Oby nie na długo.

Zawarta została umowa między Inspektorem Uzbrojenia MON a Polskimi Zakładami Lotniczymi w Mielcu dotycząca zakupu czterech śmigłowców wielozadaniowych S-70i Black Hawk w wersji do prowadzenia powietrznych operacji specjalnych. To już druga zakupiona partia tych śmigłowców. Oprócz samych maszyn pozyskany zostanie także pakiet logistyczny i szkoleniowy. Łączna wartość kontraktu to 666 mln zł brutto, a dostawy mają zostać zrealizowane do końca października 2024 r. Pierwsze dwa egzemplarze mają trafić do służby liniowej w 2023 r., a ostatnie dwa w 2024 r. Najnowsze black hawki będą w dyspozycji JW GROM. Pierwsze S-70i, które już znajdują się w eksploatacji, również trafiły do tej jednostki specjalnej. Dobre i to.

Andrzej Rafał Potocki

Bliskość



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Doświadczenie choroby sprawia, że odczuwamy naszą bezradność, a jednocześnie wrodzoną potrzebę drugiego człowieka. [...] Gdy jesteśmy chorzy, niepewność, strach, a niekiedy przerażenie przenikają bowiem nasze umysły i serca. [...] Bliskość jest tak naprawdę cennym balsamem, który daje wsparcie i pociechę tym, którzy cierpią w chorobie” – zauważa papież Franciszek.

Przepisy Ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta stanowią, że osoba przebywająca na leczeniu w szpitalu ma prawo do kontaktu osobistego, telefonicznego lub korespondencyjnego z innymi osobami. Prawo to może zostać ograniczone jedynie w wyjątkowych przypadkach, do których zaliczane jest wystąpienie zagrożenia epidemicznego, bezpieczeństwo zdrowotne pacjentów, możliwości organizacyjne podmiotu świadczącego usługi zdrowotne. Ustawodawca wskazał wprost, że kontakt może zostać ograniczony, ale nie wykluczony. Decyzję o ograniczeniu podejmuje kierownik podmiotu udzielającego świadczeń zdrowotnych lub upoważniony przez niego lekarz.

We wrześniu Ministerstwo Zdrowia wraz z Głównym Inspektorem Sanitarnym wydało rekomendacje dotyczące odwiedzin pacjentów w szpitalach w czasie epidemii COVID-19. Wedle tych wskazań, jeżeli pacjent jest zaszczepiony lub przechorował COVID-19, to może go odwiedzić osoba zaszczepiona albo z negatywnym wynikiem testu na obecność koronawirusa lub ozdrowieniec. Jeśli odwiedzający spełnia powyższe warunki, to może przybyć do swojego bliskiego przy zachowaniu wzmożonego reżimu sanitarnego, pojedynczo i nie na dłużej niż 15 minut. Jeżeli pacjent nie jest zaszczepiony i nie chorował na COVID-19, to może go odwiedzić osoba zaszczepiona, która przechorowała lub legitymuje się negatywnym wynikiem testu.

Rekomendacje nie dotyczą dzieci przebywających w szpitalach, pacjentów w szpitalach psychiatrycznych i innych podmiotach leczniczych udzielających opieki psychiatrycznej i leczenia uzależnień. Nie dotyczą także odwiedzin u pacjenta w stanie terminalnym lub u osób z chorobami otepiennymi, niepełnosprawnością intelektualną lub całościowym zaburzeniem rozwojowym.

Obowiązujące przepisy oraz wytyczne MZ i GIS nie we wszystkich szpitalach są jednak respektowane, co w okresie zbliżających się świąt Bożego Narodzenia może być szczególnie negatywnie odczuwane przez pacjentów i ich bliskich. Istnieją placówki, w których obowiązuje całkowity zakaz odwiedzin, a przecież kontakt z bliską osobą w czasie choroby ma znaczenie zarówno dla kondycji psychicznej pacjenta, jak i dla procesu zdrowienia. W odniesieniu do ciężko chorych ludzi szczególnie istotna może się stać komunikacja pozawerbalna, taka jak uścisk dłoni w odpowiedzi na pytania czy spojrzenie lub gest znany i rozumiany tylko przez najbliższych. Dzięki takiej formie kontaktu łatwiej ulżyć cierpieniom fizycznym i emocjonalno-duchowym. Obecność bliskiej osoby pozwala też z większą

godnością znosić utrudnienia powodowane przez niesprawnie funkcjonujące ciało, a przede wszystkim zminimalizować poczucie osamotnienia.

Przepisy o ochronie życia rodzinnego dotyczą każdego pacjenta, a zatem również dzieci. W szpitalach dziecięcych co do zasady najmłodsi mogą przebywać pod opieką tylko jednego z rodziców. W odniesieniu do wskazanych placówek rekomendacje MZ i GIS nie obowiązują. W wielu szpitalach wprowadzony został zakaz odwiedzin, co w przypadku wielotygodniowych hospitalizacji z pewnością negatywnie oddziałuje na najmłodszych.

Rok temu w związku z brakiem możliwości wizyt najbliższych na oddziałach covidowych Polskie Towarzystwo Opieki Duchowej w Medycynie przy wsparciu MZ, episkopatu oraz sponsorów uruchomiło program „Bądź przy mnie”, mający na celu zapewnienie, aby żaden chory na COVID-19 nie był samotny w szpitalu i pozbawiony opieki duchowej wtedy, gdy najbardziej jej potrzebuje. W tym celu szpitalom zostały udostępnione smartfony do połączeń audio i wideo. Druga część programu miała na celu zabezpieczenie duchowych w środki ochrony osobistej, tak by mogli sprawować posługę kapłańską wśród chorych na COVID-19. 



Z wielkim smutkiem przyjęłam wiadomość o śmierci

**JEGO EKSCELENCJI KSIĘDZA ARCYBISKUPA
STANISŁAWA NOWAKA**

abpa seniora archidiecezji częstochowskiej

Doktora nauk teologicznych,

w latach 1978–1984 rektora Wyższego Seminarium Duchownego

Archidiecezji Krakowskiej.

*Od 1992 do 2011 r. metropolity częstochowskiego, zaangażowanego
w coroczne pielgrzymki parlamentarzystów na Jasną Górę.*

Rodzinie oraz Bliskim Zmarłego

składam wyrazy głębokiego współczucia

Marszałek Sejmu

Elżbieta Witek

Historia, która wychodzi z szafy i wali nas w łeb



Samuel Pereira

Są takie momenty, które zapamiętuje się do końca życia. Jest marzec 2011 r., w ręce wpada mi archiwalne nagranie Jacka Kurskiego i Piotra Semki, które oglądam, łapię się za głowę i wrzucam na YouTube'a. Chodzi o słynne dziś nagranie, na którym widać, jak Adam Michnik, Monika Olejnik i Jerzy Urban, po audycji na temat wprowadzenia stanu wojennego, wybierają się na wspólną nocną przejażdżkę. Gdy Olejnik widzi kamerę, zawstydzona daje nura do samochodu, Urban się uśmiecha, a Michnik ucieka w popłochu i po kilkunastu metrach wsiada do auta. Był to fragment serii „Media III RP”, która przez lata leżała na półkach TVP (tzw. półkownik). Za zgodą producenta i reżysera Roberta Kaczmarka wrzuciłem to krótkie nagranie do sieci i szybko stało się ono najpopularniejszym filmem o tematyce politycznej na YouTube.

Od tej pory wiem, że takich archiwaliów trzeba młodym ludziom. Te kilka minut materiału filmowego to dla nich więcej niż godziny lekcji historii w szkole. Co ciekawe, kilka miesięcy później sądy postanawiają o zawieszeniu spraw toczących się przeciwko Wojciechowi Jaruzelskiemu w sprawie stanu wojennego i pacyfikacji kopalni Wujek, a ja dzięki tam-

temu nagraniu rozumiem, dlaczego po 10 latach procesów kat Solidarności pozostaje bezkarny.

Tydzień temu dowiedzieliśmy się, że w 2000 r., w noc z 12 na 13 grudnia, Adam Michnik ścisnął, całował i składał Jaruzelskiemu wyznania miłości i wystawiał certyfikaty „patriotyzmu”. Jak to możliwe, że taki historyczny skarb przez dwie dekady leżał pod kocem? Odpowiedź na to pytanie pomaga rozwiązać zagadkę braku lustracji i realnej dekomunizacji w III RP. Dzięki tym obrazkom łatwiej nam zrozumieć, jak to możliwe, że w wolnej Polsce, w 2014 r. Wojciech Jaruzelski został pochowany z honorami przez państwo polskie. Takie nagrania są potrzebne i chwała Anicie Gargas za to, że nie uległa presji i je ujawniła. Ich siły najbardziej boją się środowiska PO, Lewicy, TVN, „Newsweeka” i „Gazety Wyborczej”. Dlaczego? O tym w 2009 r. – jeszcze zanim przeszedł na drugą stronę barykady – Cezary Michalski mówił tak: „Media czują się kontrolerem transformacji i bardzo uważają, żeby nie skreśliła ona za bardzo w stronę antykomunizmu, ani za bardzo w stronę prawicową”.

Autor jest szefem portalu tvp.info

W pięknym entourage'u

Z wokalistką *Justyną Steczkowską* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W znakomitym stylu zamyka pani rok 2021.

Justyna Steczkowska: To wielka radość, że właśnie pod moimi trenerskimi skrzydłami objawił się kolejny The Voice of Poland. Marta Burdynowicz głos ma jak dzwon. Poza tym to bardzo urokliwa dziewczyna, sympatyczna, miła, pracowita, ale przede wszystkim utalentowana. Bo bycie pracowitą i miłą to za mało, by stać na scenie. Ina- wet fantastyczne umiejętności i cudowny wokal bez sympatii ludzi niewiele znaczą. Tymczasem Marta ma to wszystko. Miło się też z nią pracuje. W przyszłym roku wyruszamy razem w trasę.

Proszę więcej o tym powiedzieć.

W projekt zaangażowało się 25 topowych artystów. Wykonując największe przeboje, będziemy składać hołd Krzysztofowi Krawczykowi w rok po jego śmierci. Smutno mi, że odszedł, bo znałam go prywatnie i był naprawdę uroczym człowiekiem. Cieszę się natomiast,

że jego utwory zabrzmiały w tak pięknym entourage'u, z wielką orkiestrą. Będzie można przeżyć je jeszcze raz.

Miniony rok był również szczególnie dla „Dziewczyny szamana”?

Świętuję 25-lecie pracy, wkrótce wychodzi moja płyta. Jest na niej perelka – w postaci jednej jedynej dawnej piosenki, właśnie „Dziewczyny szamana”, ale w zupełnie nowej odsłonie, w nowej energii – zagrana z Leszkiem Możdżerem, którego uwielbiam. Znamy się 30 lat, bo razem studiowaliśmy w Gdańsku na Akademii Muzycznej. Obojgu nam udało się osiągnąć własne sukcesy, teraz postanowiliśmy połączyć siły.



Fot. Jan Bogacz/TVP

Reklama | 30/12/21/F



*Spokojnych, zdrowych i pełnych radości
Świąt Bożego Narodzenia
oraz wielu sukcesów
osobistych i zawodowych
w Nowym Roku życzy*

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo





tyle złotych Ministerstwo Sportu przeznaczy na szkółki piłkarskie, by „nie przegapić nowego Lewandowskiego”



My, Francuzi, chcemy identycznej rekonstrukcji Notre Dame de Paris. Nie chcemy strasznego, „współczesnego gestu”, który splamiliby naszą katedrę i naszą historię – petycja w sprawie odbudowy katedry Notre Dame

Ja go zawsze zaskakuje, a wiesz dlaczego? Bo ja go kocham, ja nic na to nie poradzę

– Adam Michnik o Wojciechu Jaruzelskim (z odkrytych taśm z 2000 r.)

Nie mamy sobie tutaj nic do zarzucenia

– marszałek Senatu Tomasz Grodzki w sprawie uchylenia mu immunitetu

Zebrał Jakub Maciejewski

3000

na tylu hektarach powstanie Centralny Port Komunikacyjny

77

w tylu krajach wykryto już wariant omikron koronawirusa (stan na 16 grudnia)

Fot. Przemysław Szabowski/Shutterstock.com, Corelimages/Shutterstock.com

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŹLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 633 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰. KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:

KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

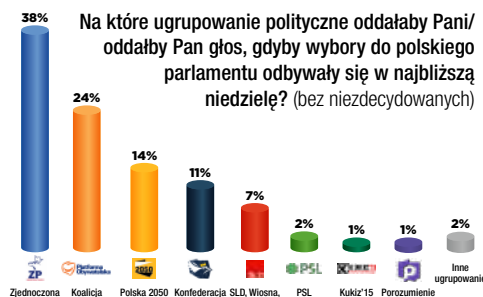


FOT. NA OKŁADCE: GRAPHICARTS/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

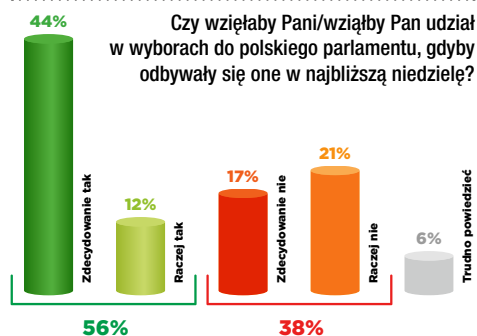
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



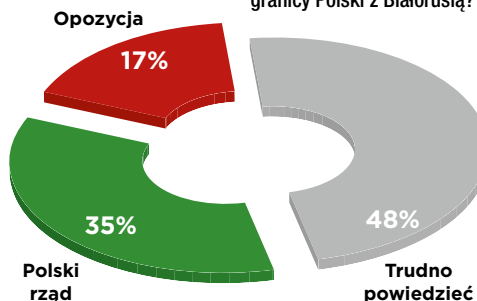
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



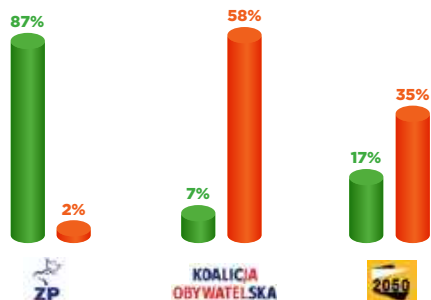
Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?



Kto według Pani/Pana miał dotychczas więcej racji w sprawie kryzysu migracyjnego na wschodniej granicy Polski z Białorusią?



Opinie wśród wyborców:



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1076.

Zakres czasowy badania 10-13 grudnia 2021 r.

Reklama | 52/1221/F



Życzymy wesołych
Świąt Bożego Narodzenia,
w zdrowiu i w gronie najbliższych
oraz wspaniałych możliwości w 2022 roku



Proroctwa o Jezusie

*Zapowiedzi nadejścia
niezwykłej postaci,
która zapoczątkuje
nowy okres w dziejach
ludzkości, pojawiły
się na początku
naszej ery zarówno
w środowisku
żydowskim, jak
i w świecie pogańskim*



GRZEGORZ GÓRNY

W swej książce „Jezus Chrystus. Biografia” niemiecki historyk Peter Seewald, opisując początek naszej ery, kreśli następującą atmosferę ówczesnej epoki: „W burzy nastrojów, jaka nastąpiła w przededniu wielkiego przełomu czasów, poeta Wergiliusz zapowiada narodziny dziecka rozpoczynające nową erę Saturna. Buddyści przygotowują się na nadejście Buddy Maitreja. Hindusi spekulują co do następnej inkarnacji boga Wisznu. Persowie marzą o zbawcy imieniem »Saushyant«. A Żydzi – oczekują bożego pomazańca, »maschiah«, co Grecy przetłumaczą później jako »Christos«, a łacinnicy – Chrystus”.

Inny niemiecki historyk Dietmar Kienast w swej biografii „August, princeps i monarcha”, poświęconej pierwszemu cesarzowi rzymskiemu, pisze o „rosnącej tęsknocie za wybawieniem szerokich mas społeczeństwa nie tylko w Rzymie, lecz także w całej Italii i prowincjach”. Charakteryzując ówczesne czasy, zauważa: „Po stuletnim okresie wojen domowych spodziewano się i oczekiwano wybawcy i odkupiciela, który przyniesie wreszcie umęczonemu światu cierpiącemu wskutek przemocy i mordu upragnione szczęście i pokój”.

ZŁOTE PLEMIĘ ZAMIAST ŻELAZNEGO

Powyższe stwierdzenia oparte są na wielu materiałach źródłowych, w tym pismach pogańskich kronikarzy, np. Tacyty, który w swych „Historiach” pisał: „Większość była przekonana, że w starożytnych księgach kapłanów stało napisane, iż w tym mniej więcej czasie Wschód wzrośnie w potęgę. I że z Judei wyjdą władcy świata”. Podobne uwagi kreślił Swetoniusz w żywocie Wespazjana: „Wszędzie na Wscho-

dzie ogarnęła umysły myśl: trwale i starożytne przekonanie, według którego w los świata miało być wpisane, iż w owym czasie z Judei pojawią się władcy świata”.

Innym wątkiem pojawiającym się w owych mesjańskich oczekiwaniach, oprócz pochodzenia przyszłego króla z Judei, były jego narodziny z dziewicy. Motyw ten znalazł się w m.in. w „Księgach Sybilli”, czyli zbiorze przepowiedni najsłynniejszej wieszczki świata antycznego. Rzymianie odwoływali się do niego zawsze, ilekroć mieli podejmować decyzje w sprawach największej wagi dla państwa. Zazwyczaj kończyło się to włączeniem do panteonu bóstw kolejnego bożka, któremu należało oddawać cześć. W roku 405 na rozkaz rzymskiego wodza Stylichona, który był z pochodzenia Wandalem, „Księgi Sybilli” zostały zniszczone i ocalały z nich jedynie nieliczne fragmenty.

Jedną z przepowiedni znajdujących się w owym zbiorze wplótł do swych „Bukolik”, pisanych między 44 a 38 r. przed Chrystusem, największy poeta starożytnego Rzymu Wergiliusz. W „Eklogdzie IV”, zwanej niekiedy „Pieśnią sybillińską”, wspominał o „dziecięciu”, „potomku z niebios wysokich”, który „na padół zstępuje”, rodząc się z dziewicy, dzięki czemu „na nowo się wieków odradza wielki porządek”, czyli znika „żelazne plemię”, a zastępuje je plemię złote.

NIEWIASTA Z DWOJGIEM NIEMOWŁĄT

Ta przepowiednia znana była powszechnie w ówczesnym Rzymie, dlatego kiedy Oktawian August objął władzę i po dziesięcioleciach wojen domowych zaprowadził pokój w państwie, wiele osób uważało, że to właśnie on jest owym zapowiadany władcą, który rozpoczyna nowy „złoty wiek”. Pierwszym, który dokonał publicznie takiego zestawienia, był nie kto inny, jak najwybitniejszy mówca antycznego Rzymu Ciceron. Z tego powodu proponowano też Augustowi, by ogłosił siebie bogiem. On sam był przekonany, że powyższa przepowiednia odnosi się do jego czasów, dlatego proklamował rozpoczęcie nowego wieku („saeculum”). Kazał też nazywać siebie zbawcą („soter”) i synem

Boskiego („filius Divi”). Kategorycznie odrzucał jednak pomysł ogłoszenia siebie samego bogiem. Być może wynikało to ze świadomości, że nie narodził się z dziewicy, jak zapowiadała przepowiednia, lecz został poczęty tak jak wszyscy ludzie.

Jedną z najwspanialszych budowli, jakie wznosił w Wiecznym Mieście, był gigantyczny Ołtarz Pokoju Augusta (Ara Pacis Augustae). Znajdowały się na nim liczne marmurowe płaskorzeźby, m.in. relief przedstawiający nowe „saeculum”, czyli wiek pomyślności i pokoju. Centralne miejsce zajmowała w nim postać siedzącej kobiety, owiniętej welonem i trzymającej dwoje niemowląt. Do dziś między historykami sztuki trwa spór, kim jest owa niewiasta. Jedna z interpretacji mówi, że może to być owa dziewica z „Eklogi IV” Wergiliusza. Jeśli odwołanie się do „Ksiąg Sybilli” skutkowało zazwyczaj przyjęciem do panteonu nowych bóstw, to spełnienie jednej z najważniejszych przepowiedni dotyczącej nastania nowego wieku również mogło przynieść podobny efekt. W tym kontekście do rangi symbolu urasta to, że tajemnicza kobieta z Ołtarza Pokoju Augusta posłuży 15 wieków później Rafaelowi Santi za wzór, gdy malował swój cykl obrazów przedstawiających Madonnę z dwoma małymi chłopcami: Jezusem i Janem Chrzciцелеm.

GORĄCZKA MESJAŃSKA

O ile nastrój oczekiwania na nadejście nowej ery miał w świecie pogańskim dość mgliste źródła, o tyle znacznie konkretniej rysował się on w świetle religii judaistycznej. Żydzi od wieków oczekiwali bowiem nadejścia Mesjasza, czyli Pomazańca Bożego, który miał przynieść ludowi Izraela wolność, doskonałość i szczęście, zazwyczaj interpretowane w kategoriach doczesnych. Kiedy naród wybrany cieszył się niepodległością, po Mesjaszu spodziewano się zaprowadzenia porządku opartego na moralnej nieskazitelności i szczęściu. Gdy Żydzi znajdowali się w niewoli, oczekiwali z kolei od Niego wyzwolenia politycznego. Tak było właśnie w czasach Jezusa, gdy Ziemia Święta od 63 r. przed Chrystusem znajdowała się pod okupacją Rzymian.

Właściwie cały Stary Testament – od pierwszej Księgi Rodzaju do ostatniej Księgi Malachiasza – pelen jest zapowiedzi mesjańskich. Nadejście Pomazańca Bożego przepowiadają wszyscy wielcy prorocy Izraela na czele z Izajaszem, Jeremiaszem, Ezechielem i Danielem. Przedstawiają oni różne okoliczności towarzyszące pojawieniu się Mesjasza, jednak unikają konkretnego podawania czasu, kiedy miałyby to nastąpić. Jedynym wyjątkiem jest proroctwo Daniela o 70 tygodniach. Zgodnie z nim miałyby do tego dość 490 lat po niewoli babilońskiej, która trwała od 586 do 538 r. przed Chrystusem. W zależności od tego, od jakiego momentu historycznego rozpocznie się odliczanie, wypada nam okres od 48 r. przed Chrystusem do 33 r. po Chrystusie.

Nic więc dziwnego, że w tym okresie naród żydowski ogarnęła swoista mesjańska gorączka. Podgrzewała ją popularna wówczas literatura apokryficzna, m.in. Księga Henocha, Testament Dwunastu Patriarchów, IV Księga Ezdrasza czy Apokalipsa Barucha. Nastroje tego typu rozpowszechnione były zwłaszcza w stronnictwie religijnym esenicków, co potwierdzają ich rękopisy odnalezione w grotach w Qumran nad Morzem Martwym. Rychle nadejście Mesjasza głosił też żyjący na pustyni św. Jan Chrzciiciel, którego część historyków i biblistów wiąże z kręgiem esenicków.

ZNISZCZENIE ŚWIĄTYNI JEROZOLIMSKIEJ

Część Żydów powoływała się też na inny fragment Pisma, czyli proroctwo Jakuba z Księgi Rodzaju dotyczące „czasów późniejszych”, jak w Biblii określano okres, w którym miał nadejść Mesjasz: „Nie zostanie odjęte berło od Judy ani laska pasterska spośród kolan jego, aż przyjdzie ten, do którego ono należy, i zdobędzie posłuch u narodów”. To proroctwo, ich zdaniem, musiało się spełnić jeszcze za życia Heroda Wielkiego, który był ostat-



Centralne miejsce w gigantycznym Ołtarzu Pokoju Augusta zajmowała postać siedzącej kobiety, owiniętej welonem i trzymającej dwoje niemowląt. Do dziś między historykami sztuki trwa spór, kim jest owa niewiasta. Do rangi symbolu urasta fakt, że tajemnicza kobieta z Ołtarza Pokoju Augusta posłuży piętnaście wieków później Rafaelowi Santi za wzór, gdy malował swój cykl obrazów przedstawiających Madonnę z dwoma małymi chłopcami: Jezusem i Janem Chrzycielem

nim królem żydowskim w historii Izraela i zmarł w 4 r. przed Chrystusem (oczywiście według obowiązującego dziś kalendarza, który zawiera błędną datę narodzin Jezusa, ponieważ w rzeczywistości Herod zmarł w 2 r. po narodzinach Chrystusa).

Gdy Józef Flawiusz w swej „Wojnie żydowskiej” starał się wyjaśnić, jak to się stało, że mały naród żydowski rzucił wyzwanie największej potędze ówczesnego świata i rozpoczął w 66 r. po Chrystusie powstanie przeciwko Rzymianom, miał tylko jedno wytłumaczenie: Izraelici byli przekonani o bliskim nadejściu Mesjasza. Oczywiście dotyczyło to tylko tych członków narodu wybranego, którzy odrzucili posłannictwo Jezusa.

Ci Żydzi natomiast, którzy przyjęli orędzie Galilejczyka, znaleźli potwierdzenie słuszności swego wyboru w kolejnym fragmencie Księgi Daniela. Otóż prorok zapowiadał, że „Pomazaniec zostanie zgładzony [...] Miasto zaś i świątynia zginie wraz z wodzem, który nadejdzie”.

To ostatnie proroctwo spełniło się w roku 70, gdy Jerozolima została zdobyta przez wojska rzymskie pod wodzą przybyłego z Rzymu Tytusa, świątynię zrównano zaś z ziemią. Dla pierwszych pokoleń chrześcijan znaczenie tych wydarzeń było ogromne, ponieważ potwierdzało prawdziwość proroctwa Daniela oraz uwiarygodniało misję Jezusa.

TEOLOGIA WYGNANIA

Zburzenie Świątyni Jerozolimskiej miało jeszcze jeden doniosły skutek. Proroctwa starotestamentowe mówiły, że Mesjasz będzie pochodzić z pokolenia Judy, z rodziny Jessego, z domu Dawida. Sprawdzianem autentyczności posłannictwa mógłby być więc test genealogiczny, udowadniający, czy osoba podająca się za Mesjasza rzeczywiście może się pochwalić takim rodowodem. Zwoje genealogiczne wszystkich pokoleń Izraela przechowywano wówczas w świątyni. Gdy została ona zniszczona, przypadły bezpowrotnie wszystkie znajdujące się w niej dokumenty. Od tamtej pory niemożliwe stało się sprawdzenie rodowodu Mesjasza. Nic dziwnego, że ówczesni chrześcijanie pochodzenia żydowskiego wysnuli z tego wniosek, że Mesjasz musiał się pojawić przed zburzeniem Świątyni Jerozolimskiej albo proroctwa zawarte w Starym Testamencie były fałszywe.

Wydarzenia roku 70 miały również znaczenie teologiczne. Kiedy pierwsza świątynia Salomona została zniszczona przez Babilończyków w 586 r. przed Chrystusem, naród żydowski nie miał wątpliwości, że dokonało się to z powodu jego niewierności wobec Jedyne Boga. Wszystkie nieszczęścia, jakie spadały na Izrael, interpretowane były w kategoriach Bożej odpłaty. Do czasu powstania państwa Izrael w 1948 r. Żydzi rozproszeni po świecie modlili się w synagogach, prosząc o przebaczenie m.in. słowami: „To przez nasze grzechy zostaliśmy wygnani z ziemi ojców”.

Żyjący na przełomie XIX i XX w. rabin Ephraim Ben Eliakim z Tyberiady do-

szedł do wniosku, że zburzenie drugiej świątyni przez Rzymian w 70 r. musiało być spowodowane o wiele większą niewiernością niż analogiczne wydarzenie w czasach Nabuchodonozora. Za pierwszym razem bowiem wygnanie trwało tylko 70 lat, za drugim zaś niemal 1900. Wychodząc od tej refleksji, rozpoczął on badania biblijne, które doprowadziły go do wniosku, że Żydzi, odrzucając Jezusa, nie rozpoznali prawdziwego Mesjasza.

PROROCTWA W BIBLII

Na tym właśnie tle rozeszły się na początku naszej ery drogi Synagogi i Kościoła. Wiara biblijnego Izraela zaczęła się rozgałęziać w dwóch kierunkach. Jednym jej kontynuatorem zostało chrześcijaństwo, które uznało Nowy Testament za wypełnienie Starego, a Jezusa za przepowiadanego przez proroków Mesjasza. Drugim spadkobiercą uznał się judaizm rabiniczny, stworzony pod koniec I stulecia przez faryzeuszy. Podczas synodu w Jamni dokonali oni głębokiej reorientacji dotychczasowego życia religijnego, dostosowując je do nowych warunków: bez świątyni, bez kultu i bez kapłanów. Miejszem centralnym nowej formy ich religii stała się synagoga, a główną czynnością sakralną czytanie i studiowanie Pisma.

Dla wielu Żydów to jednak Pismo było głównym autorytetem, który nakazał im widzieć w Jezusie z Nazaretu zapowiadanego przez proroków Mesjasza. W roku 1884 żydowski egzegeta Alfred Edersheim wydał w Nowym Jorku książkę „Życie i czasy Jezusa Mesjasza”, w której zacytował 456 fragmentów Starego Testamentu, zawierających zapowiedzi mesjańskie, które wypełniły się później w Chrystusie. Opatrzył je 558 cytatami pochodzącymi ze starożytnych pism rabinicznych i potwierdzającymi – jego zdaniem – mesjanistyczne posłannictwo Jezusa. Nikt od tamtej pory nie wykonał większej pracy niż Edersheim, który nawrócił się z judaizmu na chrześcijaństwo.

Nieco skromniej liczbę owych prorocstw ocenia włoski pisarz Antonio Socci, przybliżając jednak ich charakter: „Zapowiedź ta [dotycząca Mesjasza], w samych tylko księgach biblijnych, zostaje sprecyzowana i po-



Fot. Alamy-Images/EAST NEWS

Właściwie cały Stary Testament – od pierwszej Księgi Rodzaju do ostatniej Księgi Malachiasza – pełen jest zapowiedzi mesjańskich. Nadejście Pomazańca Bożego przepowiadają wszyscy wielcy prorocy Izraela na czele z Izajaszem, Jeremiaszem, Ezechielem i Danielem

głębiona przez blisko trzysta prorocstw mesjańskich, bardzo zróżnicowanych, które w ciągu wieków określają wiele znaczących szczegółów owego przyjścia i dokładnie przedstawiają wszystko, co miało się zdarzyć. Otóż wszystkie te prorocтва, bez żadnego wyjątku, wypełniają się idealnie w osobie i życiu Jezusa. Tylko w Nim, w nikim innym. Opisują ze wstrząsającą dokładnością i kilkunastowiecznym wyprzedzeniem szczegóły Jego życia. W jaki sposób można przewidzieć wydarzenia, które będą miały miejsce za kilka wieków? A przede wszystkim, jak to możliwe, że wszystkie te różnorodne

prorocтва wypełniły się w jednej i tej samej osobie?”

Wśród tych profetycznych zapowiedzi znalazły się m.in. takie konkrety, jak m.in. miejsce urodzenia Mesjasza (Betlejem), poprzedzenie Jego przyjścia przez wysłannika (Jan Chrzciciel), sposób wjazdu do Jerozolimy (na osłędzie), wydanie Go przez przyjaciela (Judasza), sprzedaż Go za ściśle określoną sumę (30 srebrników) i porzucenie tych pieniędzy w domu Bożym, zachowanie niemej postawy przed oskarżycielami czy śmierć przez ukrzyżowanie z zachowaniem niepołamanych kości.

Komentując tę zadziwiającą zbieżność, kanadyjski biblista Canon Dyson Hague napisał: „Nikt nie wiedział z pięćsetletnim wyprzedzeniem, że narodzi się Szekspir, albo 250 lat wcześniej, że ma się narodzić Napoleon. A tu, w Biblii, mamy najbardziej wstrząsający portret pewnego człowieka, idealnie podobny, który jest dziełem nie jednego, a dwudziestu pięciu artystów, z których żaden nigdy nie widział osoby, którą malował”. Jak stwierdził francuski myśliciel Jean Guittou: „Żaden uczony, a tym bardziej filozof, nie powinien się czuć spokojny, dopóki sprawa ta pozostaje bez odpowiedzi”.

Za dnia piekło zamarza



Co noc polscy funkcjonariusze muszą się mierzyć z agresywnymi hordami, które są na nich napuszczane przez reżimowe służby specjalne z Mińska. Gdy robi się widno, jest trochę czasu na policzenie strat, odpoczynek i przygotowanie na kolejny szturm. Byliśmy na granicy polsko-białoruskiej, by zobaczyć, jak wygląda rzeczywistość w zamkniętej strefie



MARCIN WIKŁO

Konflikt na polsko-białoruskiej granicy nieco się zmienia, ale na pewno nie wygasa. – Dla kogoś z zewnątrz to może się powoli stawać monotonne. W nocy zadyma, w dzień spokój. I od nowa. Ale musisz mi uwierzyć, żyjemy tutaj jak na bombie – mówi mi jeden z żołnierzy. Do strefy nadgranicznej wjeżdżamy przed południem. Pytam, czy jest szansa wrócić tutaj wieczorem, by na własne oczy zobaczyć to, co znamy z filmów umieszczanych przez wojsko lub Straż

Graniczną. – Szczerze? To nie moja decyzja, ale nie chciałbym się znaleźć w sytuacji, gdy przed sobą mam ich, a za plecami was, dziennikarzy – mówi mi doświadczony żołnierz. Nawet w ciągu dnia ochrania nas, pełniąc służbę z bronią załadowaną ostrą amunicją.

CO NOC TO SAMO

Komunikaty biura prasowego Straży Granicznej wydawane są codziennie. Po nocy przychodzi podsumowanie tego, co się wydarzyło. Lakoniczne notki mówią jedno, nie ma żadnej deeskalacji hybrydowego ataku białoruskiego reżimu na Polskę i Unię Europejską.

W piątek 10 grudnia granicę próbowało przekroczyć 41 osób. Na odcinku ochrańanym przez placówkę SG w Czeremsze grupa 28 cudzoziemców siłowo forsowała granicę.

W sobotę 11 grudnia granicę próbowały przekroczyć 52 osoby. Jeden żołnierz Wojska Polskiego został trafiony kamieniem w twarz, na miejscu udzielono mu pomocy przedmedycznej.

12 grudnia granicę próbowało nielegalnie przekroczyć 88 osób. Na odcinku ochrańanym przez placówkę SG w Mielniku grupa 60 agresywnych osób siłowo forsowała granicę.

I tak codziennie.

Podczas jednego z porannych briefingów dowiedzieliśmy się, że „w związku z licznymi siłowymi atakami na polską granicę funkcjonariusze z Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, w ramach porozumienia ze Służbą Więzienną, zostaną dodatkowo wyposażeni w tarcze ochronne”.

– W stronę funkcjonariuszy leżą kamienie, kawałki betonu i kostka brukowa. To jest materiał, którego nie

można znaleźć w lesie, agresywni migranci musieli przywieźć go ze sobą – wyjaśnia ppor. SG Anna Michalska.

Stanisław Żaryn, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego w KPRM, poinformował, że na jednej z fotografii wykonanych podczas ataku na granicę w Bruzgach, który miał miejsce 16 listopada, rozpoznano osobę kierującą akcją. Okazuje się, że zajęciami kierował osobiście gen. mjr Roman Podliniew, zastępca szefa białoruskich pograniczników. O udziale służb w agresji mówił kilka tygodni temu w wywiadzie dla „Sieci” gen. Wiesław Kukula, dowódca Wojsk Obrony Terytorialnej: „Pamiętajmy, że dziś konflikty są kreowane przez oficerów służb specjalnych, a oni mają zupełnie inne podejście niż wojskowi. W tym, co się wydarzyło, mają szukać szans, reagować na bieżąco, niekoniecznie według z góry założonego planu”. Dziś więc ten ogólny scenariusz jest taki, że w dzień ma być spokój, a wieczorem migranci dowożeni są na linię granicy i pchani naprzód.

CO WIDĄC RANO?

W placówce Straży Granicznej w Szudziałowie podpisujemy warunki, pod którymi pojedziemy na granicę. Dziennikarze mogą się teraz do strefy dostać tylko w ten sposób, za zgodą lokalnego komendanta Straży Granicznej i pod eskortą wojska. I to w te miejsca, które wskażą nasi przewodnicy. Nie jest to wymarzona sytuacja dla reportera, ale wyboru nie ma.

Zbliżamy się do linii granicy w okolicy Krynek. Po polskiej stronie otwarta przestrzeń pól, po białoruskiej las. Dokładnie na linii granicy wysokie zasieki z drutu concertina. Nie można do nich podejść. – Zachowujemy przepisową odległość 15 metrów – przestrzegają nas pogranicznicy, którzy pełnią tam służbę. Jak minęła noc? – Akurat tutaj spokojnie, ale nikt nam nie zagwarantuje, że kolejnej nocy nic się nie zadzieje.

Rozmawiamy o nocnych filmach znad granicy umieszczanych w internecie. Od strony białoruskiej oślepiające błyski stroboskopów, smugi laserów kierowane w oczy naszych żołnierzy. Lecące w ich kierunku gałęzie i ka-



Służba na granicy zimą jest bardzo wymagająca. Nie każdy samochód tutaj wjedzie

W placówce Straży Granicznej w Szudziałowie podpisujemy warunki, pod którymi pojedziemy na granicę. Dziennikarze mogą się teraz do strefy dostać tylko za zgodą lokalnego komendanta Straży Granicznej i pod eskortą wojska. I to w te miejsca, które wskażą nasi przewodnicy. Nie jest to wymarzona sytuacja dla reportera

mienie. I próba przejścia przez druty. Kilku mężczyzn przerzuca drewnianą belkę, po niej ktoś próbuje się wspinać. Nasi odpowiadają strumieniem gazu łzawiącego, słychać przeraźliwe krzyki i znów lecą kamienie. – Tam było piekło – kręci głową jeden ze strażników. – Za dnia to piekło jakby zamarzało. Trudno uwierzyć, że coś takiego dzieje się tutaj niedaleko – pokazuje na ogrodzenie, w którego pobliżu jesteśmy.

Najpierw słychać jakiś dźwięk, potem widzimy, jak z oddali zbliża się wojskowy samochód z megafonami na dachu. Jedzie ścieżką po polskiej stronie, donośnie emitowane są komunikaty w czterech językach: arabskim, perskim, rosyjskim i angielskim. „To jest granica, nie ma przejścia. Zostaliście oszukani, to nie jest to, co wam

obiecano. Ktoś was oszukał i ukraść wasze pieniądze”. – Liczymy na to, że nawet jeśli ktoś już tutaj się przedrze, to dotrze do niego ten komunikat i będzie miał świadomość, że dalsza droga będzie złamaniem prawa – tłumaczy towarzysząca nam kpt. Krystyna Jakimik-Jaroszy z Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej.

Trudno jednak liczyć na opamiętanie i zdrowy rozsądek. Kilka dni później przychodzi komunikat, że funkcjonariusze Straży Granicznej z Michałowa i Narewki musieli wspólnie ze strażą pożarną ruszyć na bagna. Czworo nielegalnych imigrantów z Syrii i Iraku utknęło i gdyby nie wojskowy dron, dzięki któremu

ich wypatrzone, mogliby utonąć. – No, drony robią robotę! – i funkcjonariusze SG, i żołnierze wojsk operacyjnych z uznaniem mówią o sprzęcie, który jest na wyposażeniu WOT.

TU SIĘ ZACZĘŁO

Jedziemy do Usnarza, to pierwsze miejsce, gdzie – jeszcze latem – zaczęli się gromadzić nielegalni imigranci. Dzisiaj ich już tam nie ma. Są strzępy namiotów i brezentowych wiat przyprószone nocnym śniegiem. – Popatrzcie, leży taka drewniana belka. Przez kilka dni używali jej jako ławki, a kiedy przyszedł sygnał do ataku na granicę, to była ich kładka przez druty – opowiada jeden ze strażników granicznych. Pokazuje nam także, gdzie swój bieg z reklamówką



Jak się teraz żyje w Minkowcach? A jak się ma żyć? Normalnie! – opowiada Tadeusz Onyszko

uprawiał poseł Sterczewski, to działo się na szczęście w pewnym oddaleniu od linii granicznej.

Po polskiej stronie jest wieś Usnarz Górny, dzisiaj to zaledwie kilka domów. Latem mieszkało tutaj ok. 15 osób, dzisiaj zaledwie pięć. Wyprowadzili się na zimę. Ci, którzy zostali, nie chcą rozmawiać z mediami. – Nie dziwię im się, mieszkali przez tyle lat spokojnie i nagle stali się centrum tego całego cyrku. Migranci do nich nie dotarli, ale dziennikarze, politycy i tzw. aktywiści odwalili im naprawdę niezłe przedstawienie – mówi towarzyszący nam żołnierz. – A wie pan, że jak stąd wyjechali, to nawet po sobie nie posprzątali? – dołącza się strażnik graniczny, młody mężczyzna, który mieszka niedaleko. – Podlasie jest gościnne, każdy do nas może przyjechać, ale niech uszanuje to miejsce i przyjmie nasze zasady. Wtedy będziemy żyli w zgodzie.

Patrzmy na byłe obozowisko po drugiej stronie. Trudno uwierzyć, że w tym miejscu jest dzisiaj tak cicho i spokojnie. Lekki mróz, słońce nieśmiało przeciska się przez gęsty las. Próbuje się wpatrywać w gęstwinę, która rozpościera się za drutami. Nic się nie dzieje. Jakiś ruch, spada trochę śniegu z drzewa. Pytam, dlaczego nie ma tam białoruskich pograniczników. – To, że ich nie widać, nie znaczy, że ich tam nie ma – mówi z uśmiechem oficer Straży Granicznej, który pełni służbę na tym posterunku.

Mam ziemię do samej granicy. Jestem wojsku i straży wdzięczny, bo chronią takich jak mnie. Tyle, co mogłem zrobić, to wyciąłem drzewa, żeby im było łatwiej stawiać płot. I jeszcze więcej wytnę, jak będą stawiali tę stałą barierę – mówi mieszkaniec Minkowców

Robi się dziwnie, nagle czujemy, jakby ktoś nas jednak obserwował.

NIE PRZESZKADZAJCIE IM

Kolejny punkt dziennikarskiej wycieczki, posterunek nieco dalej na północ. Zbliża się do nas patrol z psem. Niepozorny zwierzę to doświadczony „funkcjonariusz”. – Ma sześć lat, szkolenie zaczął, gdy miał rok – opowiada jego opiekun. Nie podajemy imienia, nazwiska ani stopnia. Wiadomo, że i pies, i strażnik są z Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej. Co jeszcze można powiedzieć? Pies wabi się Ekstrim i... nie jest tylko psem tropiącym. Gdy zbliża się napastnik, zwierzę potrafi go obezwładnić. Czy zdarzyło się to ostatnio? Bez odpowiedzi.

Wjeżdżamy do wsi Minkowce. To także teren strefy, do której bez po-

zwolenia dostać się nie można. – Jak tu się żyje? – pytam mężczyznę idącego o lasce przez swoje podwórko. – A jak się ma żyć? Normalnie! – odpowiada energicznie Tadeusz Onyszko. Jak to normalnie? W zamkniętej strefie? – No tak, rodzina na Wszystkich Świętych chciała przyjechać, dostali przepustkę i przyjechali. Co mi ma jeszcze przeszkadzać? Że samochody jeżdżą? No, a jak pan mieszka na Marszałkowskiej, to tam nie jeżdżą?

Mężczyzna od razu zastrzega, że nie chce rozmawiać o kilku sprawach. Na pewno nie o „latających posłach” i w zasadzie o dziennikarzach też by wolał nie mówić. – Oglądam telewizję i co ja za głupoty widzę, to głowa boli – mówi zezłoszczony. Czy widział nielegalnych imigrantów? No pewnie. Latem dwóch roslých mężczyzn przyszło do niego na podwórko. – Brat dał im zjeść, pozwoliliśmy się wykapać i zadzwoniliśmy po Straż Graniczną. A dalej to już są procedury, no nie? – opowiada. – Ci dwaj nie chcieli zostać w Polsce. Powtarzali: „Germany, Germany”.

– Wy im przede wszystkim nie przeszkadzajcie – mówi kolejny mężczyzna z tej samej miejscowości i pokazuje na żołnierzy, którzy nam towarzyszą. Nie poda imienia i nazwiska, bo mediów nie znosi. Raz się wypowiedział do kamery TVN24, ale nie puścili. A co im powiedział? – Nie gadajcie ludziom głupot, że to są jacyś biedni uchodźcy. Rodziny? Biorą kobiety i dzieci, żeby wyciskać łzy. I nabierają tych aktywistów. Żeby

foto: M. Czuchra



Uszarz Górny, za zasiekami opuszczone obozowisko nielegalnych migrantów



Z samochodu emitowane są informacje w czterech językach: „To jest granica, nie ma przejścia”



pan widział, jacy tu działacze pomagacze przyjechali latem. Jakies ulotki nam rozdawali. Mówię do nich: „Chciecie pomóc? To najmijcie się na wolontariuszy do ośrodka dla uchodźców, wtedy pomożecie”.

Mieszkaniec Minkowców pokazuje swoje gospodarstwo. Działka od głównej drogi ciągnie się we wschodnią stronę. Na końcu stromego spadku widać ogrodzenie z drutu concertina. – Tak, mam ziemię do samej granicy. Jestem wojsku i straży wdzięczny, bo chronią takich jak mnie. Jakbym był młodszy, tobym się sam zaciągnął. Tyle, co mogłem zrobić, to wyciąłem drzewa, żeby im było łatwiej stawiać płot. I jeszcze więcej wytnę, jak będą stawiali tę stałą barierę. Ona jest konieczna.

DA SIĘ PRZEJŚĆ

Z żołnierzami i strażnikami granicznymi rozmawiamy o szczelności granicy. O tym, że do Niemiec docierają jednak jacyś ludzie ze Wschodu. – Ale weźcie pod uwagę, że to może być efekt

problemów Litwinów. Oni mają o wiele dłuższą granicę z Białorusią i o wiele mniej ludzi, których mogą zaangażować do jej obrony – słyszę. A jak jest – ale tak naprawdę – u nas? – dopytuje. – No, cóż... Nie da się na pewno zatrzymać wszystkich, ale przedzierają się naprawdę nieliczni. Zresztą Łukaszenko chyba nie chodzi o to, by się przedarli, ale żeby podejmowali próby. To nas zajmuje, to nas rozwibrowuje, to nas dzieli. I media nie są tutaj bez winy.

– Nie jest prawdą, że my w Polsce nie chcemy ludzi, którzy potrzebują pomocy. Jeśli ktoś deklaruje, że chce dostać azyl u nas, natychmiast zaczynamy procedurę. Ale oni w większości tego nie chcą, chcą do Niemiec, do Francji, do Szwecji, to jakoś w tej opowieści umyka – słyszę. – Dobrym przykładem są Białorusini. U nich jest coraz gorzej, wiemy to. Dlatego ułatwiamy procedury i wciąż przyjmujemy uchodźców, którym zagraża reżim w Mińsku. Ich życiu realnie zagraża niebezpieczeństwo, nie zostawimy ich bez pomocy – przekonują moi rozmówcy.

Strażnicy graniczni opowiadają też, że jeszcze kilka miesięcy temu współpraca z funkcjonariuszami białoruskimi układała się bardzo dobrze. – Nie mówimy o przyjacielskich stosunkach, ale po prostu i nam, i im zależało na tym, by ta granica była chroniona. I była – opowiadają mi polscy funkcjonariusze. – Kontaktowaliśmy się wielokrotnie w sprawach służbowych, widywaliśmy się na patrolach przez granicę, która przecież nie był podzielona zasiekami. Teraz ci nasi „znajomi” to są ci ludzie, którzy reżyserują napaść na polską granicę i wcale się z tym jakoś bardzo nie kryją.

Posterunki przy linii granicy są obsadzone wspólnie przez funkcjonariuszy Straży Granicznej i żołnierzy Wojska Polskiego. Są rozmieszczone nieregularnie, w zależności od ukształtowania terenu. Zasada jest jedna: każdy następny musi mieć w zasięgu wzroku poprzedni punkt. – To ważne, bo ten konflikt jest reżyserowany, powtarzamy to za każdym razem, więc nie przewidzimy, gdzie dzisiaj nastąpi atak. Bo, że nastąpi, to jest niestety pewne.



Wygrani i przegrani 2021

Dla kogo mijający rok był udany, a komu było pod górkę? Z pewną goryczą można odpowiedzieć, że tak jak zawsze o powodzeniu niekoniecznie decyduje osobista uczciwość, konsekwencja czy wierność zasadom. Z kolei przegranymi okazali się najczęściej ci, którzy przeliczyli się z własnymi siłami. Dlatego w tym subiektywnym zestawieniu niektóre nazwiska mogą się wydawać na pozór nieoczywiste. Ale tylko na pozór



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zwycięzca w powszechnym rozumieniu to ktoś, kto dzięki swoim osobistym przymiotom osiągnął sukces. I tak oczywiście również bywa, choć niestety rzadko. Zazwyczaj bowiem wygrywają ci, którzy mają odpowiednie plecy, lepszą pozycję na starcie czy po prostu szczęście. Im więcej jest takich farciarzy, tym gorzej to świadczy o kondycji społeczeństwa.

Można więc rozpatrywać zwycięzców w dwóch kategoriach: jako tych, którzy

zasłużyli się swoją pracą dla pożytku wspólnego, oraz tych, których sukces miał jedynie osobisty, partykularny wymiar. Wśród wygranych roku 2021, poza nielicznymi wyjątkami, dominowali niestety farciarze. Jedni wygrali, bo zagrali innym na nosie, a pozostali osiągnęli sukces głównie dzięki sprzyjającym okolicznościom. Zaczniemy jednak od tych naprawdę zasłużonych.

ZASŁUŻONY SUKCES

Obrona granicy wschodniej przed hybrydową agresją reżimu Łukaszenki stała się – jak wynika z wielu badań opinii publicznej – kwestią, która nie budzi wątpliwości większości Polaków, nawet tych, którym na co dzień jest dość daleko od popierania PiS. Oczywiście pomijam tu zdecydowaną mniejszość

antypisowskich fiksatów, którzy nawet w ataku z zewnątrz widzą doskonałą okazję do obalenia „reżimu”.

Skuteczną obronę granicy, w tym wysiłki ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka, oraz międzynarodową aktywność rządu i prezydenta w tej sprawie z pewnością należy uznać za działanie na rzecz dobra wspólnego. W tym sensie każdy, kto się do tego przyczynił, powinien być uznany za zwycięzcę. Jednak przede wszystkim na ten sukces złożyła się ciężka, codzienna praca funkcjonariuszy Straży Granicznej, żołnierzy i policjantów.

NAGRODA ZA BLUZGI

Wśród farciarzy znajdują się natomiast ci, których niespecjalnie obchodzi dobro wspólne, ale mimo to ostatni rok był

dla nich pomyslny. Łączy też ich zwykle to, że płyną zgodnie z wartkim, antypisowskim nurtem, a zatem nie wykazują się żadną oryginalnością ani tym bardziej odwagą.

Główną grupę stanowią tu celebryci, coraz częściej nazywani – z uwagi na swoją bezczelność, załamującą ignorancję, a czasem też wulgarność – patocelebrytami.

Mimo że nie mają nic do powiedzenia, są ciągle obiektem wielkiego zainteresowania, co oczywiście przekłada się na ich dochody oraz przekonanie o swojej wysokiej pozycji, która z kolei wymaga – jak sądzą – dzielenia się ze światem wszystkim, co im ślina na język przyniesie (a zwykle niczego mądrego nie przynosi).

Sztandarowym przykładem może być tutaj gwiazdka serialowo-reklamowa Barbara Kurdej-Szatan, o której było ostatnio głośno, gdy nabluzgała żołnierzom broniącym wschodniej granicy. Wydawało się, że przesadziła i jej kariera legła w gruzach, ale skądże znowu. Okazało się bowiem, że – jak donoszą media – znalazła sobie właśnie nową pracę w Polsce. A zatem można się zachować publicznie jak skończony prostak, ale mimo to – jeśli stoi się po „właściwej” stronie – nie grożą za to poważne konsekwencje. Mało tego, można nawet znaleźć kolejną niezłą pracę.

PUBLICZNY SKARB

Innym, bardzo zresztą świeżym przypadkiem osoby z mediów, której nie imają się konsekwencje, jest czołowy prezenter TVN Piotr Kraśko, który przez sześć lat jeździł sobie luksusowymi autami bez prawa jazdy. A gdy w końcu został zatrzymany przez policję, sąd wymierzył mu grzywnę 7,5 tys. zł.

Kraśko to oczywiście wyższa liga niż nieszczęsna Barbara Kurdej-Szatan, ale politycznie to przecież ten sam obóz. Nic więc dziwnego, że gdy Kraśko publicznie przeprosił, to bijąca się o praworządność liberalna ferajna uznała jego przeprosiny za dowód wysokiej kultury osobistej, odpowiedzialności i szlachetności. Zapewne nie byłaby taka wyrozumiała, gdyby nie chodziło o pracownika jawnie antypisowskiej stacji telewizyjnej. Sąd nie byłby z kolei zapewne tak łaskawy, gdyby chodziło o zwykłego kie-

rowcę. Piotr Kraśko może więc śmiało uznać ostatni rok za pomyslny. Bo choć wpadł, jeżdżąc bez prawa jazdy, to przecież nikogo nie potrafił, a Jacek Żakowski uznał go nawet za „skarb publiczny”. W tej sytuacji strata 7,5 tys. zł wydaje się drobną dolegliwością.

NADZIEJA SALONU

Jak wiadomo, przyszłość należy do młodych, więc „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Do niedawna chowaniem zajmowali się – poza oczywiście postępowymi nauczycielami, wykładowcami oraz internetem – wyłącznie emerytowani działacze młodzieżowi w rodzaju Kuby Wojewódzkiego i Jurka Owsiaka. Gdy się jednak okazało, że czas reklamowy podczas ich występów kupują już tylko dystrybutorzy leków na potencję i reumatyzm, pojawił się problem z wypromowaniem kogoś metrykalnie bardziej zsynchronizowanego z młodzieżą.

Kandydatów i kandydatek było sporo, wszak w internecie aż się roi od młodych talentów. Tak się jednak złożyło, że do grona zwycięzców trafili ci, którzy nie tylko mają talent, ale także rozumieją, jak się nim w obecnych czasach posłużyć, albo przynajmniej wiedzą, że bunt i wolność mają swoje ściśle określone granice. To znaczy można walić tylko w jedną stronę.

W ten sposób wielkimi gwiazdami stali się raperzy: Cypis, który zasłynął protest songiem „Jebać PiS”, Taco Hemingway, który miał twórczo przerebić to hasło na osiem gwiazdek, oraz Mata, który w nagrodę za swoją straceńczą odwagę i bezkompromisowość dostał solidny kontrakt reklamowy w McDonald's.

Zupełnym przypadkiem jest oczywiście to, że Mata to syn Marcina Matczaka, słynnego ze swoich antypisowskich poglądów profesora UW, a Taco Hemingway spotyka się – jak piszą media – z córką Tomasza Lisa. Chyba tylko najstarszy z tego grona Cypis nie ma żadnych istotnych powiązań z salonem.

Salon za to cieszy się, że tłumy młodych ludzi wspólnie ze swoimi idolami bluzgają na PiS, a partia rządząca nie wie, co z tym zrobić. Niech więc państwo sami oceniają, kto tu jest górą.

SPOSÓB NA SŁAWĘ

Potyczki muzyczne nie były jedynymi, które udało się wygrać koncesjonowanym przez liberalny salon młodym gniewnym. Należy bowiem koniecznie wspomnieć o aktywistach LGBT Barcie Staszewskim oraz o Margot, znanym też jako Michał lub – w zależności od tego, co uważamy za pleć – Małgorzata Szutowicz.

Obaj stali się słynni rok temu. Bart Staszewski powtykał na rogatkach różnych miast tabliczki z ostrzeżeniem o wjeździe do rzekomej „strefy wolnej od LGBT”, porobił im fotografie i porozysłał w świat, co stało się ostatecznie przyczyną propagandowej nagonki na polski rząd, który jakoby zgadza się na tak brutalną dyskryminację społeczności LGBT. Staszewski nie poniósł oczywiście żadnych konsekwencji – bo byłyby one przecież tylko potwierdzeniem tejże dyskryminacji – i obecnie uchodzi za ważnego rzecznika dość partykularnie pojmowanej wolności.

Margot z kolei wylansował się na tzw. Strajku Kobiet i napastował środowiska pro-life. Gdy stał się już osobą znaną (głównie z burd), ogłosił zrzutkę, z której uzbierano na potrzeby jego „kolektywu” ponad 200 tys. zł.

Frajerzy pracują na takie pieniądze przez pięć lat. Bez wątpienia więc Margot i Staszewski to ludzie sukcesu. A że doszli do niego takimi drogami? Takie, widać, mamy dziś czasy.

WYGRANI 30-LECIA

Płynięcie na wierzchołku antypisowskiej fali to także dobra metoda dla znacznie starszej generacji. Weźmy przykładowo takich weteranów Peerelu jak Jerzy Urban, który ostatnio – w 40. rocznicę stanu wojennego – stał się autorytetem historycznym dla dziennikarza TVN Konrada Piaseckiego. Albo sędziego Sądu Najwyższego Józefa Iwulskiego, który pomimo zawieszenia nadal orzeka w Izbie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, zarabiając przy tym brutto ponad 27 tys. zł. Tacy jak oni są murowanymi wygranymi nie tylko roku 2021, ale i całego 30-lecia III RP. Choć trzeba dodać, że wygrana takich ludzi to po prostu porażka nas wszystkich.

O wygranej najczęściej decydują bowiem nie realne zasługi dla państwa czy dobra publicznego, lecz aktywny udział w zwalczaniu „pisowskiego reżimu”, co jest premiowane przychylnością mediów i wpływowych środowisk liberalnych. Coś, co w przypadku każdego zwykłego człowieka byłoby prawdopodobnie źródłem wielu kłopotów, w przypadku większości naszych wygranych stawało się okazją do zachwytów salonu, podziękowań lub rozmaitych benefitów.

GŁOWĄ W MUR

Poszczególni antypisowcy mogą się czuć w tym roku bardzo dowartościowani, jednak nie wszystkim z nich powiodło się tak dobrze jak wymienionym celebrytom czy weteranom Peerelu. Wiele zależało bowiem od oczekiwań, jakie w nich pokładały środowiska antypisu. Z tego punktu widzenia zupełnie więc zawiedli politycy opozycji, którzy nie zdołali w mijającym roku osiągnąć żadnego znaczącego sukcesu w wojnie z PiS.

Oczywiście pierwszym nasuwającym się nazwiskiem jest Jarosław Gowin, do niedawna jeszcze członek rządu, który tak zaplątał się w swoich ambicjach i politycznych układankach z antypisem, że ostatecznie stracił swoją partię oraz zdrowie i w efekcie wypadł na razie z politycznego obiegu.

To, czego próbował dokonać Gowin, nie powiodło się także Donaldowi Tuskowi. Tusk, przedstawiany wcześniej jako zbawca, który powróci do Polski na białym koniu i pokona Jarosława Kaczyńskiego, również przeliczył się z własnymi siłami. Jedyne, co się Tuskowi w tym roku udało, to powstrzymanie degrengolady jego partii, niemalże zatopionej przez nieudolne rządy Borysa Budki, który zresztą powinien chyba dzierżyć miano największego przegrywa roku. Tusk nie dokonał żadnego cudu, a jego porażka jest tym większa, że nie utrzymał się również na arenie europejskiej. Po odejściu swojej patronki Angeli Merkel przestał odgrywać jakąkolwiek poważną rolę, więc również z tego powodu jego powrót do Polski trudno jest uznać za sukces.

Mijający rok nie był udany i dla innych tuzów PO, w tym zwłaszcza dla Rafała Trzaskowskiego. Polityk, który miał dać nowy impuls partii, twórca opiewanego w liberalnych mediach Campusu Polska Przyszłości, schował się przed Tuskiem pod dywan i próbuje spod niego kąsać „reżim”, kokietując warszawskich lewaków.

CZAR ULECIAŁ

Problem w tym, że lewacy stracili na razie impet. Być może tylko zasapali się w boju, ale można być już pewnym, że pod dowództwem Marty Lempart daleko nie zajadą. Liderka tzw. Strajku Kobiet jest zbyt odpychająca i wulgarna, aby pociągnąć za sobą tłumy. Podczas niedawnego happeningu z udziałem garstki osób, zorganizowanego przed siedzibą PiS przy Nowogrodzkiej

Skuteczną obronę granicy należy uznać za działanie na rzecz dobra wspólnego i w tym sensie każdy, kto się do tego przyczynił, powinien być uznany za zwycięzcę. To jednak wyjątek od reguły

w Warszawie, strzeliła sobie kolejnego wizerunkowego samobójca, gdy na oczach całej Polski strofowała ją sprzątaczką, słusznie zdenerwowana rozlewaniem przez Lempart czerwonej farby przed klatką. Z pewnością nie takiego nagłośnienia swojej akcji spodziewała się pani Lempart. Okazała się przy tym zbyt arogancka, aby przeprosić i posprzątać po sobie. Nie ma chyba żadnej wątpliwości, po której stronie były tutaj sympatie większości Polaków.

Z kryzysem zmagali się również w tym roku medialni sprzymierzeńcy Marty Lempart spod znaku „Gazety Wyborczej”. Konflikt redakcji z Czerskiej z Agorą, wydającą „Wyborczą”, jest

sygnałem mocnego osłabienia pozycji Adama Michnika. I nawet jeśli Michnik coś w końcu utarguje, to jasne jest, że jego dotychczasowa legenda wszechmocnego redaktora, który rozdawał ongiś karty w całej Polsce, nie robi już wrażenia na młodych korporacyjnych wilczkach.

Tę legendę podważył też niedawny dokument wyemitowany w TVP, który pokazuje Michnika obściskującego się z Jaruzelskim w rocznicę stanu wojennego. I nie chodzi tu wyłącznie o zażyłość łączącą naczelnego „Wyborczej” z generałem, ale również o wizerunek Michnika. Na filmie widzimy bowiem prawdopodobnie nie całkiem trzeźwego faceta, który najpierw z petem w rękę wyznaje miłość Jaruzelskiemu, a potem plecie z wielką egzaltacją niebawale farmazon, w przekonaniu, że wypowiada jakieś odkrywcze, ważne myśli. Jeśli tak wygląda demiurg opozycji, to doprawdy trudno pojąć, w jaki sposób zdołał on zdobyć tak wielki wpływ na innych ludzi.

CZAS NA ODPOWIEDŹ

Jak wynika z zestawienia, w obu kategoriach wygranych i przegranych dominują przeciwnicy obecnej władzy. W tym roku mamy jednak do czynienia z wyraźną zmianą pokoleniową. Starsza generacja przegrywa z młodszą, a politycy z aktywistami. To zjawisko dotknęło nawet Krystynę Jandę, która w ostatnim „Newsweeku” zaliła się, że musi oszczędzać chleb. Trudno sobie wyobrazić większą porażkę, gdy czołowa aktorka, ulubienica salonów, nadzorująca przy tym dwa teatry w Warszawie, nie ma co do garnka włożyć.

A tak całkiem na poważnie, obóz rządzący, choć nie zaliczył w tym roku poważnych porażek, to nie zanotował również, poza wspomnianą obroną granicy, takich sukcesów, które mogłyby przynieść mu w oczach większości wizerunkową wygraną. Warto to przemyśleć i znaleźć odpowiedź. Bo przecież nic tak nie demoralizuje i nie osłabia społeczeństwa jak triumfy celebrytów, farciarzy i przeróżnych cwaniaków. 



PHILIP MORRIS
POLSKA

Szanowni Państwo,
wszystkim naszym Partnerom Handlowym
oraz Współpracownikom, życzymy
zdrowych i pełnych radości
świąt Bożego Narodzenia oraz samych
sukcesów w nadchodzącym nowym roku.



Prezentowany podczas obrad Rady Krajowej Platformy Obywatelskiej Plan Działania to największa improwizacja i najuboższa oferta, jaką ta partia dotychczas przygotowała. Właściwie zawiera tylko jeden konkret, a i on jest jedynie umownie konkretny. Chodzi o pierwszy z cyklu siedmiu kongresów problemowych – Odporna Polska. PO naprędce wymyśliła siedem kongresów w różnych regionach, prawdopodobnie dlatego, żeby to się kojarzyło ze „szczęśliwą siódmką”. Ale poza ogólnikowym określeniem tematyki pierwszego nie wiadomo, czego te kongresy będą dotyczyć. Nieprzypadkowo, gdyż wynika to z braku jakiegokolwiek planu czy strategii.

Rankiem w dniu obrad Rady Krajowej PO (11 grudnia 2021 r.) ukazał się w „Rzeczpospolitej” sondaż dotyczący tego, czego najbardziej obawiają się Polacy w 2022 r. I okazało się, że są to: wzrost cen (42,5 proc.), rozwój epidemii koronawirusa (15,1 proc.), wojna Rosji z Ukrainą (10,9 proc.), pogłębienie się konfliktu Polski z UE (10 proc.), pogłębienie się kryzysu na granicy Polski z Białorusią (9,9 proc.). I całe obrady Rady Krajowej zostały podporządkowane temu sondażowi, łącznie z wystąpieniem „programowym” przewodniczącego Donalda Tuska. Okazało się, że strategia PO i jej lidera polega na improwizacji, choć było dość czasu, żeby przedstawić coś więcej niż tylko kilka ogólników. Ten pomysł jest zresztą kopią (a może raczej parodią) tego, co Prawo i Sprawiedliwość robiło przed wyborami w 2015 r. Tylko wówczas wszystko było dużo wcześniej planowane, merytorycznie dopracowane, obudowane projektami ustaw i wyposażone w precyzyjną agendę. Teraz wyszedł Tusk, który rano dowiedział się o sondażu w „Rzeczpospolitej”, by po godzinie 11.00 na tym zbudować wystąpienie i strategię partii. A i tak część „programowa” stanowiła może 10 proc., resztę zaś klasyczny już repertuar antypisowskich obsesji, ujawnionych kilka dni wcześniej w wywiadach dla portalu Gazeta.pl oraz dla Radia Tok FM.

WOLNE SĄDY NA INFLACJĘ

Podczas obrad Rady Krajowej podano tematykę tylko pierwszego kongresu (zrobił to Bartłomiej Sienkiewicz): najogólniej



STANISŁAW JANECKI

Problemem nowego Planu Działania Platformy Obywatelskiej jest to, że nic w nim nie działa

Polska ma być odporna na zagrożenia, głównie te, które wynikają z obaw Polaków ujawnionych w sondażu „Rzeczpospolitej”. Tematyka pozostałych kongresów zapewne będzie wynikiem innych sondaży. Albo od uczestników pierwszego zarząd PO dowie się, jaka mogłaby być tematyka drugiego i tak po kolei aż do siódmego. Formalnie pracę koncepcyjną, czyli np. określenie tematów kongresów, powinien wykonać Instytut Obywatelski, czyli partyjny think tank, ale nawet osoby ze ścisłego kierownictwa PO nie wiedzą, czy on nadal faktycznie istnieje i czy cokolwiek robi. Za organizację wszystkich kongresów odpowiada Sienkiewicz, uznawany przez Tuska za pierwszego analityka, choć gdy przez kilka miesięcy był szefem Instytutu Obywatelskiego (w 2015 r.), żadnych wielkich analitycznych zdolności nie pokazał. Ale liczy się to, że był analitykiem w Urzędzie Ochrony Państwa (odszedł ze służby w stopniu podpułkownika) oraz współzałożycielem Ośrodka Studiów Wschodnich (potem jego wicedyrektorem i przewodniczącym rady).

Niektórzy politycy PO uważają, że to nie Tusk pierwszy przeczytał rankiem 11 grudnia 2021 r. sondaż z „Rzeczpospolitej”, lecz Sienkiewicz. Po czym zadzwonił do Tuska i w ten sposób w godzinę został organizatorem kongresów, a w następnej godzinie na podstawie sondażu wymyślił tematykę pierwszego (Odporna Polska).

Kwestię odporności na inflację już podczas obrad ośmieszyla partyjna specjalistka od finansów (była wszak wiceministrem u Jana Vincenta-Rostowskiego). Stwierdziła: „Apelujemy do rządu PiS-u: jeśli naprawdę na serio chcecie pomóc ludziom, jeśli chcecie, żeby ceny przestały rosnąć jak zwariowane, to trzeba spełnić jeden warunek – Polska musi mieć wolne sądy, wolne media i państwo musi przestrzegać wolności obywatelskich i praw człowieka. I na koniec przypominam politykom PiS-u, że kobieta jest człowiekiem”. Izabela Leszczyna nie uznała za stosowne nawet odnieść się do słów prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego. A on stwierdził, że „inflacja jest zjawiskiem globalnym, wynika z silnych szoków podażowych oraz z epidemii i zjawisk z niej wynikających. W Polsce inflacja wynika przede wszystkim ze wzrostu cen światowych surowców, głównie paliw. Ale także z polityki klimatycznej UE i rekordowego

wzrostu cen uprawnień do emisji dwutlenku węgla”. Dlatego „w USA inflacja jest najwyższa od 30 lat [w listopadzie 2021 r. wyniosła 6,8 proc.]; w Belgii wynosi 7 proc., a w Niemczech 6 proc.”.

SZKODLIWE PROGRAMY

Po 2001 r. PO przedstawiała w miarę obszerne propozycje programowe na wybory. Ale to potem było największym problemem partii, gdyż te konkretne zobowiązania można było precyzyjnie punktować i wskazywać to, czego nie zrealizowano. Dlatego obecnie Tusk, który wcześniejsze obietnice żyrował, a teraz znowu rządzi partią, postanowił obiecać jak najmniej. A właściwie tylko jedno – odsunięcie PiS od władzy. Nie brzmi to jednak zbyt poważnie, dlatego po sondażu „Rzeczpospolitej” Tusk z Sienkiewiczem stworzyli na kolanie Plan Działania. Nieważne, że jeszcze nikt nie wie, czego będzie dotyczyć te sześć kongresów poza Odporną Polską. Dla liderów PO najlepiej by było, żeby tematami uczynić te sprawy, które akurat staną się problemem dla rządu. A jeśli takich nie będzie, to coś się wymyśli.

Ani w nowym zarządzie partii, ani spośród Rady Krajowej nie wyłoniono nikogo, kto byłby odpowiedzialny za poszczególne bloki tematyczne. Za rządów w partii Grzegorza Schetyny miał się tym zajmować gabinet cieni, ale poza przypisaniem konkretnych osób do ministerstw cieni, nic się nie działo. Obecnie nie ma nawet takiej atrapy. Od swego powrotu do Platformy Tusk mówi o trzech sprawach: pandemii, drożyznie i zagranicy, a więc konfliktach z instytucjami Unii Europejskiej (w tym mieści się czwarta sprawa – praworządność). Do tego doszły sprawy ataków ze strony Białorusi na polską granicę oraz obawa przed skutkami dla Polski agresji Rosji na Ukrainę. Żadnego rozwiązania starych i nowych problemów PO i Tusk nie mają, chyba że takie, jakie przedstawiła Leszczyna. Dlatego Plan Działania nie zawiera propozycji żadnego konkretnego działania. Przeciwnicy Tuska w PO mówią nawet, że to „największy pic w 20-letniej historii partii”. Ale nie mają złudzeń, bo to przecież typowe dla sposobu działania Tuska w Radzie Europejskiej i na stanowisku szefa EPL: czeka na to, co przyniesie rze-

czywistość, a potem i tak nie jest w stanie adekwatnie zareagować na żaden problem, żadne zagrożenie. A o wielu sprawach decyduje przypadek.

CZAS APOKALIPSY

Donaldowi Tuskowi i nowemu zarządowi Platformy nie chodzi o to, żeby przedstawić interesującą ofertę programową, tylko stwarzać obraz apokalipsy, jaką mają być rządy PiS. Dlatego podczas obrad Rady Krajowej Tusk mówił: „Dramat dumnego narodu polega na tym, że we wszystkich statystykach bijemy wszelkie rekordy. Polska jest na czele wszystkich najbardziej ponurych rankingów”. Owe „wszelkie rankingi” to liczba zachorowań i zgonów podczas czwartej fali pandemii. Gdy w 2009 r. szybko rozprzestrzenił się wirus grypy A/H1N1 (zmutowana wersja wirusa świńskiej grypy), WHO ogłosiła pandemię, choć ostatecznie wirus nie był tak groźny, jak się spodziewano, premier Tusk był dumny z tego, że nic nie robi. W 2009 r. Polska była jedynym krajem UE, który nie kupił szczepionek. Wprawdzie inni mieli potem kłopot, bo wiele szczepionek nie zostało wykorzystanych, ale tego nikt wówczas nie mógł przewidzieć. Tusk i jego minister zdrowia Ewa Kopacz puszyli się jednak jako jedyni przewidujący. Jest bardzo prawdopodobne, że tak samo Tusk zachowałby się przy obecnej pandemii SARS-CoV-2, gdyby był premierem.

Rozwiązania realnych problemów są trudne i narażają na polityczne straty, więc Tusk uznał, że lepiej uciec w przyszłość. Dlatego siedem kongresów to „plan na jutro”. Ale jest też „plan na pojutrze”, inspirowany przez „drużynę przyszłości”, czyli ośmiorgo „młodych” działaczy PO. Podczas obrad Rady Krajowej partii Tusk mówił: „Trzeba marzyć i wyposażać PO w konkretne rozwiązania, żeby te marzenia stały się realnością”. Najpierw mają to robić „młodzi reprezentanci PO, którzy mają swoje marzenia o tym, jak powinna wyglądać Polska za kilka, kilkanaście lat. Platforma Obywatelska to partia marzeń i będziemy to pokazywać w najbliższych godzinach, tygodniach i miesiącach”. Faktycznie bardzo to konkretne. Tak jak cały Plan Działania – mający być przełomem i środkiem do odzyskania władzy.

Michnik u „banalnego polskiego patrioty”

W grudniowy wtorkowy wieczór 2000 r. Adam Michnik zatwierdził do druku kolejny numer „Gazety Wyborczej” i udał się na drugi koniec warszawskiego Mokotowa. Nazajutrz cała Polska mogła przeczytać teksty o tym, że stan wojenny był koniecznością. Ale to później, noc była jeszcze młoda, a redaktor z Czerskiej postanowił ją spędzić z gen. Wojciechem Jaruzelskim



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

9 grudnia 2021 r. Anita Gargas ujawniła w swoim „Magazynie śledczym” w TVP nagranie, na którym Adam Michnik przytuliła się do Wojciecha Jaruzelskiego w jego domu przy ulicy Ikara w Warszawie. Polacy mogli na własne oczy zobaczyć gorące



umizgi założyciela i naczelnego „Gazety Wyborczej” do autora stanu wojennego. Zapis kamery z tej nocy wyjaśnia więcej, niż można by przypuszczać.

Operator Andrzej Adamczak był 12 grudnia 2000 r. w domu Jaruzelskiego razem z całą ekipą filmową. Nagrywał rozmowę Teresy Torańskiej z Wojciechem Jaruzelskim, bo na podstawie tego dialogu miał powstać dokument „Noc z generałem” Marii Zmarz-Koczanowicz. Film – jak to w III RP – usprawiedliwiał generała, pokazywał jego rzekomo dramatyczne dylematy oraz naiwną młodzież, która protestując pod domem dyktatora, tak naprawdę nie do końca rozumie realia 1981 r. Podczas rozmowy Teresy Torańskiej ktoś zadzwonił do drzwi i szybko obwieszczono, że przyszedł gość. Wszystko wskazuje na to, że był to gość faktycznie niezapowiedziany.

Adam Michnik zawsze był ujmująco spontaniczny, bezpośredni i jowialny – przecież w ten sposób z początku uwiódł samego Zbigniewa Herberta, szczerego antykomunistę.

KŁAMSTWO ZAŁOŻYCIELSKIE

Na stole generała szybko pojawiają się kieliszki, Torańska podaje do stołu niczym gospodyni domowa, Michnikowi nawet nie przeszkadza, że w barku nie ma whisky. Do samej kamery naczelną „Wyborczej” wypowiada serię czułych słów wobec Jaruzelskiego. „Jestem głodny generała” – śmieje się życzliwie. „Musiałem wreszcie pokazać jednak, że ktoś ciebie kocha. Przecież oni ciebie nie znoszą” – wyznaje Michnik, wyraźnie zdradzając, że społeczeństwo to dla niego jacyś „oni”, których uczucia są Michnikowi obce.

Panowie zdradzają kulisy swojej zażyłości, dziennikarz przyznaje, że z Jaruzelskim poznał się w 1989 r. w Sejmie, gdy sam już został posłem. Jednak – jak twierdzi – panowie szybko przeszli na „ty”, a stało się to na osobistym spotkaniu, gdy generał był już prezydentem. Rozmówcy przyznają, że ukrywali to przed społeczeństwem, Michnik zaś przypomina, że tę „prywatną audiencję” załatwił gen. Czesław Kiszczak. „To była jego przyjaźń do mnie” – stwierdza gość, a Jaruzelski odpowiada, że przejście na mówienie sobie po imieniu odnotował „z dużą satysfakcją”.

Przyjaźń lidera opozycji i lidera komunistów od 1989 r. jest sprawą skandaliczną z tego powodu, że była ukrywana przed światem, ale też dlatego, że realizowała plan peerelowskiego MSW. W tamtym roku, późną jesienią, powstał bowiem specjalny „zespół programujący”, który przygotował wytyczne, w jaki sposób mówić Polakom o stanie wojennym. W skład tego grona wchodził przedstawiciel Komitetu Centralnego PZPR, Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Prokuratury Generalnej. Aby wybielić Jaruzelskiego, miano sformułować tezę, jakoby generał wybrał po prostu „mniejsze zło” wobec ryzyka inwazji armii sowieckiej, która rzekomo chciała wkroczyć, by zniszczyć Solidarność.

Prosta socjotechnika na pewno wiele by nie przyniosła, gdyby media po 1989 r. były faktycznie wolne i pluralistyczne, największy autorytet intelektualny III RP nie piłby wódki z Jaruzelskim, a jego gazeta mniej lub bardziej świadomie nie nadawałaby przekazem „ze społu programującego”.

13 GRUDNIA 2000 r.

Nie wiemy, o której Michnik wyszedł od generała, ale wiemy, że tego dnia „Gazeta Wyborcza” opublikowała dwa historyczne teksty, w których przekonywała o nieuchronności stanu wojennego. Z perspektywy prawdy historycznej oba artykuły były skandaliczne.

Rudolf Pichoją napisał o „Bratnim blefie”, z którego wynika, że Sowieci zrezygnowali z wkroczenia do Polski po tym, jak Jaruzelski przejął władzę. Z tez Pichoi wynika, że Moskwa odetchnęła

z ulgą i zaufała Jaruzelskiemu, co ostatecznie uchroniło Polskę przed zagładą. Ciekawe, że redakcja „Wyborczej” zaufała w tej sprawie rosyjskiemu historykowi, byłemu dyrektorowi Archiwów Federacji Rosyjskiej – czy to był godny autorytet do opisywania zakulisowych rozstrzygnięć Kremla?

Autor drugiego tekstu, Polak, Michał Sadykiewicz, pułkownik peerelowskiego wojska, siedł w swoich tezach jeszcze dalej. Przekonywał czytelników, że Sowieci byli gotowi do wejścia w grudniu 1981 r., o czym rzekomo wiedziało „nawet każde dziecko ze szkoły polskiej w Moskwie”.

Oba artykuły były wyraźnym usprawiedliwieniem dla wprowadzenia stanu wojennego, zupełnie zgodnym z opracowaną w 1989 r. narracją komunistów. Problem polega na tym, że była to narracja nieprawdziwa, a obaj autorzy zwyczajnie bronili zbrodniarza w mundurze.

JARUZELSKI NIE WYBRAŁ MNIEJSZEGO ZŁA

Gdy „Gazeta” Michnika drukowała swoje kłamstwa na temat stanu wojennego, a Michnik pił wódkę z jego twórcą, w Polsce można już było kupić głośną książkę Władimira Bukowskiego „Moskiewski proces”, w której dysydent dokumenty cytował obszerniej niż Pichoją. Z pism Bukowskiego wynikało, że Sowieci nie byli gotowi wejść ani nie chcieli interweniować. W 1999 r. ukazała się także inna książka – jeszcze po angielsku – w której był oficer KGB Wasilij Mitrochin pisał, że Jaruzelski nie uratował Polski przed najazdem – on o ten najazd prosił (!). Oba tytuły były już dostępne dla Michnika, ale naczelny wołał poprosić o teksty Rosjanina opłacanego przez Moskwę i oficera Ludowego Wojska Polskiego.

Dziewięć lat po upojnym wieczorze Michnika i Jaruzelskiego prof. Antoni Dudek opublikował jeszcze „notatkę Anoszkina”, rosyjskiego generała, który relacjonował, jak Jaruzelski jeszcze w grudniu 1981 r. przekonywał marszałka Wiktora Kulikowa, by wspomógł jego decyzję żołnierzami Układu Warszawskiego. Te argumenty jednak nie przebiły się w „Wyborczej” – do dzisiaj jej czytelnicy są przekonywani, że generał

wybrał „mniejsze zło”, jakby w 2021 r. wciąż obowiązywały wytyczne komunistów z 1989 r.

TVN IDZIE W ŚLADY „WYBORCZEJ”

W 40. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego stacja TVN24 rozpoczęła cykl programów o tamtych wydarzeniach. Konrad Piasecki do pierwszego odcinka zaprosił Jerzego Urbana, głównego propagandystę Jaruzelskiego. Poglądy wyrażone w programie idą jeszcze śmielej, niż PZPR chciała tego 40 lat wcześniej. Rozmówcy nie tylko dają do zrozumienia, że dyktatura wojska ocaliła Polskę przed wojną z ZSRS, lecz także, że Jaruzelski to człowiek niezwykle honorowy. Urban przekonuje, że gdyby armia sowiecka weszła do Polski, a Jaruzelski byłby zamknięty w więzieniu, to mógłby honorowo popełnić samobójstwo. Zdaniem Urbana takie właśnie arcy-polskie cechy przejawiał dyktator.

O tym samym przekonuje Adam Michnik w domu przy ulicy Ikara. Dziennikarz nazywa przecież generała „polskim patriotą”. „To jest ziemiański Polak, ziemianin, on jest z rodziny uprzywilejowanej, on widział, jak w tej Polsce krzywdzono ludzi z biednych domów i go to bolało, bo on jest z Żeromskiego [...] On wiedział, że jest tylko jedna Polska możliwa, że to jest Polska prosowiecka i jego problem był: czy będzie prosowiecka czy sowiecka”. Michnik twierdzi, że Jaruzelskiemu chodziło jedynie o to, by Polskę jakoś przeprowadzić przez trudny czas komunizmu, bo on był „prymitywnym, banalnym polskim patriotą”. Podczas tej wypowiedzi Jaruzelski nie pierwszy raz ma wyraz zażenowania, ale naczelny „Wyborczej” nie próbuje go obrazić – dla niego faktycznie autor stanu wojennego jest wyobrażeniem typowego Polaka, przedstawicielem tej „właściwej” polskości.

Anita Gargas odsłoniła przed nami kolejny element mentalności Michnika i jego wychowanków. Okazało się, że „Gazeta Wyborcza” potrafi cenić „prawdziwych polskich patriotów”, ale pod warunkiem że charakteryzuje ich postawa wiernych sług komunistów. Polacy wolni i niezależni mają być nad Wisłą niemile widziani.



Wytrzymają ci,
którzy podejmują
decyzje, by iść
do przodu

Z prezesem PKN Orlen *Danielem Obajtkiem* o cenach paliw na święta, prognozach na kolejny rok i inwestycjach, które mają dać nam tańszą energię, rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)

Panie prezesie, zaczniemy od cytatu: „Zaproponowany przez rząd pakiet antyinflacyjny i nasze działania pozwolą na obniżkę cen paliw o ok. 30 gr na litrze już od 20 grudnia” – potwierdza pan tę zapowiedź?

Daniel Obajtek: Zdecydowanie podtrzymuję tę zapowiedź. Bardzo ważne deklaracje polskiego rządu o obniżeniu podatków to jedno. Drugie – zmniejsza się cena baryłki ropy i stabilizuje kurs dolara. To są wiarygodne przesłanki do obniżki sięgającej ok. 30 gr na litrze paliwa. Warto także pamiętać, że dzięki dokonanej wcześniej optymalizacji – dywersyfikacji dostaw ropy i centralizacji zakupów w PKN Orlen – mamy w Polsce jedno z najtańszych paliw w Europie. To również efekt podjęcia odważnej decyzji o nabyciu praw do emisji CO₂ po ok. 23–24 euro, podczas gdy obecnie kosztują one 80–90 euro. Nie wykorzystaliśmy tych certyfikatów, żeby jeszcze mocniej wygenerować zyski, bo celem było utrzymanie planowanego poziomu marży. W ten sposób mogliśmy stabilizować ceny, co miało uzasadnienie biznesowe, ponieważ wzrost poziomu cen paliw ograniczyłby popyt. Tak się nie stało, mówiąc wprost – nie zanotowaliśmy odpływu klientów. Kupując ropę, płacimy podobnie jak wszyscy, ale tak jak już wspominałem, mamy jedno z najniższych cen paliw w całej Unii Europejskiej.

Mimo wszystko wysokie.

Doskonale rozumiem, że kierowcy chcieliby tankować paliwa za niższą cenę, ale niestety nie przeskoczmy sytuacji na globalnych rynkach ropy naftowej. Jednak w ciągu ostatnich lat znacząco wzrosła siła nabywcza Polaków. Dla przykładu w 2012 r. za przeciętną pensję polski kierowca mógł kupić ok. 600 l paliwa, a dziś jest to już ok. 1,1 tys. l. Również Orlen sprostał zadaniom, jakie obywateli i gospodarka stawiają przed narodowym czempionem – utrzymaliśmy ceny paliw na stabilnym poziomie. Państwo także spełniło swoją funkcję, obniżając podatki od paliw. I teraz na-

szą odpowiedzialnością jest wdrożyć to w życie. Przypomnę, że w 2012 r. rząd Donalda Tuska też próbował obniżyć akcyzę, ale nie przełożyło się to na cenę paliw w detalu. Chcę zaznaczyć, że tym razem my, jako Orlen, dopilnujemy, żeby to się przełożyło na cenę końcową paliwa na stacjach. W jaki sposób? Zapowiedzianą obniżkę zastosujemy w hurcie i ostatecznie, mając ok. 1,8 tys. stacji pa-

Ja nie jestem człowiekiem chwili i obrazka, tylko człowiekiem czynu, który sprawia, że coś powstanie, coś się wybuduje. I to udowodniłem. W tym roku wydamy ok. 10 mld zł na potężne procesy inwestycyjne i akwizycyjne

liw w całej Polsce, na większości tzw. lokalnych mikrorynków zadziałamy, obniżając cenę paliwa również w detalu.

Pytanie, czy konkurencja zareaguje.

Orlen ma ok. 60 proc. rynku. Lotos to kolejne 30 proc. Obniżając cenę w hurcie, dzięki decyzjom rządu nie obniżamy naszego dochodu, tylko dostosowujemy ją do regulacji. Zakładam, że inni podążą naszym śladem.

Ingerencja rządu w rynek zawsze wiąże się jednak z pewnym kosztem.

Tak, to jest koszt, ale w tym przypadku wynika z niego konkretna korzyść. Gdybyśmy mieli minimalną inflację, gdyby poziom sprzedaży paliwa росł naturalnie, to wprowadzanie takich mechanizmów byłoby nieuzasadnione. Ale paliwo jest krwioobiegiem gospodarki. Dlatego musimy sięgnąć po mechanizmy, które

uzdrowią sytuację. Rynek paliw jest obecnie niestabilny, a pandemia i lockdowny spowodowały jeszcze większe zaburzenia popytu i podaży. Trzeba więc zastosować odpowiednią kurację, właściwe mechanizmy, żeby ten okres przetrwać. I te mechanizmy, choć obciążone pewnym kosztem, wprowadzamy w dobrym czasie. Ale państwu i nam się to opłaci. Uważam, że zdecydowanie poprawimy sytuację w gospodarce, bo jeśli ustabilizujemy rynek paliw, to wzrośnie też poziom sprzedaży i jednocześnie wyhamujemy wpływ cen paliw na inflację.

Krzywa Laffera – teoretycznie im niższe podatki, tym wyższe wpływy do budżetu, bo sprzedaż rośnie i rosną tym samym wpływy z podatków.

Ta koncepcja nie ma tu specjalnego zastosowania. Proszę wziąć pod uwagę, że obecne działanie jest krótkoterminowe. Jeżeli sytuacja się nie poprawi, trzeba będzie szukać innych mechanizmów.

Takim działaniem wyprzedzającym tendencje rynkowe było zakupienie certyfikatów emisji CO₂ po 23–24 euro/t CO₂?

Opozycja nazwała mnie spekulantem. A ja powtórzę to jeszcze raz: dzięki tym zakupom dziś mamy jedno z najniższych cen paliw w Europie. To była decyzja biznesowa, która przyniosła Orlenowi dodatkową korzyść na poziomie setek milionów złotych i którą kompensujemy rosnące koszty surowców. Dzięki temu nie musimy drastycznie podnosić cen. Ma to ogromny wpływ na gospodarkę – działamy odpowiedzialnie i nie wykorzystujemy nierozsądnie naszej siły rynkowej. Podejmując decyzje, zawsze musimy pamiętać o interesie akcjonariuszy Orlenu. Stąd utrzymanie naszej marży na odpowiednim poziomie – z perspektywą

utrzymania stabilności dochodów, zysków i możliwości inwestycji, a nie szarpanej ekonomii.

To jeszcze biznes czy już polityka?

To przede wszystkim biznes. Oczywiście przy tak dużej skali działania trudno go wpłenić od polityki. Ale przecież tak jest na całym świecie. Zresztą nasze wyniki finansowe mówią same za siebie. W ciągu sześciu lat PKN Orlen zarobił 30 mld zł. A w czasach Platformy Obywatelskiej 2,9 mld w ciągu ośmiu lat. To gdzie są te działania nieuzasadnione ekonomicznie? Rynek, analitycy, giełda, ratingi mówią zupełnie coś innego.

To zatem rodzaj presji biznesowej.

Wzmacnianie pozycji Orlenu jest w poprzek wielu interesom. Wielu zależałoby, żeby Orlen był słabą firmą. To dotyczy naszych inwestycji we wszystkich obszarach działalności.

To samo dotyczy inwestycji w energetykę jądrową?

Atom ma kilka wymiarów. Po pierwsze, oczywiście biznesowy. Nie będzie w przyszłości tańszego źródła produkcji energii elektrycznej. Ale jest również drogą do niezależności energetycznej. A to jest bardzo ważne. Reaktory SMR i MMR, czyli mikro i małe „atomy”, to technologia znana i stosowana od lat w łodziach podwodnych i lodolamaczach. Obecnie jest ona adaptowana do warunków pracy w systemach energetycznych ze szczególnym naciskiem na zwiększenie bezpieczeństwa użytkowania. Podpisaliśmy umowę z Synthos Green Energy, wchodząc w biznesową relację z GE Hitachi, które ma bardzo duże doświadczenie w budowie reaktorów jądrowych. Jest to też firma mająca know-how technologiczne i produkcyjne w dziedzinie paliwa jądrowego. Na świecie eksploatowanych jest ponad 400 reaktorów BWR dużych mocy. Reaktor BWRX, nad którym pracuje GE Hitachi, jest mniejszym modułowym układem z tą samą technologią. Już zdecydowała się na nią Kanada i wierzę, że

w 2029 r. w Polsce powstanie pierwsza elektrownia atomowa tego typu.

Partnerem przedsięwzięcia jest polska firma i, jak rozumiem, nie jest to bez znaczenia.

Połączyliśmy siły z kapitałem prywatnym, co powoduje, że inwestycja ta zyskuje nową dynamikę. Umowa joint venture z Synthos Green Energy daje nam możliwość współdecydowania

Za półtora roku rozpoczniemy budowę morskiej farmy wiatrowej na Bałtyku, staramy się o pozostałe koncesje na morzu. Aby stabilizować moce OZE, budujemy też jedną elektrownię gazową i przymierzamy się do drugiej

i niezależnie od czynników zewnętrznych, włącznie z politycznymi, pozwoli na skuteczną i stabilną realizację celu. Ta spółka wdroży technologię i wybuduje SMR dla dobra nas wszystkich.

Decyzje ministra Grada pokazały, że można latami budować i wydawać.

Opieszałość i długotrwałe analizowanie nie idą w parze ze skutecznością w biznesie. Elektrownia atomowa jest nam, Polakom, bardzo potrzebna. Gdyby rząd Platformy podjął decyzję o stworzeniu elektrowni atomowej, dziś budowa by już trwała, a za dwa-trzy lata popłynąłby pierwszy prąd z atomu. Rozwiązałoby to wiele problemów rynku energetycznego, z którymi obecnie musimy się mierzyć. Ale wtedy nie byłoby woli do działania. Kiedy zatrudnia się doradców, którzy wszystko w kółko analizują, to zanim podejmą decyzję, zmienia się technologia i znów trzeba wszystko od nowa analizować. Można się przerzucać papierami i listami intencyjnymi. Ja nie jestem człowiekiem chwili i obrazka, tylko człowiekiem czynu, który sprawia, że coś powstanie, coś się

wybuduje. I to udowodniłem. W tym roku wydamy ok. 10 mld zł na potężne procesy inwestycyjne i akwizycyjne. A w 2022 r. będzie jeszcze więcej. Dzięki temu PKN Orlen idzie do przodu. Rozwijamy się.

Atom da nam wspomnianą niezależność od surowców ze wschodu?

Tak, atom oraz odnawialne źródła energii zasilane wiatrem lub energią słoneczną. Ten świat jest tak poukładany, że kupując gaz czy ropę, choćby poprzez różnego rodzaju pośredników, nigdy nie mamy pewności, czy nie płacimy w kierunku wschodnim. Nie da się tego uniknąć. I trzeba zdawać sobie z tego sprawę, że wystarczy podnieść ceny gazu o 20–30 proc., aby obniżyć atrakcyjność naszej gospodarki. Czy to nie jest element szantażu ekonomicznego?

Tak można zdusić konkurencyjność wschodzącego rynku.

W przypadku krajów, które nie mają własnych surowców, liczy się zdolność do skutecznego konkurowania na globalnym rynku. I ten mechanizm wykorzystujemy w PKN Orlen. Inwestując w petrochemię, musimy się porozumiewać z firmami, które wydobywają surowce. Jeśli będą uczestniczyć w tym procesie, to im także będzie zależało na zyskach, więc nie będzie w ich interesie zaburzanie całego łańcucha produkcji. Musimy umieć tworzyć sojusze, gdy robimy biznes.

Kontrakt z Synthosem to nowość – publiczno-prywatny sojusz od lat nieobecny w gospodarce?

To polski kapitał, największy na świecie producent kauczuku. Orlen posiada wieloletnie doświadczenie współpracy z Synthosem – od 2007 r. wspólnie prowadzimy produkcję butadienu w Czechach. Tempo rozwoju tej firmy jest imponujące, więc dlaczego nie mielibyśmy doprowadzić do tego, że będziemy inwestować razem w nowatorskie projekty? Mamy umowy, które dają nam wzajemne korzyści. Idziemy w kierunku bezpiecznych, uznanych firm na świecie – GE Hitachi jest taką firmą, a Synthos Green Energy ma wyłączność na technologię BWRX-300 w Polsce.

To widoczny duży krok w kierunku transformacji PKN Orlen w zielony



koncern multienergetyczny. Kwestia czasu – jeśli chodzi o źródła energii – staje się polską racją stanu.

Zdecydowanie tak, ale czasu mamy mało. Chcemy przyspieszyć transformację, bo jako narodowy czempion mamy świadomość wyzwań, które stoją przed naszą branżą. Przypomnę tylko, że spotkałem się z krytyką, gdy Orlen przejmował Enerę. Teraz słyszę, że zrobiliśmy dobry biznes. Ciągłe pozyskujemy nowe farmy wiatrowe na lądzie, choć aby te działania rozwinąć jeszcze bardziej, pomogłaby nam zmiana ustawy wiatrakowej. Za półtora roku rozpoczniemy również budowę morskiej farmy wiatrowej na Bałtyku, staramy się o pozostałe koncesje na morzu. Aby stabilizować moce OZE, budujemy też jedną elektrownię gazową i przymierzamy się do drugiej. Czy to błędna strategia? Mógłbym przecież nic nie robić i wtedy pewnie nie byłoby tylu ataków na mnie, a może nawet zbierałbym pochlebstwa od mainstreamu.

Podobne ataki spotkały pana za fuzję z Lotosem.

Kończymy negocjacje, ale nie chcemy działać w tej sprawie pod presją czasu. Rozmowy z dużymi międzynarodowymi koncernami w sprawie inwestycji mają swoją dynamikę. Proces fuzji trwa. Jest zgoda i wsparcie polityczne rządu premiera Mateusza Morawieckiego na

Jeśli nie połączymy Orlenu z Lotosem, nie stworzymy koncernu multienergetycznego, gdańska rafineria może się znaleźć w poważnych tarapatach

jej przeprowadzenie. Przeciwnicy fuzji wiele mówili o konieczności dekarbonizacji, ale gdy się okazało, że to oznaczać może w przyszłości np. zamknięcie rafinerii, umilkli. Jeśli nie połączymy Orlenu z Lotosem, nie stworzymy koncernu multienergetycznego, gdańska rafineria może się znaleźć w poważnych tarapatach.

Elementem dopełniającym projekt multienergetyczny jest jeszcze PGNiG.

Bardzo istotnym elementem jest choćby scentralizowanie zakupów ropy i gazu. Nie możemy dawać się rozgrywać. Wiadomo, że w rozmowach liczy się wolumen i skala. Jeśli uzyskamy odpowiednią skalę, wzmacniamy naszą pozycję negocjacyjną. To także element bezpieczeństwa państwa oraz naszej odpowiedzialności za transformację. Dlatego robimy wszystko, aby doprowadzić ten proces do końca, żeby połączyć

się z PGNiG – to jest determinacja wynikająca właśnie z polskiej racji stanu. Niech sobie ktoś nie wyobraża, że się do tego zniechęcę i tego procesu nie przeprowadzę. W wyniku połączenia trzech firm powstanie koncern multienergetyczny, który będzie miał 200 mld przychodu. Przy tej skali zdecydowanie łatwiej nam będzie realizować inwestycje, np. wybudować w Polsce małe reaktory jądrowe.

Jak nie połączymy tych aktywów, to będziemy tylko analizowali i łatali tabelki, bo nie będzie nas stać na inwestycje. A o transformacji energetycznej w Polsce będzie można zapomnieć.

To deklaracja na rok 2022? Kończy się trudny rok 2021 – czas na prognozy.

Nie mam przekonania do takich podsumowań. Europejska polityka regulacyjna na pewno niesie wiele wyzwań dla firm z sektora paliwowo-energetycznego. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby Orlen był jak najlepiej do tego przygotowany. Jedno jest pewne – wytrzymają mocni i ci, którzy podejmują decyzje. I nie boją się iść do przodu.

Ale benzyna na święta będzie kosztowała mniej niż 6 zł za litr?

To mogę obiecać i w Orleniu tego dopilnuję.



Polskie rolnictwo nie przetrwa europejskiej polityki klimatycznej

Europejskie rolnictwo przeszkadza w realizacji ambitnych celów klimatycznych sformułowanych przez Komisję Europejską w ramach programu Fit for 55. Pojawiają się coraz to nowsze pomysły, co zrobić, aby zmniejszyć intensywność produkcji, a najlepiej całkowicie zlikwidować rolnictwo i hodowlę zwierząt, przestawiając się na import żywności i jej syntetyczną produkcję



MAREK BUDZISZ

Nowy rząd w Holandii zamierza w ciągu najbliższych 13 lat wydać nie mniej niż 25 mld euro, by skłonić farmerów, aby ci przestali tak intensywnie produkować mleko, mięso czy jaja. Docelowo władze chciałyby zmniejszyć co najmniej o 1/3 wielkość

hodowli zwierząt. W przypadku tego małego kraju, który ma więcej zwierząt hodowlanych w przeliczeniu na 1 km kw. powierzchni niż jakiekolwiek inne państwo tworzące Unię Europejską, tego rodzaju posunięcia mogą się wydawać uzasadnione, jednak inne pomysły rodzące się w głowach eurobiurokratów w praktyce oznaczają kres nowoczesnego rolnictwa w Europie.

POWRÓT DO ŚREDNIOWIECZA

I tak radykalni zwolennicy ekologicznego rolnictwa orędują w ramach Wspólnej Polityki Rolnej za uzależnieniem dopłat

unijnych, na które Unia przeznaczy 270 mld euro w latach 2023–2027, czyli 1/3 swego budżetu, od wprowadzenia trójpolówki, techniki uprawy roli zarzuconej na zachodzie Europy w średniowieczu. Jeśli rolnik, w świetle tych koncepcji, nie wprowadzi rotacji upraw i będzie rok po roku wysiewał np. kukurydzę, co jest powszechne na południu Francji, ale również w wielu miejscach w Polsce, to dopłat po prostu nie dostanie. Propozycja ta wywołała oburzenie i protesty francuskich rolników i ostatecznie w efekcie akcji 17 państw sprzeciwiających się tak radykalnym propozycjom udało się opóźnić zakres i czas jej wejścia w życie.

Jednak ekolodzy się nie poddają. Maria Noichl, socjalistyczna eurodeputowana niemiecka, powiedziała, że opóźnienie wejścia w życie regulacji wymuszających powrót europejskiego rolnictwa do średniowiecznych technik produkcji jest „policzkiem w twarz”. Dodała też, że jej grupa w Parlamencie Europejskim zrobi wszystko, aby przyspieszyć zmiany proekologiczne.

Inne pomysły są jeszcze ciekawsze. Charlie McConalogue, irlandzki minister rolnictwa, bez ogródek powiedział, że rząd zamierza (chcąc osiągnąć cele klimatyczne) zmniejszyć rolnictwo o 20 do 30 proc. Wywołał tymi deklaracjami wściekłość farmerów, którzy pod koniec listopada zablokowali swymi traktorami Dublin i inne miasta. Do podobnych protestów doszło ostatnio również w Brukseli, a wiosną w wielu miastach Francji rolnicy zablokowali ruch na drogach, wysyłając w ten sposób pod adresem rządu „pierwsze ostrzeżenie”. Natomiast ich koledzy z Hiszpanii wznowili protesty, które rozpoczęli w ubiegłym roku.

PROTESTY ROLNIKÓW

Organizacje rolnicze z 13 krajów Europy utworzyły wspólnie Farmers Defence Force i zamierzają organizować masowe protesty, aby doprowadzić do zmian w Europejskim Zielonym Ładzie. Bruksela ma zostać zablokowana przejazdem 20 tys. ciągników rolniczych, ale jeśli nie nastąpią zmiany, „stanąć może cała Europa”. Wydaje się jednak, że rolnicze protesty, które już poparło 50 polskich organizacji skupiających producentów żywności, mogą mieć w naszym kraju o wiele bardziej radykalny przebieg niż gdzie indziej. Powód jest prosty. O ile holenderscy czy francuscy farmerzy mogą być zaniepokojeni coraz bardziej radykalnymi pomysłami rodzącymi się w Brukseli i muszą się liczyć z ograniczeniami, o tyle polscy rolnicy mogą nie przeżyć już sformułowanych „umiarkowanych” pomysłów zapisanych w przyjętym w 2019 r. Europejskim Zielonym Ładzie czy strategii Fit for 55. Dlaczego? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy nieco uwagi poświęcić opisowi kondycji polskiego rolnictwa na tle Europy oraz zmianom, jakie ma zamiar wprowadzić Unia Europejska.

DROGI ZIELONY ŁĄD

Celem obecnej perspektywy budżetowej, która kończy się w 2027 r., ma być osiągnięcie stanu, w którym 25 proc. gruntów rolniczych będzie objęte uprawami ekologicznymi. W czasie najbliższych 10 lat o połowę ma zostać ograniczone zużycie pestycydów i innych środków ochrony roślin, których zastosowanie podnosi plony. Dodatkowo planuje się zmniejszenie nawożenia o 20 proc. Komisja Europejska chce, aby do 2035 r. silniki spalinowe przestały być używane zarówno w transporcie, jak i w rolnictwie. Z perspektywy rolnika oznacza to, że jego dochody spadną, bo zmniejszenie stosowania nawozów i środków ochrony roślin obniży plony, wzrosną za to, i to skokowo, nakłady na inwestycje.

Wprowadzenie Zielonego Ładu będzie kosztowało bardzo drogo, i to nie tylko konsumentów, którzy muszą się liczyć ze skokowym wzrostem cen żywności. Trzeba będzie zmienić technologię, kupić nowe maszyny, wycofać się z niektórych działów produkcji, zdecydować się na długotrwałe i kosztowne procedury biurokratyczne, choćby w zakresie certyfikowania produkcji rolniczej.

KŁOPOTY POLSKI

Problemem jest to, że Polska do tych rewolucyjnych zmian jest wyjątkowo źle przygotowana, znacznie gorzej niż inni. Jest to efekt zarówno rozdrobnienia naszego rolnictwa, jak i fatalnej polityki rolnej ostatnich rządów, która doprowadziła do zakonserwowania archaicznej struktury naszego rolnictwa, przeszkadzała naturalnym zmianom mogącym prowadzić do powstania silniejszych kapitałowo, zdolnych do modernizacji gospodarstw rolnych.

Zacznijmy od kwestii ekologiczacji rolnictwa, pamiętając, że Komisja Europejska chce, aby za sześć lat objęte nimi było 25 proc. gruntów rolnych. Jak wynika z przeprowadzonych przez NIK kontroli, na podstawie własnych analiz oraz danych zewnętrznych, w Polsce w latach 2014–2018 liczba producentów ekologicznych zmniejszyła się o 19,2 proc., powierzchnia upraw o 26,3 proc. Dzisiaj objęte jest nimi niespełna 500 tys. ha gruntów rolnych, czyli niecałe 3 proc. Niekorzystnych

trendów nie udało się w ostatnich latach zatrzymać. I tak z badań Grażyny Nachtman z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej wynika, że w 2020 r. liczba certyfikowanych gospodarstw ekologicznych i znajdujących się w fazie konwersji wynosiła 18 575, podczas gdy jeszcze w 2013 r. było ich 26 598. Podobnej redukcji uległ areal objęty uprawami ekologicznymi, który w 2020 r. wyniósł 509 291 ha, podczas gdy w roku 2013 było to 669 969 ha.

Polacy wydają średnio w roku 4 euro na produkty rolnictwa ekologicznego, podczas gdy średnia światowa wynosi 11 euro, nie mówiąc już o europejskiej wynoszącej 44 euro. W Polsce nie ma dziś rynku żywności ekologicznej i trudno się temu dziwić, skoro jest ona średnio cztery, a nawet pięć razy droższa niżli tradycyjna. Co gorsze, nasz handel detaliczny, kontrolowany przez duże sieci supermarketów, domaga się stałych dostaw w ilościach, których rozdrobnione polskie rolnictwo nie jest w stanie zapewnić. Nie tylko dlatego, że skala produkcji jest mniejsza, lecz także z powodu braku możliwości jej przechowania i – co najważniejsze – kapitału niezbędnego do sfinansowania całorocznych zapasów, które do sieci trafiają w miesięcznych partiach i są opłacane nawet kilka miesięcy po zrealizowaniu dostaw.

Słabość kapitałowa polskiego rolnictwa jest dziś jedną z podstawowych barier utrudniających, a nawet uniemożliwiających modernizację. Warto pamiętać, że ograniczenie używania środków ochrony roślin czy nawozów oznacza zmiany technologii stosowanych w rolnictwie, a nie tylko mniejsze plony. Aby kupić nowe maszyny, trzeba mieć środki na inwestycje, których polscy rolnicy w swej masie nie mają. Dlaczego? Gospodarują na znacznie mniejszych arealach niż ich zachodni konkurenci, mają mniejsze stada bydła, a wychwalane przez polityków przewagi konkurencyjne naszego rolnictwa nie są wynikiem niczego innego jak faktu, że w Polsce właściciele gospodarstw rolnych są opłacani za swoją pracę znacznie gorzej niż farmerzy w państwach zachodnich. Zarabiają nawet mniej niż ich koledzy z byłych państw bloku wschodniego położonych na południe od Polski. Wystarczy rzucić okiem na statystyki.

Z danych zebranych w czasie ostatniego spisu rolnego wynika, że polscy rolnicy, aby przeżyć, muszą dorabiać. Działalność rolnicza stanowi główne źródło utrzymania, przekraczające 50 proc. dochodów ogółem, jedynie dla niespełna 1/3 gospodarstw rolnych w Polsce. Jedynie 30 proc. polskich gospodarstw rolnych osiąga obecnie dochód powyżej minimalnego wyznaczenia. Jednocześnie w przypadku tylko 9,8 proc. gospodarstw (149 tys.) można mówić o osiągnięciu dochodu na poziomie średniej krajowej. Nasi rolnicy w swej masie mają mniejsze zasoby kapitałowe, dlatego mniej inwestują. Średnio na 1 ha posiadanych gruntów nakłady kapitałowe w Polsce wynoszą 1,1 tys. euro i są niższe od średniej europejskiej (EU-28 1,7 tys. euro).

Tę różnicę skali, a przez to możliwości gromadzenia kapitału niezbędnego na zmiany, najlepiej widzieć na przykładzie produkcji mleka. Porównując wydajności osiągane np. przez rolników z Wielkopolski (8725 litrów od krowy) okazuje się, że nie są one wiele niższe niż średnia w Brandenburgii (9477), tylko że niemiecki farmer w tym regionie ma średnio 394 krowy, a polski, w Wielkopolsce 37. Te relacje, gdyby wziąć pod uwagę Podlasie, czyli polskie „zagłębie mleczne”, wyglądają jeszcze gorzej. Oznacza to, że polski rolnik, mający mniejsze gospodarstwo, więcej robi sam, ma mniejszy kapitał, trudniej mu inwestować i unowocześniać się tak, aby sprostać coraz to nowszym wymaganiom formułowanym przez Unię.

Wprowadzony w Polsce system dystrybucji dopłat unijnych też mu w tym nie pomaga. Miały one wyrównywać warunki konkurencji dla producentów żywności, ale w Polsce dopłaty traktowane są jako pomoc socjalna. Otrzymuje je każdy, kto posiada i uprawia ziemię, ale to oznacza, że naszą pulę unijnych dopłat dystrybuujemy obecnie na 1,3 mln gospodarstw, podczas gdy tych, którzy produkują żywność na rynek, jest w Polsce ok. 400 tys. W efekcie, jak wynika z badań ekspertów z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, w latach 2005–2015 statystyczne

gospodarstwo rolne w Polsce otrzymało 5,3 tys. euro dopłat, a w Niemczech było to 33,8 tys. euro. Czy środki te mogą być impulsem dla modernizacji, zmiany technologii produkcji? Raczej nie.

Polityka rolna w Polsce w ostatnich 20 latach sprzyjała konserwowaniu archaicznego rolnictwa, w którym funkcjonują jedynie wyspy nowoczesności. A szkoda, bo jak wynika z badań prof. Wojciecha Kniecia z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, polscy rolnicy są

Słabość kapitałowa polskiego rolnictwa jest dziś jedną z podstawowych barier utrudniających, a nawet uniemożliwiających modernizację. Warto pamiętać, że ograniczenie używania środków ochrony roślin czy nawozów oznacza zmiany technologii stosowanych w rolnictwie, a nie tylko mniejsze plony. Aby kupić nowe maszyny, trzeba mieć środki na inwestycje, których polscy rolnicy w swej masie nie mają

najmłodszy w Europie. Zarazem ukształtowała się już grupa młodych, dobrze wykształconych rolników, którzy chcą się rozwijać, ale nie mogą. Nie tylko dlatego, że brakuje im kapitału, ale państwo blokuje zmiany modernizacyjne. Mamy najbardziej restrykcyjną w Europie ustawę o obrocie ziemią rolną i największą liczbę małych, karłowatych gospodarstw, z których 1/3 nie stosuje w ogóle nawozów i środków ochrony roślin, co gorsza, nic nie produkując lub robiąc to tylko na swoje potrzeby. Dzisiejsze rolnictwo w Polsce, traktując je jako producenta żywności, wykorzystuje jedynie

60 proc. własnego potencjału, jakim są grunty orne. Całe regiony Polski z rolniczego punktu widzenia tkwią dziś w czasach sprzed 100 lat. Paradoksalnie one nie muszą myśleć o programie Fit for 55, bo są bardzo ekologiczne. Dlaczego? Bo niczego na rynek nie produkują i stosują archaiczne technologie.

Państwo polskie konserwuje ten stan rzeczy, zapominając o działaniach z zakresu usług publicznych. Leży melioracja, mała retencja i gospodarka wodna, w efekcie dostępność wody np. w Wielkopolsce jest porównywalna z sytuacją Egiptu. Z ostatniego Powszechnego Spisu Rolnego wynika, że jedynie 23 proc. polskich gospodarstw stosuje nawozy wapniowe. Naukowcy z puławskiego Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa obliczyli, że powinniśmy stosować 2 tony nawozów wapniowych na hektar, a używamy jedynie 91 kg. Dlaczego jest to takie ważne? Dlatego, że zakwaszenie gleby, co jest powszechnym w Polsce zjawiskiem, zmniejsza wydajność i przyswajanie azotu ze źródeł naturalnych. Od biedy można sobie poradzić, jeśli stosuje się nawozy sztuczne, ale jeśli przejdziemy na uprawy ekologiczne i zastosujemy się do zaleceń unijnych nakazujących zmniejszenie nawożenia, to plony spadną, i to drastycznie.

A CENY BĘDĄ ROSŁY

Ci, którzy nie żyją w Polsce z rolnictwa, choć mieszkają na wsi, zapewne tego nie zauważą, ale 400 tys. młodych i chcących się rozwijać polskich producentów żywności nie zniesie polityki polegającej w gruncie rzeczy na spadku dochodów przy jednoczesnym wzroście nakładów. Podobnie zresztą jak konsumenci, już narzekający na rosnące ceny. Frans Timmermans, odpowiedzialny w Komisji Europejskiej za politykę klimatyczną, swymi nieprzemyślanymi posunięciami doprowadził już do kilkukrotnego w tym roku wzrostu cen energii. Musimy się przygotować na podobny, skokowy, wzrost cen żywności. Nie wytrzymają tego ani rolnicy, ani konsumenci.

SIECI *Pod choinkę*

*Wymarzone
prezenty Polaków
– nasz sondaż*

s. **48**

*Czy Jezus
naprawdę urodził
się 25 grudnia?*

s. **50**

*Ostatnia
rola Ordonki*

s. **78**

*Biznesy
polskich piłkarzy*

s. **96**

*Sekrety
miłości królewskiej
pary Jana III Sobieskiego
i Marysieńki*

s. **82**



Wigilia w domowym zaciszu

Na te kilka pięknych, rodzinnych, pachnących piernikiem i kapustą z grzybami dni czekamy z wytęsknieniem cały rok. O to, co najbardziej chcielibyśmy w tym roku dostać pod choinkę i przy jakim drzewku odśpiewamy kolędy, tygodnik „Sieci” zapytał Polaków za pośrednictwem pracowni Social Changes



DOROTA ŁOSIEWICZ

Okazuje się, że wymarzone prezentem Polaków pod choinkę jest po prostu gotówka. Takiej odpowiedzi udzieliło aż 26 proc. badanych. Na drugim miejscu w prezentowym rankingu uplasowały się ex aequo zagraniczna wycieczka i tradycyjna książka – po 9 proc. Nieco mniej, bo 8 proc. Polaków życzyłoby sobie znaleźć pod choinką laptopa lub komputer stacjonarny. Na smartfona liczy 7 proc. Tylko 6 proc. ankietowanych chciałoby dostać sprzęt RTV/AGD, karnet na zabiegi upiększające lub masaże, podobnie jak kosmetyki czy perfumy. 5 proc. ucieszyłoby się z biżuterii, ubrania lub butów. O zegarku marzy tylko 3 proc. Polaków, a o e-booku zaledwie 1 proc.

Jednocześnie z badania przeprowadzonego przez UCE Research i Grupę Blix, w którym badanych zapytano m.in. o kategorie, w których zamierzają kupić świąteczne prezenty, wynika, że Polacy najczęściej na prezent kupią zabawki. Aż 64 proc. badanych wskazało właśnie na tę kategorię. Kosmetyki chce kupić 52 proc. ankietowanych, tyle samo kupi słodczyce.

Na ubrania wskazało 40 proc. pytaných. Co trzeci respondent planuje podarowanie bliskim perfum oraz książek, a co piąty wskazał na artykuły domowe. Wygląda więc na to, że nie wszyscy mogą być zadowoleni.

BOŻONARODZENIOWE DRZEWKO

Okazuje się, że w większości polskich domów nie zapachnie w tym roku lasem i igliwem, ale raczej... plastikiem. Jak wynika z badania pracowni Social Changes, zdecydowana większość Polaków kultuwyje tradycję świąteczną związaną z ubieraniem choinki i 79 proc. badanych będzie miało w domu bożonarodzeniowe drzewko. Tylko 14 proc. nie ma takiego planu, a 7 proc. jeszcze nie zdecydowało, czy mieć choinkę, czy nie mieć.

W naszych domach królować jednak będą sztuczne drzewka. Plastikową choinkę ubierze aż 63 proc. Polaków, a żywe drzewko pojawi się częściej niż w co trzecim domu (37 proc. badanych deklaruje, że zagości u nich prawdziwe drzewko).

GDZIE BĘDIEMY ŚWIĘTOWAĆ

Zdecydowana większość Polaków spędzi tegoroczne święta Bożego Narodzenia we własnym domu (aż 69 proc. badanych przez Social Changes). Nie można wykluczyć, że to wpływ pandemii i strach przed ryzykiem, jakie niesie zakażenie SARS-CoV-2. Tylko 23 proc. ankieto-

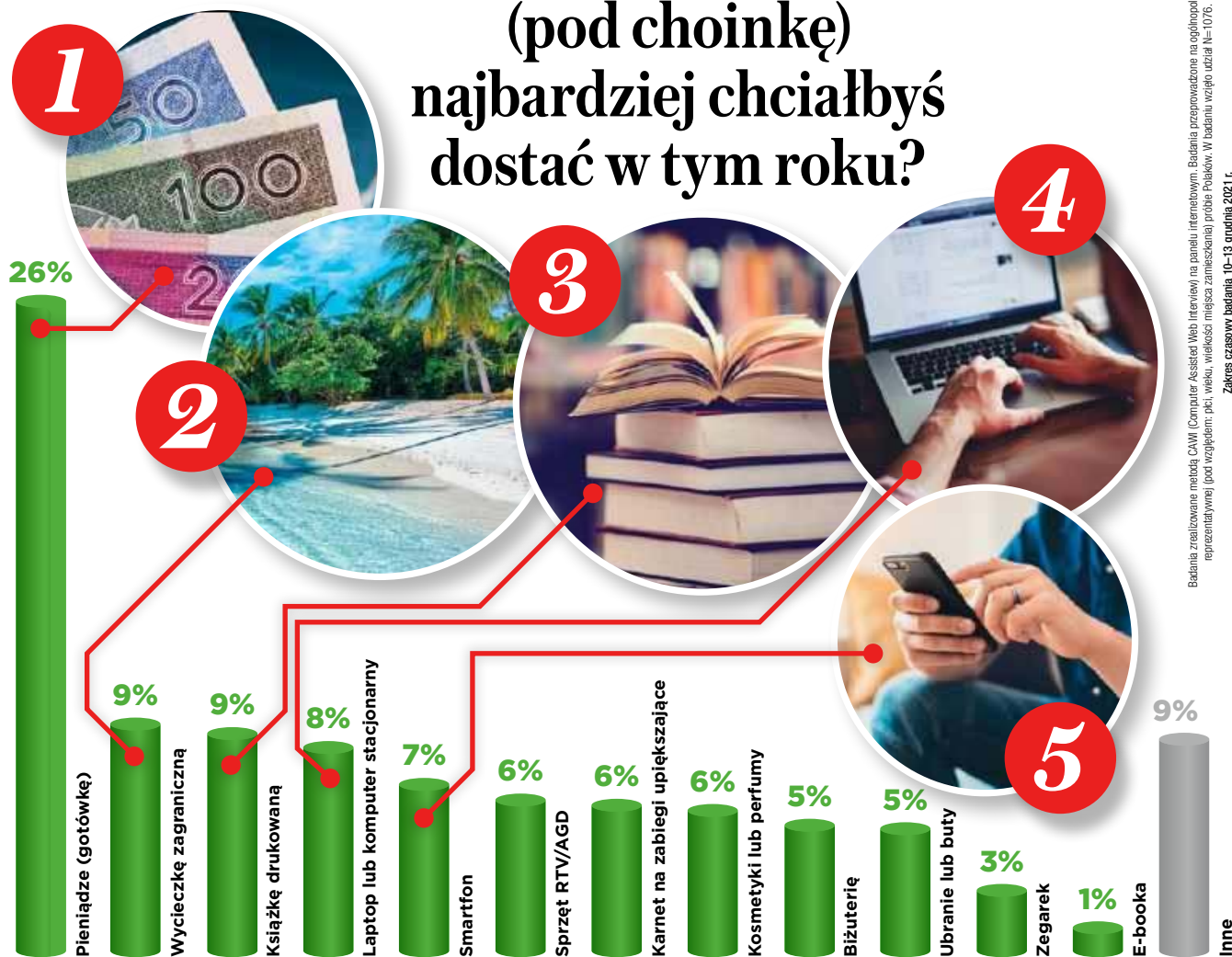
wanych wybiera się w odwiedziny do rodziny, z wizytą do przyjaciół i znajomych oraz na zagraniczne lub krajowe wczasy wybierze się zaś po 1 proc. Polaków. Tylko 4 proc. z nas nie ma jeszcze planów na święta.

ILE WYDAMY

Ze wspomnianego już badania przeprowadzonego przez UCE Research i Grupę Blix wynika, że na świąteczne prezenty Polacy wydadzą od 50–100 zł na osobę i obdarują nimi średnio trzy–cztery osoby. Niemal co trzeci Polak (29 proc.) zamierza przygotować prezenty świąteczne średnio dla czterech–pięciu osób. Z kolei co piąty pytany obdaruje sześciu–siedmiu bliskich. Podobny odsetek pytaných wskazało na dwie–trzy osoby do obdarowania, natomiast 15 proc. respondentów przygotowuje podarunki dla więcej niż 10 osób. Co dziesiąty Polak zadeklarował osiem–dziesięć osób do obdarowania, 2 proc. chce wręczyć upominek jednej osobie. Zaledwie 1 proc. Polaków nikomu nie kupi prezentu. Według badania największa grupa respondentów, bo 43 proc., wyda na prezenty kwotę w przedziale od 50 do 100 zł. Z kolei od 101 do 200 zł przeznaczy na prezenty 20 proc. Polaków. 17 proc. pytaných zadeklarowało kwotę do 50 zł. 4 proc. respondentów jeszcze nie wie, ile pieniędzy przeznaczy na ten cel. Tylko 2 proc. Polaków deklaruje kwotę wyższą niż 500 zł na osobę.

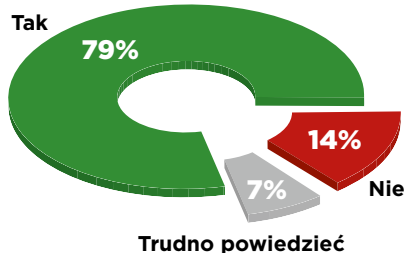
Jaki prezent świąteczny

(pod choinkę)
najbardziej chciałbyś
dostać w tym roku?

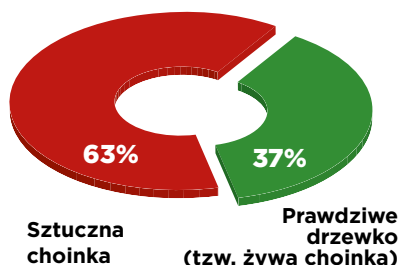


Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem pci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1076. Zakres czasowy badania 10-13 grudnia 2021 r.

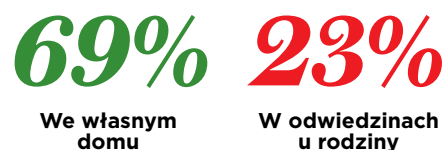
Czy w tym roku będziesz miał choinkę świąteczną w domu?



Jaką choinkę świąteczną będziesz miał w tym roku?



Gdzie w tym roku zamierzasz spędzić święta Bożego Narodzenia?



1% W odwiedzinach u przyjaciół lub znajomych
1% Wyjadę wypoczynkowo za granicę
1% Wyjadę wypoczynkowo na terenie Polski
1% Inne

4% Trudno powiedzieć



Pod choinkę



Mity i fakty o Bożym Narodzeniu

Boże Narodzenie obchodzono w chrześcijaństwie od IV w., ale wokół jego powstania, daty obchodów oraz zwyczajów narodziło wiele mitów. Odkrycie prawdziwych początków tego święta i właściwej jego scenerii pozwala lepiej zrozumieć jego istotę i wymowę

Autopromocja



Fot. Włoczyński Krzysztof/Muzeum Narodowe w Warszawie

Obraz Bożego Narodzenia był niekiedy przeinaczany w dobrej wierze i nie wpływał na odczytanie istoty święta. Na przykład śpiewamy w kolędzie słowa, które nie wydają się prawdziwe: „I Józef stary, I Józef stary...”. Faktycznie nie wiadomo, ile miał on lat, kiedy poprosił o rękę Maryi. Z pewnością nie był wówczas niesprawnym starcem, gdyż w Izraelu małżeństwa zawierano w młodym wieku, o wiele młodszym niż obecnie. Józef mógł mieć 20 lat albo niewiele więcej. Tym bardziej można zrozumieć, jak wielką musiał mieć osobistą rozterkę, gdy się dowiedział, że jego żona, „zanim zamieszkali razem”, jest brzemienna. Ale obraz Józefa jako niedołężnego starca wprowadził do tradycji chrześcijańskiej apokryf „Protoewangelia Jakuba”, którego anonimowy autor chciał w ten sposób wskazać, że wiążąc się z Maryją, nie był on już zdolny do pożycia małżeńskiego i był najwyżej opiekunem Jezusa, a nie ojcem. To, co w tym apokryfie stanowiło jedynie pewien obraz czy metaforę, przyjęto jako wskazówkę wieku Józefa. I tak pozostało.

Jeszcze niedawno w kolędzie „Wśród nocnej ciszy” śpiewaliśmy „cztery tysiące lat wyglądany”, obecnie zmieniono na „tyle tysięcy lat...”. Dlaczego cztery tysiące? To znaczyło, że Zbawiciel, zapowiedziany już w biblijnym opisie raju, był oczekiwany od początku świata. A przez stulecia wierzone – na podstawie zbyt dosłownej i subiektywnej lektury Starego Testamentu – że stworzenie istnieje od około czterech tysięcy lat. Śladem tych przekonań jest używana do dziś w Izraelu rachuba lat od początku świata. Dlatego w oficjalnym kalendarzu żydowskim jest obecnie rok 5782, nawet jeśli dziś wiemy znacznie więcej o wieku kosmosu. Kiedy jednak dziś śpiewamy „tyle tysięcy lat wyglądany”, także musimy sobie zdać sprawę, że Zbawiciel był oczekiwany – świadomie lub podświadomie – zawsze, przez całe dzieje, od momentu gdy człowiek utracił łaskę pobytu w raju i dostępu do drzewa życia.

KIEDY ZACZYNAJĄ SIĘ ŚWIĘTA

Tu także zachodzi pewna dezorientacja: kiedy właściwie rozpoczynają się święta? Z pewnością wielu odpowie, że w Wigilię. Takie jest bowiem powszechne przekonanie. Zwraca na to uwagę Zofia Kossak, która pisze w „Roku polskim”, że wigilia to „wieczera o charakterze sakralnym, tak mocno związana z nami uczuciowo, że w oczach wielu Polaków przesłania właściwe święto. Staje się treścią zamiast wstępem”.

Tymczasem łacińskie słowo „vigilia” oznacza czuwanie nocne, zazwyczaj w świątyni, przed ważnym świętem. To jednak dobrze, że w Polsce ta Wigilia ma szersze znaczenie, obejmuje cały dzień 24 grudnia, może też określać samą wieczerzę spożywaną po zachodzie słońca albo sam wieczór przed świętem przeżywany w domu w gronie rodzinnym.

W naszym kalendarzu to wciąż 24 grudnia, chociaż według rachuby biblijnej i liturgicznej od zachodu słońca liczy się już dzień następny. I w naszym pojęciu wigilijna,



MILENA KINDZIUK

Jeszcze do **26 grudnia** możesz kupić poprzednie wydanie tygodnika **SIECI** z płytą **Golec ʘOrkiestra „Kolędowanie z Janem Pawłem II”**

PYTAJ W KIOSKACH

eprasa.pl 74cdb12153





niepowtarzalna w Polsce liturgia domowa otwiera już święto Bożego Narodzenia, chociaż jego kulminacyjnym momentem jest dopiero pasterka, czyli msza św. odprowadzana zazwyczaj o północy, gdy z radością powtarzamy śpiew aniołów, jaki kiedyś usłyszeli pasterze trzymający nocą straż na polach pod Betlejem: „Chwała na wysokości Boga, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

W krajach, gdzie nie jest znany opłatek – a pozostaje on niemal nieznany poza Europą Środkową i środowiskami polonijnymi – budzi on niezrozumienie. Gdy jeden ze znajomych przesłał opłatek do przyjaciół z Wielkiej Brytanii, zapytali go, czy otrzymali w liście komunie świętą. To fakt, że opłatki są wypiekane z białutkiej mąki pszennej i czystej wody, tak jak komunikanty i hostie używane we mszy św., i mają podobny wygląd. Ale są one jedynie błogosławione, nie konsekrowane, nawet jeśli ich nazwa pochodzi od łacińskiego słowa „oblatus” (ofiarowany) i może być traktowany jako synonim terminu „hostia”, oznaczającego ofiarę, dar ofiarny. Chociaż nie jest to chleb konsekrowany we mszy św., jednak lepiej jest zaopatrzyć się w opłatki w kościele, które są faktycznie pobłogosławione, niż nabywać je w sklepie. Dobrze też, że w polskiej tradycji opłatki układa się na wigilijnym stole niemal jak na ołtarzu, z szacunkiem, na osobnym, ozdobionym talerzu, na bochenku chleba lub na białym na obrusie, ułożonym na garści słomy lub siana. Co więcej, dzielenie się opłatkiem należy do najbardziej wzruszających i świętych momentów wigilijnego wieczoru.

MITY O CHOINCE, SIANIE I SŁOMIE

Wciąż pokutuje stare przekonanie, że choinka wzięła się z pogańskiej tradycji, germańskiej lub celtyckiej. Wciąż można przeczytać w świątecznych tekstach w mediach, że to przejęcie prastarego zwyczaju lub że stawia się w domach drzewko iglaste, by jego igły – zgodnie z jakimś odwiecznym przekonaniem – odstraszały złego.

Jak bardzo są to tezy nieuzasadnione i niepotwierdzone w źródłach historycznych, można się dowiedzieć z lektury książki ks. prof. Józefa Naumowicza pt. „Historia świątecznej choinki”. Autor zgadza się, że dekorowanie domów, bram czy dróg było znane chyba w każdej kulturze i że do tej dekoracji używano najchętniej kwiatów lub zielonych gałązek. Wbrew jednak powszechnie przyjętej opinii nigdzie nie był znany zwyczaj, by przynosić do mieszkania na przesilenie zimowe zielone drzewko, umieszczać na nim światła, owoce oraz inne dekoracje.

„Taki zwyczaj pojawił się dopiero w chrześcijaństwie, gdy w późnym średniowieczu zaczęto organizować tuż przed samym Bożym Narodzeniem inscenizacje ukazujące pobyt

prarodzców Adama i Ewy w raju (do dziś 24 grudnia to dzień Adama i Ewy), ich kuszenie przez węża i utratę pierwotnej szczęśliwości. W tych popularnych przedstawieniach głównym rekwizytem na scenie było zielone rajske drzewo życia” – tłumaczy ks. prof. Naumowicz.

Nawet gdy te inscenizacje zamarły, to jednak piękne, zielone drzewka – najczęściej iglaste – bogato oświetlone i udekorowane, stawiane już teraz w domach i na placach miast, stały się symbolem Bożego Narodzenia, przypominającym o rajskim drzewie życia i nowym otwarciu bram raju dla człowieka.

„Najstarszy znany zapis o tej praktyce urządzania bożonarodzeniowych choinek zachował się w archiwach katedry w Strasburgu, w których pod rokiem 1492 czytamy, że wtedy na święta »kupiono dziewięć jodeł dla dziewięciu kościołów«. Dalsze zapisy pokazują, że odąd szybko zaczął się rozwijać ten zwyczaj, najpierw w Alzacji i w regionach po obu stronach Renu, na pograniczu Niemiec i Francji, by potem rozwijać się w innych krajach. Dopiero jednak w XIX w. stał się on bardziej popularnym i powszechnym elementem obchodów Bożego Narodzenia na wybranych obszarach” – pisze ks. prof. Naumowicz.

W Polsce pierwsze choinki pojawiły się w Gdańsku i na Śląsku, potem na terenach zaboru niemieckiego. W Warszawie pojawiły się na początku XIX w., gdy miasto to

było pod zaborem pruskim, stąd stawianie choinek określano początkowo jako „zwyczaj pruski” – wyjaśnia autor „Historii świątecznej choinki”.

„Także przynoszenie na Wigilię do domów siana czy snopów zboża lub wyścielanie kościołów słomą na czas Bożego Narodzenia lub na moment przedstawiania jasełek nie ma podłoża pogańskiego czy jedynie folklorystycznego lub zabobonnego, ale było nawiązaniem do ubogich warunków, w jakich znalazł się Nowonarodzony” – czytamy w książce „Historia świątecznej choinki”. Ta sceneria pozwalała nie tylko lepiej ukazać „uniżenie” Chrystusa, który przyszedł na świat w ciszy i pokorze, prawie niezauważalnie, bez niezwykłych znaków ani zewnętrznej wielkości, w dodatku pojawił się nie w stolicy wielkiego Rzymskiego Imperium, ale w zapadłym zakątku Palestyny, w miasteczku, o którym mało kto słyszał, zupełnie na peryferiach wielkiego świata. Co więcej, pozwalała mocniej uwierzyć w przeogromną miłość Zbawcy, który „dla nas i dla naszego zbawienia” „opuścił śliczne niebo i obrał ludzkie barłogi”.

MITY O POGAŃSKIEJ DACIE BOŻEGO NARODZENIA

To najbardziej powszechne wyjaśnienia daty 25 grudnia jako święta narodzenia Jezusa: w tym dniu w starożytności umieszczano przesilenie zimowe i dlatego skupiały się wtedy liczne święta pogańskie, zwłaszcza kultu słońca, naro-



Książka prof. Józef Naumowicz

dzin irańskiego boga Mitry czy egipskiego Horusa. Stąd też chrześcijanie, chcąc zastąpić te bogate obchody, wyznaczyli wtedy własną uroczystość i przejęli popularną pogańską datę. Ta teza, rozwinięta zwłaszcza w epoce oświecenia czy pozytywizmu, jest powtarzana do dziś, także w kręgach badaczy chrześcijańskich.

„To jeden z oświeceniowych mitów przyjmujących, że chrześcijaństwo nie wytworzyło oryginalnych świąt, ale wykorzystywało zawsze i rozwijało jedynie dawniejsze zwyczaje. Stanowczo przesadzony jest także pogląd, że 25 grudnia był szczególnie ważny w starożytnym kulcie pogańskim” – wykazuje ks. prof. Józef Naumowicz w opublikowanej właśnie przez Wydawnictwo Naukowe UKSW książce pt. „Prawdziwe początki Bożego Narodzenia”.

– Niewątpliwie kult słońca był rozpowszechniony w Cesarstwie Rzymskim, ale skupiał się raczej na datach przypadających latem, a nie zimą. Święto narodzin słońca 25 grudnia nie należało do szczególnie ważnych. Gdyby chodziło o zastąpienie obchodów pogańskich, znalazłyby się inne, bardziej groźne dla Kościoła. Natomiast moment przesilenia zimowego dobrze wyrażał koncepcje biblijne i chrześcijańskie, według których przyjście Zbawiciela było określane jako wzejście słońca, przyświecenie światłości na świat rozświetlającej ziemskie mroki. W dodatku święta chrześcijańskie od początku były wpisane w bieg roku astronomicznego, o czym najlepiej świadczą obchody Wielkanocy, wyznaczane zawsze na wiosnę, na niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca. Taki układ roku liturgicznego był typowy dla chrześcijaństwa i nie jest niczym dziwnym, że drugą co do ważności po Wielkanocy uroczystością, czyli Boże Narodzenie, Kościół umieścił w symbolicznym momencie roku astronomicznego, jakim jest przesilenie zimowe. To był decydujący powód wyboru tej daty, a nie pragnienie zastąpienia obchodów pogańskich – mówi tygodnikowi „Sieci” ks. prof. Józef Naumowicz.

To fakt, że przy ustalaniu dnia narodzenia Jezusa nie stawiano pytań o dokładny czas tego wydarzenia. „Ważniejsza była symbolika wybranej daty. Stąd wybór 25 grudnia. Również daty innych świąt umieszczano w znaczących momentach cyklu natury. Przy obchodach Zwiastowania (25 marca), narodzenia św. Jana Chrzciciela (24 czerwca) czy narodzenia Jezusa (25 grudnia), nie stawiano pytań o dokładny czas tych wydarzeń. Ważniejsza była symbolika wybranych dat kalendarzowych i ich związek z naturalnym cyklem astronomicznym. Pomagało to przeżywać upływ czasu i różne pory roku w odniesieniu do Chrystusa” – czytamy w „Prawdziwych początkach Bożego Narodzenia”. To także tłumaczy, dlaczego chętnie przyjęto moment zimowego przesilenia jako datę narodzenia Jezusa. – Dzień ten symbolizował zwycięstwo światła nad ciemnościami. Doskonale odpowiadał więc, by wtedy czcić też narodziny Tego, który jest prawdziwą światłością, przychodzącą z wysoka – zaznacza ks. prof. Naumowicz.

DWA KALENDARZE

Nieporozumieniem jest twierdzenie, że prawosławni i grekokatolicy obchodzą Wigilię 6 stycznia, a Boże Narodzenie następnego dnia. To prawda, że tak jest w naszym kalendarzu. Tymczasem świętują oni Boże Narodzenie także 25 grudnia,

tylko datę tę ustalają według kalendarza juliańskiego, stosowanego w tamtych Kościołach. Między kalendarzem juliańskim i używanym powszechnie gregoriańskim różnica wynosi 13 dni. Gdy więc w naszym kalendarzu jest 6 stycznia, według juliańskiego to dopiero 25 grudnia. Generalnie więc data jest ta sama i taki sam charakter święta.

Pewne zamieszanie w Polsce powoduje katolicka nazwa święta 6 stycznia. W oficjalnym języku Kościoła to uroczystość Objawienia Pańskiego, u nas popularnie nazywane jest ono świętem Trzech Króli. Jednak należy ono do tzw. świąt Pańskich, kiedy czcimy Pana Jezusa. On jest w centrum uwagi i Jemu składamy pokłon, chociaż w tym dniu robimy to za przykładem mędrców ze Wschodu i razem z nimi. Popularna nazwa pojawiała się wtedy, gdy w XII w. przywieziono do Kolonii relikwie tych mędrców, zwanych Królami, i ich kult stał się tak powszechny, że zaciemnił nawet właściwy charakter uroczystości Epifanii.

Największe zafalszowanie Bożego Narodzenia polegałoby na tym, by uważać je wyłącznie za przejaw tradycji, zwyczaju, folkloru i by mówić jedynie o jakiejś „magii” świąt. Tymczasem jego istotą nie jest magia, ale niezwykła Rzeczywistość, wielka i piękna Tajemnica, największa, jakiej nie można nawet sobie wyobrazić, że oto Bóg, pozostając w pełni Bogiem, stał się jednocześnie w pełni człowiekiem.

Korzystałam z następujących książek ks. prof. Józefa Naumowicza: „Prawdziwe początki Bożego Narodzenia”, Wydawnictwo Naukowe UKSW, 2021, oraz „Historia świątecznej choinki”, Wydawnictwo Literackie, 2016.

REKLAMA



Z okazji Świąt Narodzenia Pańskiego
życzymy radości, nadziei
i zaufania Nowonarodzonemu.
Niech Pan wyzwala z lęku
o życie doczesne,
o przyszłość i napętnia nadzieję
na lepsze jutro.



W imieniu
Zespołu
Radia Warszawa
Ksiądz
Mariusz Wedziuk
Dyrektor
Redaktor Naczelny



Wspomnienie z Galilei

To było jeszcze przed wybuchem globalnej zarazy. Spędzając wraz z żoną sporą część zimy w Galilei, miałem poczucie, iż spełniam swego rodzaju kulturową powinność Europejczyka i chrześcijanina, aby choć raz w życiu pochodzić śladami Nauczyciela z Nazaretu



JAN ROKITA

Z mojej perspektywy słońce wschodzi gdzieś nad nie tak odległym Damaszkiem i wylania się zima zza Wzgórz Golan, trochę po szóstej rano. Lubię o tej porze z gorącą kawą wyjść na pagórek nieopodal domu, by obserwować kolorystyczne zmiany, jakie następują o tej porze nad jeziorem Genezaret. Jezioro o tej porze jest mglisto-stalową nieprzejrzystą przestrzenią, choć szczyt Hermonu na północnym wschodzie i Wzgórz Golan na wschodzie są już całkiem jasne i przejrzyste. Najpierw odsłania się nie-

wielka zatoka na północno-zachodnim krańcu jeziora, tam gdzie leży starożytna Magdala (rodzinne miasteczko Marii Magdaleny), i to jest miejsce, na którym najprędzej zobaczyć można odbłask wody. Pobliska Tyberiada jest o tej porze popielatą, nieprzejrzystą, podłużną plamą i gdyby tego nie wiedzieć, trudno doprawdy byłoby przypuścić, że ów gęsty, matowy obłok jest śladem obecności w tym miejscu dużego przecieć miasta.

Ponad stalową przestrzeń, za którą kryją się jezioro i jego wybrzeże, powoli zarysowuje się pas lekkiego różu: to pierwszy znak słońca, które nad Golanem jest już potężną rozlewającą się żółtą świetlistością. Ale z mojego punktu obserwacyjnego, położonego w świętym mieście Tsfat, czyli tysiąc metrów nad taflą jeziora, mogę to tylko wiedzieć, a nie widzieć, gdyż widok na Golan zasłaniają mi domy; muszę

więc podejść kawalek, by przekonać się o tym naocznie. O świcie w to samo co ja miejsce wychodzi na krótko też jakiś starszawy już Żyd z dużym psem, ale krótko potem wraca do domu. Jest zimno, temperatura – tak na wycucie – nie przekracza o tej porze nawet 10 stopni. Też wracam, aby zabrać się do porannego pisania.

* * *

To było już jakiś czas temu, jeszcze przed wybuchem globalnej zarazy. Spędzając wraz z żoną sporą część zimy w Galilei, miałem poczucie, iż spełniam swego rodzaju kulturową powinność Europejczyka i chrześcijanina, aby na spokojnie choć raz w życiu, z Biblią w rękę (a w drugiej zawsze z Józefem Flawiuszem), pochodzić trochę śladami Nauczyciela z Nazaretu. Mieszkamy w Tsfat (czyli Safed) – świętym mieście chasydzkim, u wejścia do Wzgórz Go-

Jezioro Tyberiadzkie. Bywa także nazywane jeziorem Genezaret lub Jeziorem Galilejskim



lan. W sobotę, zaraz po przyjeździe, dostaliśmy tu solidną porcją błota i piasku w samochód od małych chłopaków z pejsami, gdyż odważyliśmy się w szabat wjechać do miasta jako jedyny poruszający się tam tego dnia pojazd. Z wielkiego i bardzo zaniedbanego tarasu domku, który wynająłem w dzielnicy o nazwie Menachem Begin Quarter (nazwa nie dziwi, bo operacja Hagany z kwietnia 1948 r. zdobycia miasta i przepędzenia Arabów jest jedną ze sławniejszych akcji tamtego czasu w Palestynie), patrzę na jezioro Genezaret w kształcie harfy, na Tyberiadę u samego brzegu depresji, a potem przez wielki uskok skalny na sławetne Rogi Hittinu, pod którymi Saladyń wyrzwał wojska króla Gotfryda i zlikwidował Królestwo Jerozolimskie.

Jeździmy więc i chodzimy po śladach Chrystusa albo odwiedzamy okoliczne wsie i miasteczka, odnajdując takie cuda, jak na przykład wspólnotę niezwykle przyjaznych maronitów w pobliskiej wsi Jish przy granicy libańskiej albo grób teścia Mojżesza, Madianity Jetry, w centrum olbrzymiego, nieodnotowywanego przez przewodniki ośrodka druzyjskiego na terenie, na któ-

W Nazarecie sławna bazylika wraz z grołą Zwiastowania robi wrażenie dość sztuczno-turystyczne: jest czysta, biała, nowoczesna, pozbawiona religijnego klimatu.

Bardziej poruszające są tu miejsca, których nie ma w przewodnikach

rym właśnie Saladyń rozbił ostatecznie krzyżowców. Rogów Hittinu poszukiwałem dość długo po podtyberiadzkich bezdrożach ze szczególną emocją, bo odkąd przeczytałem, chyba z pół wieku temu, opis tej strasznej i bezsensownej klęski w drugim tomie „Wypraw krzyżowych” Runcimana, owa scena z jazdą chrześcijańską nacierającą pod wschodzące słońce w stronę Jeziora Galilejskiego nie dawała mi przez lata spokoju. Teraz, gdy wspiałem się na płaskowyż pomiędzy dwiema skałami,

zrozumiałem, dlaczego to krwawe pole bitwy historia określiła mianem „rogów”. I w końcu mogłem odmówić tu na miejscu requiem za bohaterskich rycerzy króla Gotfryda, którzy znaleźli śmierć na tym górskim pustkowiu, gdzie teraz panuje idealna cisza, a my z Nelli jesteśmy całkiem sami.

* * *

Niby to prawda, jak pisał Hegel, że grób, który chcieli koniecznie wyzwolić krzyżowcy, był i jest pusty. A jednak zmysłowość faktu spacerowania drogami w trójkącie Korazain–Betsaida–Kafarnaum, którymi musiał chodzić ustawicznie Jezus z Nazaretu, jest dla naszej empirycznej natury doświadczeniem nie tylko turystycznym, lecz także religijnym. Utwierdzam się tu także w niehegłowskim przekonaniu, że wyprawy krzyżowe były chyba największym politycznym przedsięwzięciem Europy, motywowanym duchowo, szlachetnie, jakoś czystym tak bardzo, jak polityka nigdy nie jest. Lubie zabawę myślą, że oto przybyliśmy jako pątnicy do księstwa legendarnego Tankreda – księcia Galilei, który ma zresztą pomnik w warszawskich Łazienkach,



bardzo dramatyczny, gdy w rozpacz trzyma na rękach ukochaną, ale konając Saracenkę Kloryndę.

W niedzielę od rana po różnych miejscach szukaliśmy jakiejś mszy. Nie udało się na górze Tabor, ale za to powiodło się w Kanie, gdzie przyjechała grupa Indian ze swoi księdzem, aby w tamtejszym kościółku franciszkańskim odnawiać przyrzeczenia małżeńskie. Z mszami tu jest zabawny obyczaj, że można je sobie odprawiać w różnych kościołach, tylko... trzeba mieć swojego księdza. Chyba jesteście tutaj swoistym *curiosum*, bo prawdę mówiąc – nie istnieje tu indywidualny ruch pątniczy. Pielgrzym – to ktoś afiliowany w swojej grupie, z księdzem, autobusem i szczegółowym *time table*. W związku z tym na przykład w poprzednią niedzielę nie wpuszczono nas na jedyną chyba odprawianą regularnie mszę w okolicy w Heptapegon (to nawiasem mówiąc bardzo ładna neoromańska bazylika benedyktynów niemieckich na górze rozmnożenia chleba, ze wzruszającą w swej prostocie, bardzo często reprodukowaną mozaiką z V w., przedstawiającą kosz z chlebem i dwie ryby), gdyż elektryczna brama otwiera się tylko dla zgłoszonych wcześniej grup pielgrzymich. Zniechęceni, że w Ziemi Świętej nie można być na mszy niedzielnej, udaliśmy się na Górę Błogosławieństw, gdzie gospodarują franciszkanki, a tam po niedługim czasie pojawiła się sympatyczna mała grupka pątniczek z Korei, jak Pan Bóg przykazał ze swoim księdzem. I tak pierwszy raz w życiu byłem na mszy celebrowanej po koreańsku.

* * *

Zdecydowanie najpiękniejsza świątynia w Galilei – to jakby nieco secesyjna bazylika franciszkanów na szczycie góry Tabor. Zwłaszcza uroczę i bardzo „krakowskie” są anioły w mozaikach, ze skrzydłami o kształtach rozwiniętych szyszek, trochę à la Jugendstil, a trochę jakby z odjechanych złotych obrazów angielskich prerafaelitów. W Nazarecie sławna bazylika wraz z grotą Zwiastowania robi wrażenie dość sztuczno-turystyczne: jest czysta, biała, nowoczesna, pozbawiona religijnego klimatu. Bardziej poruszające są w Nazarecie miejsca, których nie ma w przewodnikach.



Cezarea Filipowa.
Poniżej grotty bożka
Pana wypływa jedno
ze źródeł rzeki Jordan,
największej i najważniejszej
rzeki Izraela i Palestyny

Fot. Shutterstock

Na przykład, jak się wyjedzie na sam szczyt miasta, gdzie stoi zgrabna neogotycka szkoła i kościół salezjanów św. Jana Bosco, to można jasno zidentyfikować pod miastem ową „wysoką górę”, o której ewangelista Łukasz pisze, że „wyprowadzili Go aż na stok góry, aby Go strącić”, po tym, jak strofował ich, iż bezmyślnie odrzucają przysyłanych do nich proroków. Ponoć są tam jakieś ruiny bizantyjskiej kapliczki, zapadł zmrok, więc tego nie sprawdziliśmy.

To jednak, co zapamiętam najdobitniej z Nazaretu, to skwerek przed bazyliką, zadbane, obmurowany, trzy palmy i mur, który formalnie jest ścianą jakiegoś arabskiego nędznego sklepiku z ubraniami, ale de facto jest przecież murem okalającym jedną z najważniejszych świątyń chrześcijaństwa. A na tym murze duży, widoczny z oddali zielony baner, na nim czarna flaga i napis w języku arabskim i angielskim (odpisałem go dokładnie): „*And whoever seeks a religion other than Islam it will never be accepted of him and in the Hereafter he will be one of the losers*”. Ma to pochodzić z Koranu. Uroczy przyczynek do kwestii „wojny cywilizacji”!

Usiłowałem sobie utrwalić w pamięci krajobraz, który roztaczał się sprzed domu Piotra w Kafarnaum, „mieście Pana” – jak ładnie je nazywa chyba Mateusz, czyli ten ziemski pejzaż, jaki oglądał przez trzy lata działalności „ze swojego okna” Nauczyciel. Siedzieliśmy tam w ciepłe popołudnie, ja czytałem na zmianę Biblię i Flawiusza i patrzyłem, a Nelli nawet zasnęła. Rozpościerało się przed Jego oczami na wprost jezioro o kształcie harfy, na które patrzył z góry, nie zawsze dostrzegając za mgłami brzeg południowy. Po lewej widział brzeg wschodni, czyli pierwsze pasmo Wzgórz Golan – zielonych,

niewysokich, porośniętych głównie łąkami, wtedy dzikich, gdzie ludzie cywilizowani ponoć bali się zapuszczać. Po prawej natomiast patrzył na góry, trochę zalesione i miejscami wyższe i bardziej kamieniste, u ich podnóża zaś, na samym dnie depresji, musiał od czasu do czasu rzucić okiem na wielką budowę: wznoszoną właśnie w tamtym czasie nową stolicę Heroda Antypasa – rozległą i bogatą Tyberiade.

W rozległej rozpadlinie skalnej, trochę na prawo od Tyberiady, musiał widzieć Rogi Hittinu, tak jak ja je mogę teraz widzieć z położonego o tysiąc metrów wyżej tarasu w świętym mieście Tsfat. Zapewne zatem często patrzył na miejsce, w którym tysiąc lat później rycerze walczący w Jego imię, mieli zostać tak doszczętnie rozgromieni. Bardzo blisko z prawej obserwował zaś wysoką i porośniętą trawami pojedynczą górę, która stanowi swoistą naturalną „bramę” na szosie prowadzącej we Wzgórze Golan, a historycznie stała na trakcie damasceńskim, teraz zamkniętym od czasu powstania Izraela. Na tę górę ponoć (według ewangelistów) często się wspiął, a za Nim tłumy żądne uzdrowień; to na jej stoku głoszone jest Kazanie na Górze. Za tą górą leży mała zatoczka, w tamtym czasie otoczona terenem bezludnym, gdzie zwykł (według Mateusza) odpływać łodzią, gdy w pobliżu domu tłumy napierały coraz bardziej agresywnie; ale skoro trafiły za Nim i tu – no to w końcu rozmnożył dla nich chleb. Ten krajobraz jest dość banalny, choć samo wybrzeże jeziora Genezaret jest przyjazne człowiekowi: łagodny klimat, wysmienite ziemie, dużo ryb oraz obfitość jarzyn, pachnących mocniej niż te na krakowskim Kleparzu, zwłaszcza w zimie. Życie w takim krajobrazie nie sprzyja heroizmowi, ale raczej melan-

Autopromocja

cholii i łagodności. Po ludzku nie chce się stąd iść do Jerozolimy przed Heroda i Pilata... Paradoxs?

Parę dni później pojechaliśmy na drugi brzeg jeziora Genezaret – do Kursi, gdzie jest odkopane przypadkiem, całkiem niedawno, ciekawe sanktuarium bizantyjskie, z kaplicą wykutą w skale. Mateusz wspomina o tym miejscu trochę tak, jak Conrad opisuje „jądro ciemności”: na spotkanie Nauczyciela wychodzą tam z grobów ludzie dzicy i opętani. Tam dokonują się egzorcyzmy, a Zły wciela się w stado świń, które stromym urwiskiem gnają do jeziora i się topią. W Kursi byliśmy kompletnie sami: niskie chmury i to upiorne urwisko, tak samo nieprzyjazne dla człowieka jak w opisie Mateusza. W oddali wzdłuż brzegu jeziora widać kilka słynnych rekreacyjnych kibuców, ponoć bardzo lubianych teraz przez Żydów.

* * *

Ale chyba najsilniejsze wrażenie zrobiła na mnie Cezarea Filipowa. Miasto zbudowano na płaskowyżu, lekko wznoszącym się ku swojemu krańcowi i gwałtownie przegrodzonym pionowo wyrastającą górą, od której zaczyna się już potężny masyw Hermonu. Wzniósł je tetrarcha Filip, kiedy dokonano podziału państwa Hasmoneuszów, a Jordan stał się rzeką graniczną. Wybudował tu pałac, dwie przysadziste baszty dla jego ochrony i rzymskie *cardo*, wokół którego musiały stać – sądząc po ruinach – ładne, nieprzesadnie monumentalne, stylowo bardzo rzymskie domy. Ale nic w tym nie byłoby nadzwyczajnego, gdyby nie owa niebotyczna górska ściana, wyrastająca nagle z ziemi, w środku ówczesnego miasta. A w ścianie grota, która była tu czczona od niepamiętnych czasów jako świątynia bożka Pana (tego od tańczących kóz), spod której z niewiarygodną siłą wytryska źródło Jordanu.

Tę ścianę, z której wypływa święta rzeka, architekci Heroda wykorzystali,

niczym naturalną scenę teatralną, na której można powiesić dekoracje. Herod (jeszcze nim jego syn Filip wznosił tu stolicę Hasmoneuszów) przyozdobił ją więc delikatną, otoczoną portykami marmurową świątynią Augusta, przyczepił do niej wąski Nimfeon, nakleił nieco wyżej niewielką świątynię Jowisza, do której prowadziły długie, reprezentacyjne schody, a także mały budynek Nemesis (zdaje się, że miejsce tutejszej wy-

Z mszami tu jest zabawny obyczaj, że można je sobie odprawiać w różnych kościołach, tylko... trzeba mieć swojego księdza

roczni?) oraz marmurowe mauzoleum ofiarnych kóz. Całość musiała tworzyć wrażenie surrealistycznej sceny, której naturalnym oparciem stał się masyw górski, a pomiędzy jej poszczególnych elementów wyrwał się pośpiesznymi potokami Jordan. Miasto zbudowano dopiero naprzeciw takiego cudownika.

Podobno krzyżowcy, którzy zdobyli miasto z pomocą zaprzyjaźnionego wtedy władcy Damaszku, oglądali jeszcze to wszystko bez poważniejszych zniszczeń. Dopiero najazd mameluków Bajbarsa w XIII w. rozpoczął tajemniczy dla tego rejonu czas pięciu wieków prawdziwych mroków. Nie wiadomo, ani kiedy, ani dlaczego miasto przestało istnieć. Dziś są tu tylko rozległe ruiny Hasmoneuszów i krzyżowców, które pokrywają gęste zarośla, bo wartki Jordan czyni tę ziemię urodzajną i bujną. Nieopodal stoi twierdza Nimrod, zwrócona frontem ku Damaszкови: kilka kilometrów samych murów i baszt, z których widać Galileę, osuszoną chyba przez Rzymian równinę Hula, no i cały Golan, aż po Hermon,

z małymi wioskami druzgocnymi i syjonistycznymi osiedlami, co ciekawe, zamkniętymi na noc w poprzek szosy elektrycznie sterowanymi bramami. Tak można poznać, że jesteśmy w miejscu jednego z najbardziej zajadłych konfliktów politycznych współczesnego świata.

Ale, co ważne, to wszystko jest daleko od brzegu jeziora. I z tego, co czytałem, to chyba nikt dotąd nie potrafi przekonująco wytłumaczyć, dlaczego

Nauczyciel tu właśnie wybrał się, aby ustanowić swój Kościół. Bo to tutaj (wedle Mateusza) padają słowa Piotra: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” i w odpowiedzi: „Ty jesteś Piotr, czyli Skala, na tej skale zbuduję mój Kościół, a bramy piekielne...”. I jeszcze dalej – o kluczach Królestwa Niebieskiego. Jezus (jak wnioskuję z czytania ewangelistów) unikał odwiedzania rzymskich miast. Nic nie wiemy na przykład o Jego aktywności w stolicy brata Filipa – Heroda Antypasa, czyli o Tyber-

riadzie, której budowa właśnie w czasach Jego nauczania była tutaj przedsięwzięciem imponującym. Więc też zapewne powszechnie komentowanym i codziennie, poprzez jezioro, obserwowanym przez każdego rybaka i rolnika z Betsaidy czy Kafarnaum; także przez rodziny Piotra, Andrzeja, Jana, Jakuba.

Tymczasem Jezus idzie kawał drogi – jakieś trzydzieści kilometrów, i to cały czas w górę – aż do źródeł Jordanu i podnóża masywu Hermonu, do zhellenizowanej i bajecznie pięknej stolicy Filipa, by tam dokonać owego aktu – najważniejszego, jeśli patrzeć z perspektywy ziemskiego wymiaru ekonomii zbawienia. Stworzyć Kościół, w którym aż do dziś żyjemy, modlimy się, oddychamy... Od tamtego dnia, gdy wróciłem z Cezarei Filipowej, nie daje mi spokoju pytanie: czy to był przypadek, bo mogło się to zdarzyć w jakimkolwiek innym miejscu? Czy jednak to miejsce jest znakiem, który powinienem próbować jakoś odczytać? 

Jeszcze do **26 grudnia** możesz kupić poprzednie wydanie tygodnika **SIECI** z płytą **Golec ʘrkiestra „Kolędowanie z Janem Pawłem II”**

PYTAJ W KIOSKACH

eprasa.pl 74cdb12153





Twarz Maryi

Jak naprawdę wyglądała matka Jezusa, duchowa królowa wszystkich katolików?



GORAN ANDRIANIĆ

Odpowiedź na to pytanie, które musiał sobie zadać każdy pobożny katolik, próbował znaleźć brazylijski naukowiec i grafik Átila Soares da Costa Filho. Szukając tej odpowiedzi, zdaje się, poruszył serca wielu wierzących i pomógł im jeszcze głębiej wejść w tajemnicę Matki Bożej.

TEOLOGIA I KOMPUTER

Wykorzystując wyniki badań nad postacią Jezusa z Calunu Turyńskiego i łącząc je z technologią komputerową, sztuczną inteligencją, ale także własną wizją duchową i artystyczną, Brazylijczyk zrekonstruował twarz Maryi.

W ostatnich tygodniach w światowych mediach ukazały się dwie takie rekonstrukcje autorstwa da Costy Filha.

Na pierwszej widzimy piękną kobietę w wieku 25–30 lat. Wygląda typowo semicko: ciemne włosy i oczy, lekko wydłużona twarz. W drugiej rekonstrukcji ta sama kobieta śmieje się szeroko, a jej uroda jest jeszcze bardziej wyrazista. Jest piękna. To jest efektem pracy brazylijskiego nauczyciela akademickiego i projektanta.

Jak wyjaśnia autor, jego praca nad rekonstrukcją twarzy Maryi miała kilka faz.

Najpierw przeanalizował pracę amerykańskiego naukowca Roya Downinga, który w 2010 r. wykorzystał zaawansowaną technologię do zrekonstruowania twarzy mężczyzny z Calunu Turyńskiego. Przypomnijmy, jest to płótno w które, jak się uważa, zostało owinięte



ciało Jezusa po zdjęciu z krzyża i złożeniu go do grobu. Na płótnie został utrwalony obraz mężczyzny, a jego powstanie jest wciąż niewyjaśnione. Jak pisał Grzegorz Górny, jest to jeden z najdokładniej analizowanych naukowo przedmiotów w historii ludzkości. Rekonstrukcja Downinga uważana jest za dzieło najwyższej jakości.

Rekonstrukcja ta została wykorzystana przez de Costę Filhę do stworzenia twarzy matki opartej na wyglądzie twarzy syna za pomocą odpowiedniej technologii. Następnie Brazylijczyk wykonał ręczne kilka poprawek na jej twarzy, tak aby, jak powiedział, „podkreślić etniczną i antropologiczną fizjonomię kobiety z Palestyny sprzed 2 tys. lat”.

Co ciekawe, swoją pracę oparł na teologii chrześcijańskiej. Pismo Święte i nauka Kościoła katolickiego mówią, że św. Józef nie uczestniczył biologicznie w poczęciu Jezusa, ale Mesjasz został poczęty przez Ducha Świętego. O cielesności Jezusa i jego genetyce decydują zatem wyłącznie geny Maryi. Rekonstrukcja, nad którą naukowiec pracował przez cztery miesiące, wyrosła właśnie z tej teologicznej przesłanki.

ŹRÓDŁO PIĘKNA MARYI

Tak zatem, zgodnie z wiedzą naukową da Costy Filhy, mogła wyglądać Miriam, matka Jezusa z Nazaretu i żona cieśli Józefa, żyjąca na przełomie starej i nowej epoki w historycznej krainie w północnym Izraelu, Galilei.

„Najej twarzy widzę dwie ważne rzeczy – powiedział Brazylijczyk w rozmowie z portalem Aletheia. – Plastyczne piękno i emanującą z twarzy godność. Św. Augustyn mówił, że źródłem piękna jest wypływająca z Boga dobroć. Upatrując więc w Bogu esencję dobra, uznajemy, że jest on Prawdą i Pięknem. Oczywiście Maryja – ta, która poczęła Syna Stwórcy – winna odzwierciedlać jego cechy: winna być bardzo piękna”.

Brazylijczyk ma rację. Świadomość piękna Maryi, które wypływa z całkowitego poddania się woli Bożej, poddania się dobroci i miłości Boga, była zawsze wielką inspiracją dla chrześcijan. A najpiękniejsze myśli teologiczne poświęcone są właśnie Maryi.

„Odpowiadając w sposób doskonały na Boży plan, Maryja staje się »cała piękna« i »cała święta«, jednak bez najmniejszego cienia samozadowolenia. Jest pokorna. Ona jest arcydziełem, lecz pozostaje pokorna, mała, uboga. W Niej odzwierciedla się piękno Boga, które jest samą miłością, łaską i darem z siebie” – powiedział o Maryi papież Franciszek.

„De Maria numquam satis!” (O Maryi nigdy dosyć) – mówi powiedzenie z czasów pierwszego Kościoła, które wyraża nie podkreśla znaczenie Matki Boga. Nic więc dziwnego, że rekonstrukcja jej twarzy przyciąga tak wiele uwagi.

NAJSTARSZE WIZERUNKI MARYJNE

O. Cyprian Moryc OFM, franciszkanin i historyk sztuki, opowiada, jak szukanie oblicza Boga i jego świętych ma swoją odległą i bogatą tradycję, przede wszystkim na polu sztuki sakralnej.

– Badania naukowe, jeśli są uczciwe i rzetelne, są naszym obowiązkiem wiary, bo mamy „czynić sobie ziemię poddaną”. Najważniejsze, aby wśród narzędzi tak specyficznych badań i pracy nie zabrakło wiary, bo bez niej nie można się Bogu podobać i Go poznać. A to jest najważniejsze. Po co nam „fotografia” Boga lub Jego świętych, jeśli nie

Wykorzystując wyniki badań nad postacią Jezusa z Całunu Turyńskiego i łącząc je z technologią komputerową, Brazylijczyk zrekonstruował twarz Maryi

będziemy oddawać czci. Przypomina mi się piękne powiedzenie Abrahama Joshui Heschela: „Prawica artysty usycha, kiedy zapomina on o tym, że Bóg jest najważniejszy” – zauważa o. Moryc.

Franciszkanin przypomina, że postać Maryi była inspiracją dla artystów chrześcijańskich od początku istnienia Kościoła: – Starożytni nie mieli aparatów fotograficznych. Wizerunek Najświętszej Maryi Panny nie jest portretem w znaczeniu powszechnie uważanym i dlatego nie usiłuje oddać Jej historycznych rysów i fotograficznego podobieństwa. Jako dzieło sztuki sakralnej jest owocem i instrumentem pobożnej kontemplacji Kościoła, który swą bezradność wobec objawionego w czasie i miejscu Wiecznego Piękna próbuje pokonać za pomocą symbolicznego języka sztuki.

Jak mówi o. Moryc, najstarsze wizerunki maryjne miał namalować w czasach apostołów św. Łukasz, autor

trzeciej ewangelii synoptycznej i księgi Dziejów Apostolskich. Od najdawniejszych czasów wierzono, że Maryja osobiście pozowała Ewangelistom do portretu, który twórca przesłał Teofilowi.

Chrześcijaństwo jest religią wcielenia. Dlatego też w sztuce sakralnej dużą wagę przywiązywano do sposobu przedstawiania ciała. Tak było z przedstawieniem Maryi.

– Wzruszająca troska o kunszt warsztatu, charakteryzująca dawne wizerunki maryjne, była wyrazem hołdu sztuce sakralnej dla tajemnicy Wcielenia i konsekwentnie wielkiej godności człowieka. Dlatego starano się ukazać karnację zdrowe, piękne i czyste, wolne od jakiegokolwiek skazy. Najwięcej wysiłku wkładano w namalowanie oczu, które już od starożytności uważano za okna duszy. Przeciwnieństwem uduchowionych oczu były usta, postrzegane jako symbol fizyczności i zmysłowości. W wizerunkach Maryi starano się osłabić znaczenie pierwiastków fizycznych, dlatego usta Najświętszej Dziewicy malowano jako drobne, suche, wolne od cienia zmysłowości – tłumaczy o. Moryc.

Franciszkanin i historyk sztuki podkreśla jednak, że takie projekty naukowe jak Brazylijczyka, mają swoje ograniczenia: – Zawansowane technologie są pożyteczne i nieodzowne, czego dowodem na polu religijnym jest Całun Turyński – użyty jako podstawa rekonstrukcji. Jednak maszyny i systemy nie adorują ani nie oddają czci. Dlatego napotkają na nieprzekraczalną granicę. Bóg bowiem wymyka się ludzkim narzędziom, nawet najlepszym (a do tego zbudowanym dzięki jego natchnieniu i zesłanym talentom) i zawsze pozostaje Tajemnicą.

Potrzeba wierzącego chrześcijanina doświadczenia wizualnego, które pogłębia jego wiarę, zawsze była integralną częścią życia Kościoła. Ta potrzeba stworzyła wspaniałe dzieła sztuki sakralnej. Rekonstrukcja oblicza Maryi nabiera jednak pełnego sensu dopiero wtedy, gdy patrzy się na nie oczami wiary. Dopiero wtedy obserwator zrozumie emanujące z Jej twarzy piękno i radość, które kierują go wprost do Stwórcy, do źródła.



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dokonajmy przeglądu wszystkich bytów znajdujących się w stajence. Jest Dzieciątko Jezus, Bóg, który właśnie stał się człowiekiem. Jest jego Matka – wyjątkowy człowiek: bez grzechu pierworodnego i w przeciwieństwie do śmiertelników wniebowzięta. U boku Dzieciątka znajduje się święty, osoba, która rozpoznała Boga i będzie z nim przebywać w niebie – Józef. Są tam pasterze, zwykli ludzie przeżywający objawienie Boga. U żłóbka są też zwierzęta, których obecność zaznaczona jest nie tylko w apokryfach i ikonografii europejskiej, ale także w ewangelii Łukasza, w zdaniu: „W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą” (Łk 2,8). Zwierzęta to na drabinię bytów istoty usytuowane dużo niżej niż cała reszta obecnych w stajence. U żłóbka są reprezentantami przyrody w ogóle, przedstawicielami stworzenia. Stanowią ważny element porządku świata, dlatego w momencie Bożego Narodzenia – objawienia się Boga – nie mogło zabraknąć i ich. O każdym z tych bytów powstały osobne gałęzie wiedzy.

Przegląd byłby niepełny, gdyby zabrakło w nim aniołów. Co do ich obecności w Betlejem nie ma wątpliwości. Opisani są w relacji stworzonej przez Łukasza Ewangelistę. Wraz z nimi dopełnia się uniwersum istnień zebranych w noc Bożego Narodzenia. O tym, jak fascynujące są to byty, nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

TRZY DROGI POZNANIA ANIOŁÓW

Do poznania aniołów prowadzą trzy drogi: jedna poprzez analizę Pisma Świętego, i to zarówno Nowego, jak i Starego Testamentu, druga poprzez studia dzieł najsłynniejszych angelologów i w końcu poprzez sztukę. Pierwsze dwa sposoby umożliwiają poznanie, lub raczej zbliżenie się do poznania,



Anielska taksonomia

Nie podlegają prawom fizyki. Są bezpłciowe, często przedstawiane w formie antropomorficznej. Różnią się między sobą stopniem doskonałości intelektualnej. Cechują się świetlistością. Istnieją poza czasem i przestrzenią, mają swój język. Co jeszcze wiemy o aniołach?

prawdziwej natury aniołów – i one są przedmiotem niniejszego artykułu. Trzeci powie więcej o nas samych. Na tworzonych od czasów wczesnochrześcijańskich aż do dziś obrazach można zobaczyć, jak człowiek wyobraził sobie te niematerialne byty. Ten wielki temat to materiał na osobne opracowanie.

Zacznijmy od Biblii. Wersety Nowego Testamentu poświęcone Bożemu Narodzeniu zwracają uwagę masowym pojawem aniołów („pojaw” to oczywiście pojęcie z języka nauk przyrodniczych, jak okaże się później, jego użycie jest wielce uzasadnione). Anioł wraz z zastępami niebieskimi chwałącymi Pana oznaj-



Fot. waraai.photobank/Shutterstock.com

mił pasterzom nowinę o narodzinach Zbawiciela. Wcześniej anioł nawiedził św. Józefa we śnie, gdy ten chciał oddalić Maryję. Pokazał się mu także, gdy trzeba było uciekać do Egiptu. Również we śnie ukazał się Józefowi, informując, że może wraz z rodziną wracać do „ziemi Izraela”.

POŚLAŃCY

Anioł jako posłaniec – taką rolę duchom niebieskim nadaje tradycja judaistyczna. To w jej łonie powstała koncepcja istnienia bytów, trochę podobnych do nas, które jednak posiadają przywilej obcowania ze Stworzycielem. Intuicja, że istnieją pośrednicy spoza tego porządku, którzy przybliżają nas do transcendentnego Boga, obecna była od początków judaizmu. Więcej, obecna była od początków religii monoteistycznej w ogóle. Aniołowie byli nie tylko pośrednikami woli Boga, który jako Absolut przebywający poza możliwościami poznawczymi człowieka, posługuje się nimi w kontaktach z Izraelitami. Byli także pewnego rodzaju redukcją politeistycznych bóstw do roli stworzonych przez Jedyne Boga duchów.

Różne późniejsze herezje wracały do opacznego sposobu rozumienia aniołów – jako samoistnych demiurgów, istniejących na równi z Bogiem, samych będących stworzycielami. Stary Testament nie podaje argumentów uzasadniających takie rozumowanie. Przeciwnie, w wielu miejscach mowa jest o tym, iż aniołowie przynależą do stworzenia, tak samo jak ludzie czy zwierzęta. Takie stwierdzenia występują m.in. w jednym ze starszych tekstów biblijnych w Pieśń Debory, a także we włączonej do kanonu biblijnego Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego Księdze Jubileuszy („pierwszego dnia stworzył niebiosy [...] i anioły służące mu”), czy też w Księdze Nehemiasza: „Ty uczyniłeś niebiosy/ niebiosy anioły i całe ich wojsko” (Ne 9,6).

W księgach Starego Testamentu anioł określane jest na wiele sposobów. To, co w naszym języku zredukowane jest do słowa „anioł”, od greckiego ἄγγελος (angelos), na kartach Biblii pojawia się pod kilkoma różnymi nazwami. Jedną z nich jest greckie Elohim. Słowo to wprowadza trochę zamieszania, oznacza bowiem Boga, ale także anioły i w zależności od kontekstu tak jest tłumaczone. W określeniu tym zawiera się ogólna idea istoty pozaziemskiej, nadprzyrodzonej. Na właściwe użycie naprowadza forma gramatyczna określających go przymiotników lub czasownik. „Elohim” pojawia się m.in. w Psalmie 8: „Uczyniłeś go niewiele mniej od aniołów” (Ps 8,6). Biblia tysiąclecia tłumaczy to jako „istot niebieskich”.

Tożsamość imion Boga i anioła dobrze pokazuje naturę anioła jako bytu, który, do pewnego stopnia, stworzony jest po to, aby głosić chwałę Pana, jego orędzie, być jego posłańcem, manifestacją.

Hebrajskie słowo „Malak” oznacza posłańca, zwiastuna i często używane jest na określenie anioła. Inna nazwa tego duchowego bytu to „abirim”. „Człowiek chleb mocarzy spożywał – żywności zesłał im do syta” (Ps 78,24-25). Określenie „lehem abirim” przełożone jest tu właśnie jako „chleb mocarzy”, lecz jest tłumaczone również jako „chleb anielski”. W wersecie tym mamy od razu wskazówkę, czym żywiły się anioły. Gdyby rozwikłać zagadkę, jakim rodzajem pożywienia była manna zsyłana Izraelitom na pustyni, dowiedzielibyśmy się, co jest

pokarmem aniołów. Ta żartobliwa konstatacja o anielskiej diecie nie jest jednak zupełnie pozbawiona sensu, gdyż angelologowie w swoich dociekaniach poszukiwali odpowiedzi nawet na takie pytania. W ten sposób można stworzyć coś na kształt anielskiego menu, będzie w nim więc manna, ale też plaster rajskiego miodu, no i chleb. Wszystko to w duchu Nowego Testamentu należy odczytywać w kontekście eucharystycznym.

WOJOWNICY

Anioły na kartach Starego Testamentu pojawiają się z dużą regularnością, często i w różnych sytuacjach. Przybierają różne postaci. Anioł jako obłok pędzący z wojskami Izraela jest jedną z ciekawszych anielskich wizji: „Anioł Boży, który szedł na przedzie wojsk izraelskich, zmienił miejsce i szedł na ich tyłach. Słup obłoku również przeszedł z przodu i zajął ich tyły, stając między wojskiem egipskim a wojskiem izraelskim” (Wj 14, 19-29). Fragment z Księgi Wyjścia przybliżył nas do poznania kolejnej funkcji anioła wojownika. Bóg posiada swoją armię złożoną z duchów niebieskich. Zastępy, wojsko, rycerze – to terminy używane do opisanie tej wielkiej koncepcji.

DWORZANIN BOGA

A więc posłaniec i żołnierz. Kim jeszcze jest starotestamentowy anioł? Jest dworzaninem. Bóg w niebiosach otacza się dworem, na którym poczesne miejsce zajmują wieczne wysławiający go aniołowie. Z tej tradycji pochodzą słowa hymnu napisanego przez św. Augustyna: „Tobie wszyscy Aniołowie,/ Tobie niebiosy i wszystkie Moce:/ Tobie Cherubini i Serafini/ nieustannie głoszą pieniem:/ Święty, Święty, Święty/ Pan Bóg Zastępów!”. Orszak, zjawisko z kultury dworskiej, jest atrybutem otoczenia Boga w koncepcji niebios jako dworu. Anioł nie jest więc tu posłańcem, lecz raczej członkiem rady, pomocnikiem Boga, Jego sługą.

W Nowym Testamencie nastąpiło ostateczne i wyrażone wprost zerwanie ze sposobem myślenia zakładającym, że anioł może być bóstwem, pod pewnymi względami równym Bogu, które należy otaczać specjalnym kultem. Taki



rys posiadała herezja, którą wyznawali mieszkańcy miasta Kolosy w Azji Mniejszej. Do nich swój list skierował Paweł: „On jest obrazem Boga niewidzialnego –/ Pierworodnym wobec każdego stworzenia,/ bo w Nim zostało wszystko stworzone:/ i to, co w niebiosach, i to, co na ziemi,/ byty widzialne i niewidzialne,/ czy Trony, czy Panowania, czy Zwierzchności, czy Władze./ Wszystko przez Niego i dla Niego zostało stworzone” (Kol 1, 15-16). Anioły zostały stworzone przez Boga, mówi w liście do Kolosan święty Paweł.

List do Kolosan oraz przytoczony wcześniej fragment hymnu zwracają uwagę anielską nomenklaturą, za którą kryje się także silnie ustrukturyzowana hierarchia. Koncepcja zakładająca istnienie kilku poziomów niebios, na których umieszczeni są konkretni archaniołowie, ma starotestamentowe korzenie. Serafy opisuje jako jedyny Izajasz (Iz 6, 1-3), o Cherubach mówi Ezechiel (Ez 1, 4-26). Warto przeczytać sobie te opisy, gdyż diametralnie odbiegają od tego, co obecnie wyobrażamy sobie pod hasłem „cherubinek”. W opisach tych pojawiają się takie elementy jak: sześć par skrzydeł, stopy cielca, ludzkie ręce, lwio-człowiecze oblicza. Cheruby zaprzęgnięte były, według Ezechiela, do przedziwnego rydwanu. W Księdze Tobiasza opisany jest Rafał jako „jeden z siedmiu aniołów”, Księga Daniela wprowadza Michała – „jednego z pierwszych książąt”.

Porządku w świecie aniołów dokonał w VI w. n.e. Pseudo-Dionizy Areopagita. Stanisław Biel SJ tak pisze o pracy Areopagity: „skodyfikował strukturę zastępów anielskich i podzielił je na trzy hierarchie. Do pierwszej, stojącej najbliżej Boga, zaliczył serafiny, cherubiny i trony, do drugiej panowania, moce (cnoty) i potęgi, zaś do najniższej księstwa (zwierzchności), archaniołów i aniołów. Według tej nomenklatury Rafał znajduje się dosyć nisko w hierarchii duchowej. Poniżej są tylko aniołowie”.

DOKTOR ANIELSKI

W tym miejscu należy przejść do fascynującej filozofii średniowiecznej. Dzięki aniołom wprowadziła ona myśl

metafizyczną na taki poziom, na który już nigdy nie udało się ontologii wspiąć. Angelologiczne studia Pseudo-Dionizego, Jana Szkota, Awicenny, Awicbrona, św. Bonawentury czy w końcu św. Tomasza z Akwinu bez wątpienia silnie osadzone są w naukach teologicznych, jednocześnie mają w sobie coś z dociekań przyrodniczych, taksonomicznych. Głównym celem tych ba-

Co jest pokarmem aniołów?
Manna, ale też plaster
rajskiego miodu i chleb.
Wszystko to w duchu Nowego
Testamentu należy odczytywać
w kontekście eucharystycznym

dań było bowiem ustalenie systematyki w świecie bytów zarówno duchowych, jak i materialnych.

Największym problemem, z którym oczywiście potrafił się rozprawić jedynie najtęższy umysł epoki – św. Tomasz, nie bez kozery nazwany doktorem anielskim (doctor angelicus), był problem, gdzie przyporządkować anioły. Zaklasyfikowanie ich jako byty będące czystą formą, nieposiadające, jak nakazywałyby intuicja, nic z materii zakrawa na herezję. Dlaczego? Gdyż czystą formą jest jedynie Bóg! Co więcej, natura aniołów musi się wykazać jakimś rodzajem złożoności, również z tego samego powodu – każdy byt poza Bogiem musi być złożony. Tak więc zanim św. Tomasz poczynił swoje rewolucyjne ustalenia, filozofowie założyli, co następuje: człowiek składa się z formy i materii – oczywiste. Anioły składają się, rzecz jasna, z formy, oraz z czegoś, co obecnie wydaje się dość sztucznym tworem – materii duchowej. Bóg nie składa się z niczego, jest samostannym aktem.

Podjęcie tomistyczne z „Sumy teologicznej” to dokonanie nowych podziałów. Byt nie składa się już wyłącznie z materii i formy, gdyż zastosowanie

wyłącznie takiego rozróżnienia uniemożliwia poprawne sklasyfikowanie aniołów. Anioł to forma składająca się z istoty i istnienia – bez przypisywania mu duchowej materii.

RODZAJ I GATUNEK ANIOŁA

W naukach przyrodniczych podstawą do opisania taksonomii osobnika jest następujące działanie: określenie cech, które przyporządkowują do rodzaju, oraz różnic, które sprawiają, że jest osobnym gatunkiem. To klasyczne ujęcie zaadaptowane przez zoologię czy botanikę, dzięki odkryciom Arystotelesa da się zastosować do określenia gatunku aniołów! Rodzaj anioła można określić poprzez jego niematerialność, innymi słowy niematerialność decyduje o ich przynależeniu do rodzaju aniołów. O różnicy gatunkowej decyduje ich istota. W jednym gatunku jest jeden anioł.

Anioły posiadają liczne przymioty, jednym z nich jest wolna wola. To ona zadecydowała o zbuntowaniu się wobec Boga i przemianie anioła w szatana. Anioł może grzeszyć. Jego grzechy, z racji metafizycznej specyfiki, są inne niż ludzkie, jego mogą dotyczyć jedynie pycha i zazdrość, które Tomasz określa jako grzechy czysto duchowe. Pychę rozumie przy tym jako pragnienie dobra bez posłuszeństwa Bogu, a zazdrość to widzenie dobra jako przeszkody na własnej drodze.

Poza tym anioły nie podlegają prawom fizyki, są bezpłciowe, często przedstawiane są w formie antropomorficznej. Różnią się między sobą stopniem doskonałości intelektualnej. Cechują się świetlistością, istnieją poza czasem i przestrzenią. Związane są z chwałą Boga (tak przedstawia to św. Łukasz). Mają swój język.

Anioły jak ludzie, zwierzęta i rośliny są częścią stworzenia. Podczas gdy w dziedzinie biologii wciąż czynione są nowe odkrycia, nauka poświęcona aniołom od czasów św. Tomasza w zasadzie nie ruszyła z miejsca. Czy doktor anielski wyczerpał temat aniołów i niczego nowego w kwestii bożych wysłanników nie da się już w ziemskim wymiarze odkryć?

Własny biznes i...

zabka

10 000 zł

na początek extra!*



+17 000 zł
gwarantowanego
przychodu miesięcznie!**

* Oferta dotyczy otwarcia sklepu od 1.11.2021 r. do 31.12.2021 r.

** Oferta ważna do 31.12.2021 r., ograniczona czasowo
i uzależniona od spełnienia określonych warunków.



Sprawdź na www.franczyza.zabka.pl



Pod choinkę



Gwiazdka pod okiem FBI

Znany podróżnik, odkrywca i pisarz Jacek Pałkiewicz dzieli się wspomnieniami o świętach Bożego Narodzenia spędzonych daleko poza domem podczas swoich wielobarwnych podróży



Gnany niezaspokojonym pragnieniem wyruszenia na nieoznakowane wertepy, miałbym ochotę powiedzieć za Johannem Wolfgangiem von Goethem: „Jestem zaprawdę jeno wędrowcem, pielgrzymem na tej ziemi!”. Obywatelem świata, zainfekowanym podróżą, rodzajem choroby w gruncie rzeczy nieuleczalnej, nieprzerwanie żyjącym na walizkach tułaczem. Motyw takiego homo viatora od wieków towarzyszył ludzkości i należy do najpopularniejszych w kulturze. Większość życia spędziłem w podróży na rozstajnych szlakach, tysiące razy przekraczałem granice państw i kontynentów. Bywa, że z niepokojem konstatuje swoje uzależnienie od wędrowki w nieznane, pragnienia odle-

głych spotkań, poznania innych kultur. Moje, będące esencją życia, reporterskie peregrynacje łączą się nierozdzielnie z pisaniem. Oczywiście i z odnotowaniem w moleskine, legendarnym notatniku z gumką, jakiego używali Ernest Hemingway albo Ryszard Kapuściński, spostrzeżeń, ulotnych chwil, strzępków myśli. To trudny zawód, wymagający wielogodzinnej pracy, znacznego wysiłku fizycznego oraz umysłowego.

Jako wieczny nomada, kojarzony zwykle z etnograficzną definicją gloryfikujących wolność i niezależność koczowniczych ludów stepów lub pustyń, z każdej, nieważne jak długiej wędrowki, powracałem zawsze niczym nieśmiertelny w „Iliadzie” Ulisses, do jednego stałego punktu – swojej żony, Lindy. Byłem gościem w domu i Linda przyjęła część obowiązków męskich na swoje barki. Wiem, że gestów czułości ukochanej osoby nie można zastąpić żadnym prezentem, dlatego tutaj składam jej hołd za wyrozumiałość i wzorową edukację synów, którzy próżno oczekiwali od ojca opiekuńczych skrzydeł.

ŚWIĘTA W POWIETRZU

Darzę wciąż święta Bożego Narodzenia, budujące poczucie więzi, obrzędu nadziei i przebaczenia. W 1992 r., w takiej właśnie, wiszącej w powietrzu świątecznej atmosferze, ozdabiałem z maluchami świeżą pachnącą jodelkę. Ich radość przerwał telefon, dzwonił Claudio Sabelli, naczelny redaktor „Sette”, ilustrowanego dodatku „Corriere della Sera”.

– Jutro musisz polecieć do Phnom Penh – rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem.
– Właśnie wróciłem stamtąd przed tygodniem, gdzie miałem zrobić reportaż o włoskich karabinierach, którzy w ramach pokojowej misji ONZ pomagali narodowi kambodżańskiemu w podźwignięciu się z tragicznej przeszłości. Włoski dowódca odmówił współpracy, bo nie miałem zgody jego ministerstwa. Napisałem więc o stacjonujących tam Polakach. Okazało się, że po tej publikacji zadzwonił do redakcji rzecznik ministra obrony rozżalony, że nie zaznaczyłem obecności żandarmerii. Teraz naczelny chciał, żeby tekst ukazał się jeszcze w ostatnim tygodniu roku.

– Claudio, to niemożliwe. Za trzy dni są przecież święta – zareagowałem stanowczo. – W porządku – rzucił zrezyg-

nowany do słuchawki i rozłączył się. Rok wcześniej był ze mną na Kamczatce i darzył mnie swoją przychylnością. Po chwili telefon odezwał się ponownie.

– Może jednak? Posłuchaj, porozmawiam z Lindą, wszystko jej wytłumaczę.
– Claudio, na miłość boską, bądź rozsądny, celebrowane z namaszczeniem uroczystości tuż, tuż. Czy ty tego nie pojmujesz?

Zaległa głucha cisza. Oderwany od rzeczywistości wróciłem pamięcią do uniesienia, jakiego doznałem na widok pierwszego podpisanego moim nazwiskiem tekstu we włoskiej gazecie. Nie, nie mogłem zawieść zaufania redakcji gazety, którą się chelpilem. Targały mną sprzeczne uczucia, wreszcie przeknąłem gorzką pigułkę. Znowu przez jakiś pieprzony artykuł zdradzę żonę, synów i tradycyjne wartości. A przecież nieraz zaklinałem się, że już nigdy więcej.

Claudio, OK! No, bo jakie miałem wyjście? Nie można przestać być dziennikarzem na chwilę. Byłem potrzebny i to się liczy. Nic więcej nie istnieje. Znakomity reportażysta Wojciech Giełżyński uważał, że autentyczny dziennikarz powinien być wyalienowany i gotów do karkołomnych kroków.

W efekcie była to koszmarna podróż, bo z powodu różnych perturbacji spędziłem święta częściowo w samolocie, resztę na lotnisku w Bangkoku. Ktoś zapytał, po co to było? Dlaczego rozczarowałem rodzinę? My, reporterzy, często robimy jakieś głupstwa, codziennie rzucamy wyzwania i nieustannie szukamy adrenaliny, jakiegoś hitu, wygrania z konkurencją. Taka jest nasza natura. Dziennikarz jest jak skorpion, ze słynnej przypowieści afrykańskiej, który prosił żabę o przetransportowanie go na drugi brzeg rzeki, ale w połowie drogi ukąsił śmiertelnie żądłem, skazując na śmierć także siebie. A kiedy żaba przed utonięciem w poczuciu krzywdy zapytała dlaczego, drapieżny pajęczak odrzekł: „Taka jest moja natura”. I tym razem Linda okazała, jak zawsze zresztą, swoją niewyczerpalną przychylność.

ŚWIĘTA W BAZIE MARYNARKI WOJENNEJ

W trakcie 50 lat reporterskich podróży bezsporną większość świąt Bożego Narodzenia spędziłem poza rodzinnym



dachem. W wycieczce wspomnień przychodzą mi na myśl dwa lata spędzone na morzu. Podobnie jak Joseph Conrad, bez żadnej szkoły morskiej, zdałem egzaminy jako ekstern i pływałem na frachtowcach pod panamską banderą. Głodny świata, przygód i egzotyki nie przywiązywałem się do jednego statku, wybierałem rejsy w najatrakcyjniejsze destynacje. Kilka razy leciałem na drugi koniec globu, aby zastąpić na jeden rejs oficera, który znalazł się w szpitalu. W ostatniej dekadzie grudnia 1974 r., po zawinięciu do portu w Norfolku, w sąsiedztwie największej na świecie bazy marynarki wojennej, urzędnik imigracyjny zdecydował, że jako obywatel kraju komunistycznego czterodniowy postój statku spędzę w hotelu. Dodam, że w dobrym guście, w sąsiedztwie jednego z nielicznych zabytków ery kolonialnej, kościoła św. Pawła, i na dodatek w towarzystwie panów z FBI, którzy pozwolili na spacer w promieniu pół mili od zakwaterowania. Nie uważałem tego za coś anormalnego w czasach zimnej wojny, chociaż czekała mnie prawdziwa niespodzianka. Telewizja wyemitowała dokumentalny film, w którym pokazano z bliska nie tylko imponującą flotę krążowników, lotniskowców i okrętów podwodnych, lecz również stan liczebny marynarki oraz kompleksowy obraz sztabu odpowiedzialnego za działalność operacyjną. Takich sekretnych elementów nie zebrałby nawet tuzin agentów KGB.

Norfolk zapadł mi w pamięci głównie z innego powodu. Wprawdzie miasta nie widziałem zanadto, ale gorączka przedświąteczna była namacalna, poczynając od wyjątkowo efektownie udekorowanych domów, a nawet samochodów, po różnokolorowe lampiony czy przykuwające wzrok wystawy zapelnione świecącymi figurkami w postaci aniołków, mikołajów i reniferów. Najwięcej czasu spędziłem w wigilijny dzień, oglądając telewizję. Gapilem się trochę na serial, w którym pod jednym dachem wielopokoleniowa rodzina zasiada do kolacji, i zaliczyłem „To wspaniałe życie”, filmowy klasyk na Boże Narodzenie, który miał już prawie 30 lat. Na szczęście nadal był to film ciepły, uroczy i doskonale wprowadzający w klimat gwiazdki. Także muzyka odgrywała ważną rolę w budowaniu świątecznej

atmosfery, stacje radiowe przypominały wszystkim jedną z najpopularniejszych i najchętniej słuchanych piosenek „White Christmas”, wykonywaną przez Binga Crosby’ego, Franka Sinatrę, Elvisa Presleya i prawdopodobnie przez każdego, kto uważał, że umie śpiewać. Pamiętam, że wielokrotnie w ciągu dnia przewijała się także „Jingle Bell Rock”, jedna z najpopularniejszych świątecznych piosenek, którą do dzisiaj można usłyszeć w różnych stacjach na świecie.

Po złożeniu życzeń rodzicom, a dodam, że połączenie z Polską uzyskałem po dwóch dobach oczekiwania, późnym wieczorem, pod osłoną nocy podpatrywałem

Kilkakrotnie przyszło mi świętować Boże Narodzenie po dwa razy: 25 grudnia w towarzystwie zaprzyjaźnionych katolików i 14 dni później z prawosławnymi. Było to w Rosji, gdzie w 1988 r. dotarłem do znanego szpiega sowieckiego w brytyjskich służbach – Kima Philby’ego

przez niezasłonięte okna świętujących mieszkańców Norfolku. I chociaż byłem zahartowany w wielu ekstremalnych sytuacjach do tego stopnia, że nawet oderwany sześć tygodni od świata na Atlantyku nie odczuwałem, aby samotność pastwiła się nade mną, to teraz docierały do mnie zjadliwy smutek i przygnębienie. Wyobcowanie w dniu tak niezwykłym jak Boże Narodzenie, z dala od bliskich, bez choinki, śniegu i rodzinnego obiadu, bez tradycyjnej wymiany prezentów, nie należy do łatwych przeżyć. Nawet jeśli pamięć wymazuje z reguły złe wspomnienia, wyolbrzymia zaś dobre, to trudno się wyrwać z nostalgicznych rozmyślań, z poczucia samotności oraz tęsknoty za czasami pełnymi wzruszeń, kojarzonymi z bożonarodzeniowym ciepłem domowego ogniska.

Przychodzą na myśl czasy utraconego raju dzieciństwa, o którym amerykańska piosarka Erma Bombeck wspominała: „Nie ma nic bardziej markotnego, niż obudzić się w świąteczny poranek i uprzytomnić, że nie jest się już dzieckiem”. Tego roku zabrakło choinki, nie było śpiewu kołęd, szopki z figurką Dzieciątka, łamania się opłatkiem z kuzynostwem ani składania sobie życzeń pojednania i pokoju.

ŚWIĘTA W BLASKU DIAMENTÓW

Swego czasu znalazłem zatrudnienie w ochronie kopalni diamentów w Yengema w Sierra Leone. Nadzorowaliśmy

tereny górnicze, monitorowaliśmy je i chroniliśmy przed nielegalnymi poszukiwaczami oraz działalnością przemytniczą. W tym światku trzeba być nieposzlakowanym uczciwym, aby nie skusić się na łatwy dar fortuny. Za garść „kamyków” w Europie można kupić nie tylko posiadłość, ale i zabezpieczyć sobie egzystencję do ostatnich dni życia. Dyrekcja chciała mieć pewność, że w moim zachowaniu nie pojawiają się jakiegokolwiek niepokojące symptomy dotyczące podatności na kradzież lub korupcję, zatem dokładnie sondowała moją wiarygodność, lojalność, podatność na nalogi czy dbałość o tajemnice przedsiębiorstwa lub inne informacje wrażliwe.

Miałem unikatowe warunki bytowe, lodge tonący w kaskadach bugenwilli i fiołkowych jakarand, dyskretną i lojalną służbę, basen, pole

golfowe, kort tenisowy oraz intratną gażę. Ciężka jednak przytłaczająca atmosfera paranoicznej, obsesyjnej podejrzliwości. Śmiertelnie nudne klubowe wieczory w towarzystwie formalistycznych angielskich dzentelmenów, wobec których nie można było otworzyć szczerej polskiej duszy, nie zapewniały pogody ducha. Na Boże Narodzenie zabrakło mi nastroju i przesłania, jakie niesie obrządek od dawna zapisany w naszej kulturze i psychice. Tej magicznej atmosfery, która każdorazowo udziela się nawet zdeklarowanym ateistom. Dwa tygodnie później powróciłem do Europy, do domu.

Ćwierć wieku temu zeglowałem w rejsach czarterowych na legendarnym keczu Stormvogel. Święta i Nowy Rok spędziliśmy na wysepce Mustique w archipelagu



Grenadyn, klejnocie Karaibów. Na sylwestrowy wieczór w gorących rytmach Jamajki zamówiliśmy stolik U Bazylego, gdzie pojawił się także Mick Jagger. Nieopatrznie poprosiłem go o autograf, na co usłyszałem cierpkie słowa wyrzutu: „Czy kur..., ty naprawdę nie uważasz, że brudzisz mi spokój?”. Wycofałem się bez słowa, ale napotkany następnego dnia w tym samym barze megagwiazdor podszedł do mnie i przeprosił za szorstkie obejście. Wypiliśmy razem aperitif, ale o autograf już nie prosiłem.

ŚWIĘTA Z DZIADKIEM MROZEM

Okresowo rezydowałem w Rosji, gdzie kilkakrotnie przyszło mi świętować Boże Narodzenie nawet po dwa razy: 25 grudnia w towarzystwie zaprzyjaźnionych katolików i 14 dni później z prawosławnymi, żyjącymi zgodnie z kalendarzem juliańskim. Raz zdarzyło się ożywić w pamięci nastrój ludzkiej rozpacz, samotności i cierpienia, jaki odmalował w „Wigiliu na Syberii” Jacek Malczewski. Pelen patosu obraz przedstawia grupę polskich zesłańców politycznych przy świątecznym stole i pustych talerzach, skupionych na wspomnieniach tego, co utracili i czego już nigdy nie zobaczą.

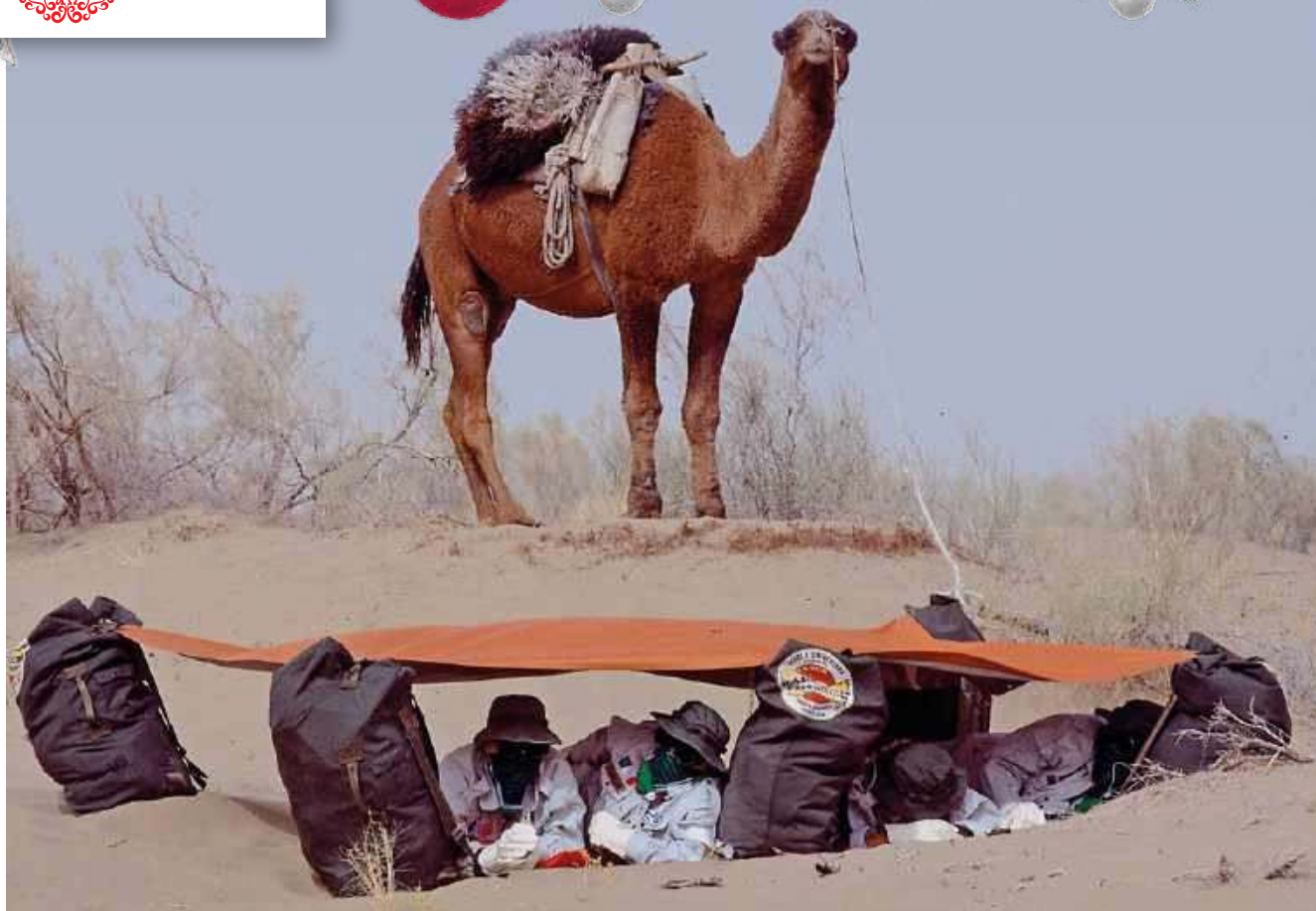
W ogóle to byłem zaskoczony ilością podobnych tradycji, dwunastoma potrawami przypominającymi wigilijny stół w Polsce, czyli pierogami z różnym nadzieniem, kutią albo kompotem z suszu. Kiedy my dzielimy się opłatkiem, prawosławni wręczają najbliższemu prosforę, czyli święcony chleb, kładą też siano pod ikoną na stole. Religijny rytuał ma jednak o wiele mniejsze znaczenie, jeśli chodzi o skalę i rozmach uczowania niż Nowy Rok. Po rewolucji bolszewickiej ateistyczne władze pozbyły się świąt kościelnych. Choinka została najpierw ogłoszona zwyczajem burżuazyjnym, ale potem zaadaptowano ją do obchodów sylwestra. Ten dzień na stałe wchłonął w siebie tradycje Bożego Narodzenia, jednocześnie przekształcając je na modłę świecką. Nie widać zatem świątecznego polskiego nastroju, chociaż Nowy Rok obchodzi się hucznie. Zawsze jest choinka, szampan, mandarynki, przemówienie prezydenta, odliczanie sekund do dwunastej, wreszcie prezenty, które przynosi Dziadek Mróz.

W styczniu 1988 r., między jednym i drugim obrzędem, dotarłem do najwybitniejszego szpiega sowieckiego w brytyjskich służbach i jednego z największych zdrajców – Kima Philby’ego, który

ćwierć wieku wcześniej zbiegł do ZSRR. Tam dość szybko zrozumiał, że Kraj Rad wcale nie ucieleśnia szczytnych wizji równości, którymi mamił ludzkość, a powrót do ojczyzny nie wchodził w rachubę. Będąc w chronicznym dołku psychicznym, przez resztę życia topił nostalgię w alkoholu. Kiedy odwiedziłem go w jego mieszkaniu przy prestiżowej ulicy Twerskiej, arcyszpieg nie był w stanie podjąć konwersacji. Spotkanie ograniczyło się do poczęstowania herbatą przez małżonkę, Rufinę Puchową.

ŚWIĘTA W TROPIKACH

25 grudnia ludzie na świecie wymieniają pośpiesznie e-maile i esemesy z życzeniami. Era cyfrowa ułatwia drogę na skróty – ludzie kopiują gotowe oziebłe formułki życzeniowe, by bezwiednie rozsylać je do wszystkich osób figurujących w książce adresowej. Ten nowy trend pozbawił nas kolorowych pocztówek i odesłał ręczne pismo oraz estetyczną kaligrafię na emeryturę. A szkoda, bo czas poświęcony na przelanie czegoś na papier pozwala stworzyć głębszą refleksję. Uczta duchową było dla mnie wyciągnięcie z archiwum zakurzonej, nadszarpniętej zębem czasu przesyłki



od rodziców: „Drogi Synu. Nadchodzące Święta bez Ciebie to nie to samo, co zwykle Narodzenie Pańskie. Nigdy, przenigdy nie przestaniemy o tobie myśleć. Na pewno nie byłeś idealnym dzieckiem, nieraz nas zadręczałeś, ale wyznajemy, że ożywiłeś naszą egzystencję. Jesteś naszym jedynym punktem odniesienia i zawsze pozostaniesz nieprześcignionym synem, którego dokonania podziwiamy. W każdym momencie możesz na nas liczyć. Tym razem nie ma podarków, ale ofiarowanie radości bliskim jest więcej warte niż jakikolwiek prezent świąteczny. Wiedz, że do kolacyjnej wieczerzy dostawiliśmy krzesło dla Ciebie, aby poczuć twoje współuczestnictwo. Wszystkiego dobrego dla najlepszego syna na świecie. Życzymy ci, aby te szczególne święta rozgrzały twoje serce i napęłniły je radością. Szczęśliwych świąt, Synu”.

Kompletnie surrealistycznie odebrałem ostatnią Wigilię na Bali, gdzie tym razem wybrałem się razem z rodziną. Wprawdzie centra handlowe były ozdobione choinkami i błyszczącymi dekoracjami ze świąteczną muzyką w tle, to jed-

nak skwar, bujna tropikalna roślinność, surfści na rajskiej plaży, zjawiskowe zachody słońca, nie mówiąc o muezzinie wzywającym z minaretu wiernych do modlitwy, nie pozwalały odczuć momentu nadejścia narodzin Jezusa. W nastroju zadumy wspominałem obrazy powoli tańczących i krążących w powietrzu pierwszych małych płatków śniegu w Europie, które z czasem sypały się z nieba puszystym strumieniem. Dzieci oczarowane pierwszym śniegiem wylegały w ten bajkowy świat, grały w śnieżki, lepiły bałwana albo taczały się w białym puchu. Wszystko wokół stało się hipnotyzujące. Na antypodach była to wizja z innej planety.

Literatura bożonarodzeniowa pełna jest niezapomnianych dzieł, które pomogły ukształtować niepowtarzalny urok i magię najpiękniejszej nocy w roku. Nie brak ich i w Polsce. Władysław Reymont pokazał to w nagrodzonej Noblem powieści „Chłopi”, Jan Kasprzowicz w lirycznym utworze „Przy wigilijnym stole”, a Czesław Miłosz w „Baśni wigilijnej”. Osobiście byłem poruszony lekturą „Opowieści wigilijnej”

Charlesa Dickensa, najbardziej klasycznej epopei gwiazdkowej, która w duchu chrześcijańskim skupia się na solidarności i rodzinie, naświetlając dramatyczne w nowej erze przemysłowej nierówności, zwłaszcza wyzysk małoletniej siły roboczej, by wołać o większą sprawiedliwość i budowę nowego społeczeństwa. Nawrócenie Ebenezer Scrooge’a, bezwzględniego samolubnego biznesmena, którego jedyną wiarą była brzęcząca moneta, stało się okazją do surowej krytyki ówczesnych stosunków klasowych oraz przesłania nadziei i odkupienia. Kultowa historia o ponadczasowym przesłaniu od blisko 200 lat zachowuje swoją aktualność, bo w dobie globalizacji i bezwzględnej komercjalizacji społeczeństwo znalazło się niebezpiecznie blisko wizji Dickensa. Co zresztą potwierdza triumf konsumpcjonizmu świąt Bożego Narodzenia, gdzie tło duchowe, które towarzyszy ludzkości od ponad dwóch tysięcy lat, zostało w dużym stopniu podporządkowane nieokreślalnemu rytuałowi zakupów – naszej nowej religii.

Jacek Pałkiewicz



Polska Lokalna: Wielki Projekt

Kongres Polska Wielki Projekt odbywa się co roku w Warszawie od 2011 r. Jego dorobek to setki debat i imprez towarzyszących oraz ponad 100 tys. uczestników. To jednak przede wszystkim miejsce intelektualnego fermentu i wykuwania się idei, które często później stawały się rzeczywistością, wpływając na poprawę funkcjonowania państwa i jego obywateli.

Dyskusje kongresowe zawsze koncentrowały się na ważnych wyzwaniach stojących przed Polską w różnorodnych wymiarach: geopolitycznym, gospodarczym, społecznym, kulturalnym etc. Dyskutowano m.in. o tym, jak uniknąć pułapki średniego rozwoju, przywrócić sprawczość państwa, budować kapitał społeczny, walczyć z mechanizmami optymalizacji podatkowej, prowadzić dyplomację historyczną czy politykę wizerunkową kraju etc.

Część wydarzeń kongresowych odbywała się w minionych latach także w innych miastach, takich jak Kraków, Poznań czy Szczecin. W 2019 r. narodził się pomysł, by podobne przedsięwzięcia organizować w mniejszych ośrodkach, przypominając o problemach Polski z perspektywy lokalnej, nieco mniej znanej i często zapomnianej. Od tamtego czasu, pomimo covidowych trudności, udało się zorganizować regionalne kongresy w Przemyśle, Białymstoku, Kosowie Lackim, Tomaszowie Mazowieckim, Kaliszu, Ciechanowie, Słupsku, Chełmie, Rybniku i Suwałkach (debatom towarzyszyły imprezy kulturalne i artystyczne, np. pokazy filmów dokumentalnych czy koncerty muzyki poważnej). W kolejnych latach planowane są następne odsłony w innych województwach.

Każdy z regionalnych kongresów dotyka lokalnej problematyki z jej sukcesami, wyzwaniami i trudnościami.

Uczestnicy wydarzenia, wśród których dominują lokalne elity, zastanawiają się m.in. nad tym, jak zatrzymać odpływ ludności z mniejszych miast, jak sprawić, żeby jakość życia w nich nie odbiegała od metropolii. Najczęściej poruszane tematy dotyczą gospodarki, inwestycji, infrastruktury, środowiska, kultury i szkolnictwa w regionie.

Celem całej serii lokalnych kongresów jest zrozumienie i zwrócenie uwagi na wyzwania, z jakimi mierzą się dziś mieszkańcy mniejszych ośrodków. Kluczem do poradzenia sobie z nimi jest często budowa kapitału społecznego, polegająca na tworzeniu sieci oddolnych organizacji i inicjatyw, którym leży na sercu dobro wspólne. Ale to nie wszystko: potrzebna jest też polityka państwa, dbająca o zrównoważony rozwój wszystkich regionów i nieforsująca modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego, który niszczy spójność społeczną i generuje rozwarstwienia.



Przepis na szczęście

Z filozofem **prof. Januszem Sytnikiem-Czetwertyńskim**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

Szczęście jest czymś, co osiągnąć
jest bardzo trudno, jeśli jest to
świadome dążenie

Dlaczego filozofowie przez wieki tyle swojej uwagi poświęcali szczęściu?

Janusz Sytnik-Czetwertyński: Wszystko zaczęło się od Sokratesa, który filozofię sprowadził z wyżyn abstrakcji na człowieka. I tak człowiek stał się przedmiotem rozumowania filozofów. Szczęście jest jedną z tych wartości, które można określić mianem naczelných, nad jakimi wówczas rozumowano. Bardzo często szczęście było przeciwstawiane cierpieniu i bólowi, bo starożytna filozofia grecka uwielbiała wszystko rozpatrywać w ramach przeciwieństw. Żeby w jakiś sposób ustawić granice człowieczeństwa, ustalić pole badawcze, trzeba było zobaczyć, skąd i dokąd jest człowiek. Po jednej stronie w związku z tym jest ból, cierpienie, po drugiej szczęście i wzniosłość. Całe emocje człowieka, wszystkie jego uczucia są w tych granicach i w naszym rozumieniu są to granice nieprzekraczalne. Mieści się tam zarówno to, co odczuwamy, jak i to, co naszymi odczuciami wyrażamy – i jest to zawsze albo bliżej cierpienia, albo bliżej szczęścia. W tym sensie można powiedzieć, że to są dwie najważniejsze, graniczne kategorie opisujące człowieka: dochodzimy albo do cierpienia, albo do szczęścia. Naturalną rzeczą u człowieka jest to, że dąży do szczęścia, a unika cierpienia. Oczywiście zdarzają się choroby, patologie, kiedy człowiek to odwraca, bodaj najbardziej spektakularnym tego przykładem jest samobójstwo. Ale człowiek właściwie rodzi się do tego, aby dążyć do szczęścia.

Co to znaczy „dążyć do szczęścia”?

Szczęście jest czymś, co osiągnąć jest bardzo trudno, jeśli jest to świadome dążenie. Oczywiście życie przynosi wiele niespodzianek, zdarza się nam przeżyć szczęśliwie coś, czego nie planowaliśmy, np. gdy spotkamy na ulicy kogoś całkiem niespodziewanie, co nam sprawiło wielką radość, może to też być wygrana na loterii itp. I to są sytuacje od nas zupełnie niezależne, ale jeżeli mamy jakąś strategię życiową, dzięki której pragniemy szczęście zyskać, to jest już to niebywale trudne. Bardzo często osiągnięcie tego szczęścia oznacza naruszenie pewnych relacji z innymi osobami, co skutkuje albo cudzą zazdrością, albo niechęcią do pomocy, generalnie jest pewien opór społecznej materii i wraz z tym oporem potrzeba ogromnej dawki samozaparcia, aby w tym swoim dążeniu do szczęścia wytrzymać.

Trzeba pamiętać, że zawsze naruszamy jakieś społeczne status quo wokół siebie dążeniem do swojego szczęścia.

A jeżeli nasze szczęście jest niezauważalne dla otoczenia? Np. piszemy książkę, ale celem nie jest to, by ją koniecznie wydać, sam proces twórczy może uczynić nas szczęśliwym. Musimy pokazywać światu nasze szczęście?

Tak jesteśmy biologicznie skonstruowani, że po to chcemy coś stworzyć, by zmieniać świat. A schowaniem do szuflady nie zmienimy niczego. Nie ma tego efektu prawdziwie twórczego.

No dobrze, ale byli twórcy, np. van Gogh, którzy zapewne byli szczęśliwi, tworząc swoje dzieła, choć pewnie cierpieli, że nikt ich nie chciał ani oglądać, ani kupować.

Potrzeba dzielenia się swoją wrażliwością, tworzeniem pewnego piękna, chęć zmiany tego świata, nawet drobna, wszystko to jest aktem zewnętrznym. Człowiek aż tak bardzo potrzebuje ten świat zmieniać, że aby to czynić, jest w stanie cierpieć w najwyższym stopniu, van Gogh jest tego doskonałym przykładem. Można powiedzieć: człowieku, nie rozumiesz, że nikt nie lubi twojej sztuki, daj sobie spokój, nikt nie chce tego oglądać, a jednak wewnętrzna potrzeba i przekonanie, że to, co robię, jest właściwe i dobre, jest tak silne, że odrzuca się wszystkie inne życiowe drogi, które być może zapewniłyby dostatek i spokój.

Ale van Gogh nie był szczęśliwy – postrzał, w którego wyniku zmarł, uważa się za samobójstwo.

Miał wewnętrzną potrzebę tworzenia.

I to mu dawało szczęście?

Nie, bo – jak powiedziałem – samo tworzenie nie daje pełni szczęścia. Nie było tu spełnienia.

Czyli nie można być szczęśliwym w samotności?

Nie, to jest nierealne! Człowiek dlatego posiadał umiejętność kochania, żeby uciekać od samotności. Miłość to jest ucieczka od samotności. W raju wszyscy byli szczęśliwi, bo nie mieli świadomości. Kiedy Adam skosztował jabłka, wraz z tym pojawiła się świadomość samotności i wiedza, że istnieje śmierć. Można po-



wiedzieć, że nasza samoświadomość wypędziła nas z raju. Dostaliśmy świadomość śmierci, a rekompensuje nam to świadomość miłości.

Nie można stworzyć jednej definicji szczęścia. Każdy człowiek jakoś wyobraża sobie, co dla niego może być szczęściem, dąży do tego, ale każdy inną drogą i inny cel znajduje się na jej końcu.

Można stworzyć jedną definicję pocucia szczęścia, ale nie da się stworzyć jednej recepty na szczęście. Definicja pocucia szczęścia nie będzie czymś nadzwyczaj trudnym – jest to jakieś stałe poczucie wzniosłości w człowieku i bez wątpienia będzie tym spełnieniem, którego oczekujemy, dążąc do szczęścia. Natomiast nie da się stworzyć jednej recepty na szczęście, bo ona musiałaby być inna dla każdego człowieka, choćby dlatego, że różnimy się zdolnościami, ich rodzajem i natężeniem. Zazwyczaj bywa tak, że im większe zdolności, tym większa potrzeba zagłębienia się w danej dziedzinie. Ktoś ma zdolności naukowe, będzie śleczął nocami i czytał książki, a jeśli artystyczne – będzie tworzył w ramach swojej wrażliwości. Musimy jednak w jednej sprawie uważać, bo do szczęścia możemy dochodzić dwiema drogami: materialną i duchową. Rozważane już to było w starożytnej Grecji. O tym, że szczęściem jest oglądanie pięknych rzeczy, pouczają dwie szkoły – cyników

Człowiek dlatego posiadał umiejętność kochania, żeby uciekać od samotności. W raju wszyscy byli szczęśliwi, bo nie mieli świadomości. Kiedy Adam skosztował jabłka, wraz z tym pojawiła się świadomość samotności i wiedza, że istnieje śmierć

i cyrenaików. Jedni mówili, że gdy patrzeć się na rzeczy materialne, im piękniejsze rzeczy będzie się widzieć, tym piękniejsze stany wewnętrzne będzie się odczuwać. A drudzy, że świat zewnętrzny w ogóle nie ma znaczenia, liczą się tylko stany duchowe, w związku z tym im bardziej będzie się duchowo cokolwiek przeżywać, tym będzie się szczęśliwszym. Obie szkoły były hedonistyczne, ba, jedna i druga droga były równie pazerne, bo mogły doprowadzić do pychy i wywyższania się nad innymi ludźmi.

To co zamiast jednej z tych dwóch dróg powinniśmy wybrać?

Człowiek powinien zrozumieć siebie. Każdy z nas ma do czegoś jakieś pre-

dylekcie, zdolności, a wraz z tym jakieś potrzeby. Przede wszystkim trzeba posłuchać siebie, zrozumieć siebie i twórczo siebie rozwijać. Człowiek ma 18 lat, żeby dojrzeć, żeby poprobować różnych rzeczy, nawet tych ekstremalnych, różne wówczas robi głupoty, czasami tak przerażające, że rodzicom włos się jeży na głowie. Ale młodzi próbują życia, kosztują, żeby zrozumieć, co jest dla nich dobre. A kiedy już zakosztują tego życia, przychodzi moment wyboru, najczęściej to jest matura i wybór studiów. Człowiek powinien się wówczas kształcić zgodnie ze swoimi zdolnościami, ale często wybiera studia dające lepszą perspektywę przyszłego zatrudnienia czy zarobków. Bywa, że koszty



duchowe wybrania takiej ścieżki są na tyle duże, że nie można sobie z nimi poradzić. Twórczo podejść do siebie, to znaczy rozwinąć to, co mi dał los, co dostałem w pakiecie przy urodzeniu.

Mówi pan, że młody człowiek eksperymentuje do momentu osiągnięcia tej formalnej dojrzałości, choć zdarza się, że dłużej, i wybiera to, co jest dla niego dobre. A czy nie jest tak, że wybiera to, co jest dla niego przyjemne albo łatwe? Kiedy obserwuję młode pokolenia, to myślę sobie, że Epikur bardzo dobrze czułby się w ich towarzystwie.

A ja myślę, że bardzo szybko Epikur stałby się bogiem dla tych ludzi, a może i już jest, tylko nieuświadomionym. Przedstawiłem sytuację, jaka być powinna, natomiast niestety z ubolewaniem widzę, że duża część młodzieży idzie po prostu na łatwiznę, wybiera to, co przyjemne, co łatwiejsze, żeby się nie namęczyć. A przecież, jak już mówiłem wcześniej, człowiek naprawdę musi się nieźle natrudzić, żeby szczęście osiągnąć. Nie można liczyć w kółko na łut szczęścia, prędzej czy później życie postawi na drodze takiego rewizora, który będzie tym nieugiętym profesorem, nauczycielem, wychowawcą, krewnym, sąsiadem, kimkolwiek, kto powie „nie”, tą drogą nie możesz iść, ja ci na to nie pozwalam. Osobę, której nie da się obejść.

Arystoteles twierdził, że nasze szczęście zależy od nas samych. Jednak w dziełach filozofów, pisarzy czy ludzi zajmujących się takimi zagadnieniami jak szczęście, cierpienie, ból przewija się taka myśl, że należy poznać samego siebie. Ale ktoś kiedyś powiedział, że jesteśmy tacy, jak inni nas widzą, tacy, jak sami o sobie myślimy, i tacy, jacy naprawdę jesteśmy. Jak dojść do tego, jacy naprawdę jesteśmy?

Nigdy do tego nie dojdziemy, to jest ułuda. Oczywiście każdy chce, próbuje poznać samego siebie, ale przez wszystkie lata życia zaskakujemy samych siebie i będziemy się zaskakiwać. W jakiej sytuacji byłoby to bowiem możliwe? Otóż wówczas, gdybyśmy poznali wszystkie możliwe sytuacje, w jakich w ogóle w życiu możemy się znaleźć, a to jest całkowita utopia. Oczywiście sytuacje można pogrupować i powiedzieć, że skoro w tej sytuacji zachowaliśmy się w taki sposób, to w innej zachowamy się podobnie. Zapewne tak może być, ale jest cała masa sytuacji, które nas nie spotykają, np. nigdy nie występowałem na 100-tysięcznym stadionie jako piłkarz, a być może przez przypadek tak się kiedyś stanie, że pójdę na jakiś mecz gwiazd i któregoś piłkarz podbiegnie do mnie i powie, że wybieram jednego widza, który będzie w jego jedenastce. I ja nie wiem, jak się zachowam. Być może zżarłaby mnie trema albo wręcz odwrotnie, czułbym się jak ryba w wodzie. Mogę przypuszczać, że skoro jestem człowiekiem o bardzo silnym charakterze, wręcz agresywnym, który im większe stają przed nim wyzwania, tym silniej do

nich podchodzi, to czułbym się wówczas swobodnie. Ale tej pewności nie mam.

Angielski pisarz William Somerset Maugham twierdził, że ludzie nigdy nie wiedzą, że są szczęśliwi, wiedzą tylko, kiedy byli szczęśliwi. Przeżywamy szczęście i nie wiemy o tym?

„Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz”. To jest dokładnie na tej samej zasadzie. Potrafimy dostrzec to, że byliśmy szczęśliwi w taki codzienny sposób wtedy, gdy rzeczywiście przyjdzie jakieś nieszczęście. Natomiast takie szczęście prawdziwe, które jest związane z jakąś wyjątkową sytuacją, dostrzegamy, zwłaszcza ten moment, kiedy osiągamy jakiś cel.

Myśli pan, że kiedy Newton siedział pod tą jabłonią i jabłko spadło mu na głowę, i odkrył dzięki temu prawo grawitacji, to był wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi?

Myślę, że on pod żadną jabłonią nie siedział, bo to wszystko zmyślił Wolter w swojej książce „Elementy filozofii Newtona”. Wolter był znanym bazarzem, jednym z tych, którzy zrobili niebotyczną karierę w filozofii, ale niestety bardziej jako przyczynkarze, nie jako twórcy jakiegokolwiek filozofii. Filozofem prawdziwie wielkim Wolter po prostu nie był.

Nie tylko filozofowie poświęcali dużo czasu na rozmyślanie o szczęściu, ale także religie mówią nam, co daje szczęście. Chrześcijaństwo, że bezpośredni kontakt z Bogiem, islam zaleca postępowanie zgodnie z wolą Allaha, a buddyzm wyzbycie się pragnień.

To są trzy kompletnie różne drogi. Droga chrześcijańska to droga do szczęścia poza tym światem, droga islamu pokazuje nam szczęście na tym świecie, natomiast droga buddyzmu pokazuje nam szczęście poza tamtym i tym światem i jest nim ni-

cość. Chrześcijaństwo więc mówi: masz się całkowicie poddać woli Bożej, przyjmować cierpienie i los takimi, jakimi przychodzą, w milczeniu. Islam powie: masz odczytać, jakie plany wobec ciebie ma bóg i postępować zgodnie z tymi planami. Buddyzm zaś głosi: jeżeli wyzbędziesz się pragnień, będziesz szczęśliwy, bo nic nie będzie do ciebie docierać. W nicości nic złego nie może się zdarzyć. Jesteśmy tam bezpieczni. A świat, który nas otacza, jest niebezpieczny.

Bardzo wielu ludzi z sentymentem i rozrzewnieniem wspomina lata swojego dzieciństwa jako swoistą krainę szczęśliwości.

Chodzi o to, że to dzieciństwo jest w przeszłości i my już wiemy, czym ono się kończy, jaki finał miały wszystkie sytuacje, których doświadczaliśmy. Dzieci przeżywają swoje sytuacje w trudny sposób, bo nie wiedzą, czym się skończą. Dowiedzą się o tym za kilka lat. Ktoś powie: „Przejmowałeś się tym, że



ktoś ci zabrał foremkę w piaskownicy? A jak teraz ktoś ukradnie ci telefon komórkowy w twojej firmie, to nie będziesz się martwić?”. To tylko zamiana rzeczy, kiedyś była ważna łopatką czy foremka, teraz telefon. To nie jest tak, że problemy dzieci są mniej ważne, tylko my już wiemy, jak zostały rozwiązane. Przeszłość jest uporządkowana, wiadoma, wszystko jest zakończone. Natomiast teraźniejszość jest niewiadomą. Boimy się tego, bo nie wiemy, jak to się wszystko skończy. Teraz myślimy, że w dzieciństwie wszystko łatwo można było załatwić, ale wtedy tego przecież nie wiedzieliśmy.

Czy są takie osoby, które za nic nie potrafią szczęścia osiągnąć? Barbara Niechcicowa z „Nocy i dni” budziła się i zadawała sobie pytanie, „Czym to ja się dzisiaj miałam martwić?”. Z kolei Scarlett O'Hara z „Przeminęło z wiatrem” zderzając się z problemem, mówiła: „Pomyślę o tym jutro”. Które podejście do życia jest lepsze?

Obie panie nie były szczęśliwe. Nie da się nie stawiać czoła problemom, to jest nierealne, w pewnym momencie one i tak nas dotkną, w teorii może się wydawać, że mogło się nie zdarzyć to, co się zdarzyło. Prędzej czy później coś się jednak zdarzyć musi. Jeśli człowiek nie ma umiejętności radzenia sobie z problemami, to pograżają go one jeszcze bardziej. Ta osoba, która powie: „Załatwię to jutro”, może zostać zaskoczona tym, że któregoś dnia tego jutra już niestety nie będzie. Okaze się, że już się nie da odłożyć. To jest takie życiowe tchórzostwo, bojaźń, żeby się zmierzyć z prawdą o sobie.

Ale Barbara Niechcicowa wręcz czekała, żeby spotkało ją jakieś nieszczęście, z którym będzie musiała się zmierzyć...

Znam w swoim otoczeniu wiele osób, które gdyby się je obysypało diamentami, byłyby nieszczęśliwe, że pośród nich nie ma jeszcze jakiś rubinów albo szafirów. To jest już pewna charakteropatja. Bez dwóch zdań Niechcicowa to była osoba, której niczym nie dało się zadowolić, ale paradoksalnie chyba odczuwała jakiś stan bezpieczeństwa w tym, gdy tak nieufnie i krytycznie podchodziła do życia, nawet powiedziałbym przesadnie krytycznie. A przecież czasem błędy wychodzą na

dobrze, trzeba je dać sobie popelniać, trzeba sobie nabić jednak w tym życiu kilka guzów.

Jest wiele poradników, które próbują odpowiedzieć na pytanie, jak być szczęśliwym. Jedyna rada, która mi się spodobała, brzmiała „unikaj ludzi, którzy źle na ciebie działają”.

Większość tych poradników jest po prostu beznadziejnie głupia, są puste jak dzban. Musimy uważać, większość tych dobrych rad oparta jest na antonimach, bo autorom wydaje się, że jest to bardzo głębokie. Np. „Trzeba wielkiej odwagi, by stchórzyć”. Mogłoby się wydawać, że to jedna z wielkich tez, a przecież to nie ma żadnego sensu, to kicz intelektualny. Wszystkie te poradniki są kiczami intelektualnymi.

Próbuję uzyskać od pana przepis na szczęście, rozmawiamy o filozofach i religiach, a może najbardziej racjonalnym podejściem w tym temacie jest to, co mówią naukowcy, że uczucie szczęścia powodują serotonina i dopamina, związki chemiczne wytwarzane przez nasz organizm? To by jakoś tłumaczyło szukanie ich namiastek np. w narkotykach, choć ta chwila „szczęścia” w efekcie przynosi tragiczne skutki.

U progu wszelkiego rodzaju używek jest samotność. Bo jeśli nie ma miłości, to uciekamy się do zastępstw, te wszystkie używki mają nam ową miłość zastąpić.

Nie ma szczęścia bez miłości?

Nie, to jest nierealne. To nie musi być jedynie miłość do drugiego człowieka, ale także miłość do świata zewnętrznego. Ale nawet gdyby neurologi mieli rację w sprawie hormonów szczęścia, to nie do końca jest tak, że organizm sam z siebie wytwarza endorfiny i w ten sposób stajemy się szczęśliwi. Są sytuacje, które dają bodźce wytwarzające endorfiny. Nawet gdyby mieli rację, to nie oznacza, że człowiek nie ma prawa tego szczęścia szukać, ale z rozumą. Człowiek, który chce być szczęśliwy, jednak nie powinien do końca, tak bez reszty angażować się w sytuacje, które tego nie wymagają. Świetnym przykładem jest dzielny wojak Szwejk, który w najbardziej trudnych chwilach mawiał: „Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było”.



Pod choinkę

Niech dalej żyje bal



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Dlaczego królowa polskiej piosenki, oglądając ten film, płakała? O czym zdecydowała się w nim opowiedzieć? I kto jej w powrocie do przeszłości oraz komentowaniu teraźniejszości wtórował?

W pierwszy dzień świąt TVP1 pokaże dokument o sercowych zawirowaniach i karierze Maryli Rodowicz – „Maryla. Tak kochałam”. Wspaniały prezent, jaki trafi do widzów, dopełniają unikatowe nagrania

Trudno powiedzieć o Maryli Rodowicz coś, czego jej fani, ale też zwykli słuchacze nie wiedzą. Tytu wywiadów udzieliła, w tytu programach wzięła udział, napisano też o niej kilka książek...

– Nielatwo znaleźć informacje, które nie są powszechnie znane, ale my dotarliśmy do materiałów, które potwierdzają wydarzenia przywoływane przez Marylę, ilustrują jej wypowiedzi – mówią reżyserzy filmu „Maryla. Tak kochałam” Krystian Kuczkowski i Michał Bandurski, zarazem twórcy ubiegłorocznego świątecznego przeboju – „Krzysztof Krawczyk – całe moje życie”.

SKARBY Z PRZESZŁOŚCI

Nie bez znaczenia jest to, że premierową emisję dokumentu o wykonawcy przebojów, takich jak „Parostatek”, „Bo jesteś ty”, „Jak minął dzień”, obejrzało w pierwszy dzień Bożego Narodzenia 2020 r. 4 mln widzów. – To był absolutny rekord, także na tle innych stacji. Pokazał, jak duże jest zapotrzebowanie na tego typu biograficzne dokumenty – podkreślają reżyserzy.

Tamten film widowia przyjął znakomicie również ze względu na mniej znaną historię bohatera. Jego wzloty i upadki, życiowe zakręty mogły być zaskoczeniem. – Widząc, z iloma demonami musiał się zmagać, odbiorcy jeszcze mocniej go docenili. Jeśli jednak mam uczciwie ocenić, to w warstwie archiwalnej „Maryla...” niesie z sobą o wiele więcej – uważa Krystian Kuczkowski.

Przyczyna jest prosta – więcej jest w archiwach TVP materiałów związanych z Marylą Rodowicz, która – co zna-

czące – od 55 lat nie schodzi z polskich scen. Nie znikła, jak Krawczyk, na dzie sięć lat z publicznej przestrzeni. Nie ograniczono jej dostępu do małego ekranu. Przez cały PRL była na szczycie. Mijały dekady, zmieniały się realia, także polityczne, a ona wciąż miała status gwiazdy.

Przez te wszystkie lata była również aktywna w mediach. – Wydaje się, że opowiedziała o sobie i opowiedziano o niej już wszystko. Pytanie – jak? My zrobiliśmy to w sposób inny niż dotychczas. Nie ma w naszym filmie gadających głów. Są obrazy – deklarują twórcy. – Wszystkie wydarzenia, o których opowiadamy, zostały zilustrowane filmowymi materiałami.

Proporcjonalnie, jak wyliczają, w filmie o Krzysztofie Krawczyku archiwalia obejmowały 20 proc. tego, co zostało wykorzystane w portrecie Maryli Rodowicz. I również ta różnica decyduje o wyjątkowości produkcji, która trafi w świąteczny czas do widzów.

FOTKA Z FIDelem

– Główną osią filmu są sprawy sercowe bohaterki i życiowe zawirowania wokół jej związków oraz głośnych romansów, ale jest też uwzględniony wątek kariery oraz ludzi, z którymi artystką ją tworzyła i których dla niej opuszczała – komentuje Krystian Kuczkowski. – To film o Maryli Rodowicz, ale także o ważnych osobach w jej życiu – dodaje Michał Bandurski.

Jednocześnie ilość archiwalnych materiałów, do których dotarli twórcy, sprawiała, że część wątków, początkowo ledwie zasygnalizowanych, z czasem wypełniała się cennymi nagraniami z przeszłości.



Tak było m.in. ze wspomnieniem tournée po Związku Radzieckim, o którym jeszcze parę lat temu Maryla Rodowicz nie za bardzo chciała rozmawiać. Teraz była na tę rozmowę gotowa. Reżyserom temat nie bardzo pasował do koncepcji filmu, obawiali się też, że zbyt dużo wątków zaszkodzi dynamice oraz spójności narracji, ale ostatecznie uznali, że będzie to atrakcyjne dla widzów, którzy pamiętają tamte czasy, ale też w pozytywnym sensie „egzotyczne” dla młodszych roczników.

Dostęp do przebogatych archiwów TVP umożliwił im filmowe udokumentowanie wydarzeń, które do tej pory funkcjonowały głównie w przekazie pisanym czy mówionym. W ten sposób przywołana została głośna wizyta polskiej delegacji w 1978 r. na Kubie, podczas Festiwalu Młodzieży Socjalistycznej. Jedyny ślad tego wyjazdu stanowiło krążące po internecie oraz prasie zdjęcie, które Maryla Rodowicz wraz z Elżbietą Dmoch z grupy Dwa Plus Jeden i dziewczętami z zespołu Słowianki zrobiły sobie z... Fidelem Castro.

Tymczasem udało się odnaleźć cały zapis wideo z wizyty Castro w polskiej ambasadzie w Hawanie oraz dotrzeć do nagrań z festiwalu, w tym także występu Maryli. Reżyserzy uważają, że wykorzystana rejestracja nigdy jeszcze nie była publikowana. W każdym razie podczas przygotowań do filmu nie trafili na żaden materiał z jej użyciem.

ZZA KULIS

Archiwalną perełką okazał się też poddany rekonstrukcji reportaż z pierwszej edycji Międzynarodowego Festiwalu Interwizji, Sopot 1977. Grand Prix zdobyła na nim reprezentująca Czechosłowację Helena Vondráčková, która wykonała piosenkę „Malovaný džbánku”. Maryla dostała nagrodę publiczności za „Kolorowe jarmarki”.

– Ludzie znają jej występ z transmisji telewizyjnej, my dotarliśmy do materiału zza kulis. Wyreżyserował go, najprawdopodobniej, Jerzy Gruza. Są wizyty w Grand Hotelu, na plaży w Sopocie, jest przejazd przez miasto Heleny Vondráčkovéj, w Citroënie z otwartym dachem. Obserwują go tłumy ludzi. Jest Opera Leśna pokazana od zplecza, jak





Fot. TVP

się wtedy pracowało – zdradzają twórcy dokumentu „Maryla. Tak kochałam”.

W głównym nurcie filmu nie zabrakło, dopełnionego zdjęciami i nagraniami, najgłośniejszego romansu Maryli Rodowicz z Danielem Olbrychskim. Oboje byli wtedy u szczytu zawodowej kariery.

– Mamy ich wspólne fotografie, nagrania, ale najmocniejszym wątkiem jest wywiad – podkreślają reżyserzy. Aktor zdecydował się na udział w filmie, co mocno zaznaczał, „ze względu na Marylę”. I pomimo tego, że związek z nią nie był łatwy, a doświadczenie rozstania zmieniło na dobre jego podejście do kobiet oraz życia.

Unikatowymi nagraniami udokumentowane zostało także spotkanie z mężczyzną, dla którego Maryla porzuciła filmowego Kmicica. Gdy Rodowicz opowiada, że poznała Krzysztofa Jasińskiego na próbach legendarnego spektaklu „Szalona lokomotywa”, pojawia się zapis z tych właśnie prób. Operatorowi udało się w nim uchwycić sygnały rodzącego się uczucia.

Z kolei informacja o tym, że kariera Maryli Rodowicz rozpoczęła się w 1967 r., kiedy to wygrała Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie, pokonując Marka Grechutę, dopełniona została zarówno zapisem zwycięskiego wykonania, jak i rejestracją występu Grechuty. Nagrania te mocno zaskoczyły artystkę. Była przekonana, że wydarzenie nie zostało zarejestrowane przez telewizję.

Zresztą wielu innych materiałów wykorzystanych w filmie Maryla Rodowicz nie pamiętała. Na przykład zapisu z roku 1987, kiedy pojawiła się w telewizyjnym studiu z dopiero co urodzonym Jędrkiem (synem Andrzeja Dużyńskiego) oraz dwójką starszych dzieci (ze związku z Krzysztofem Jasińskim) – pięcioletnią Kasią i ośmioletnim Jankiem. Udzieliła wtedy wywiadu z okazji Dnia Matki, a może też i Dnia Dziecka.

RODZINNE TŁO

Przyszła piosenkarka urodziła się w Zielonej Górze. Jej bliscy zostali przesiedleni na Ziemię Odzyskane z Wilna.

Początkowo wątek ten opowiedziany został w filmie w dużym skrócie. Reżyserzy doszli jednak do wniosku, że w takiej formie dla młodego pokolenia mógłby on być niezrozumiały, a uważali, że ważne jest pokazanie, w jakich realiach i z jakim bagażem w tle dorastała Maryla. Że nie było jej lekko, a mimo to, a może też dlatego, była tak zdeterminowana i tak dążyła do celu. W końcu zrobiła imponującą karierę.

– Jej osiągnięcia to również przykład dla współczesnych młodych ludzi, którzy nie mają łatwego startu. Dowód na to, że mimo biedy i rodzinnych ograniczeń można w życiu osiągnąć bardzo wiele. Dlatego wróciliśmy do tego wątku i szerzej go pokazaliśmy – komentują twórcy.

Bohaterka wspomina przed kamerami mamę, która w bydlęcym wagonie – z Wilna do powojennej Polski – jechała przez kilka tygodni, będąc w ciąży. Rodowicz nie ukrywa wzruszenia, kiedy o tym opowiada. Jest pełna podziwu dla mamy, że to przetrzymała. Dwudziestolatka, spodziewająca się dziecka, wyrzucona z domu, do którego nie ma już powrotu, jedzie w nieznane i trafia do Zielonej Góry. Tam rodzi córkę. Marię Antoninę Rodowicz.

Osobny wątek stanowi macierzyństwo artystki. Wydaje się, że jest ona na tym tle najbardziej – jak śpiewa w jednym z przebojów – „łatwopalna”; że nic tak nie porusza królowej muzycznej sceny, jak jej synowie i córka. Ani mężczyźni, których kochała, ani nieudane związki, ani rozwody... Na te doświadczenia wydaje się uodporniona. Dzieci to najwyraźniej jej słaby punkt. To przy wątkach dotyczących macierzyństwa w czasie oglądania filmu najbardziej się wzruszała.

Występy, trasy, które trwały niekiedy miesiącami – jak ta po Związku Radzieckim w latach 80. – odebrały artystce sporo ważnego czasu z życia jej dzieci. Może, jeśli cokolwiek żałuje, to właśnie swojej nieobecności, której nie da się nadrobić. I to też w historii Maryli Rodowicz – zauważają twórcy dokumentu – może być lekcją dla skupionych na karierze współczesnych młodych rodziców.

Czy warto poświęcać rodzinny czas na zawodowe wyzwania?

Jednocześnie, sądząc po życiu bohaterki, mimo wieloletniego zaangażowania w pozadomowe sprawy, z dorosłymi dziećmi można pozostać w stałym, silnym związku i mieć z nimi dobre relacje.

ZAPISANE W PIOSENKACH

W opowieści o Maryli Rodowicz nie mogło zabraknąć osoby niezwykle dla niej ważnej – i prywatnie, i artystycznie. Materiały wydobyte z archiwów TVP pokazują, jak się z Agnieszką Osiecką poznały, jak współpracowały (także z Katarzyną Gärtner, która pojawia się w filmie). Przywołane zostały wypowiedzi Osieckiej na temat Maryli. Udało się dotrzeć do unikatowych materiałów, na których widać, jak razem tworzą (również z Sewerynem Krajewskim). Są też rejestracje z koncertu „Zielono mi”, który był holdem dla poetki po jej śmierci.

Najważniejsze piosenki dla Rodowicz pisała właśnie Agnieszka Osiecka, wiedząc, co aktualnie dzieje się w życiu Maryli. – Nieśamowicie, jak poznaje się fragment prywatnej historii, potem słucha się utworu i widzi połączony obraz – wydarzeń i tego, co brzmi w melodii oraz słowach – zauważa Michał Bandurski.

„Małgośka”, „Bossa nova do poduszki”, „Wariatka tańczy”... Ostatnia z tu wymienionych piosenek została napisana podczas wspólnych wakacji w Bułgarii, kiedy Osiecka obserwowała ponoć jakąś nieznaną dziewczynę. – Jednak te utwory sączą się życiem Maryli – podkreśla Bandurski – i jej emocjami z danego czasu. Nie opowiadają o niej wprost, ale są Marylą nasycone, szkicują ją.

Tak też dzieje się z tekstami pisanymi dla Rodowicz przez innych autorów. Po tym, jak artystka rozstała się z Krzysztofem Jasińskim, jej przyjaciel Andrzej Sikorowski napisał dla niej i skomponował „Rozmowę przez ocean”: „Są dwa światy i nas jest dwoje, / do swych miejsc przypiętych jak rzepy, / Ty masz pewnie więcej spokoju, / ja mam dzieci...”.

COŚ DLA SIEBIE

– Kiedy pokazaliśmy Maryli zmontowany materiał, była wzruszona. Powiedziała, że nie spodziewała się takiej realizacji, tego, że powstanie. Może to nieskromnie zabrzmieć, ale nie ma artysty w Polsce, który doczekałby się takiego filmu o sobie. Tak zdokumentowanego – podkreślają twórcy obrazu, który 25 grudnia o godz. 21 zostanie wyemitowany w TVP 1.

– Każdy w tym filmie odnajdzie coś dla siebie – zapewniają. – Ludzie, których młodość przypadła na lata 70. ubiegłego wieku będą mogli wspomnieniami wrócić do tamtych czasów. Współcześni nasto- i dwudziestolatkowie zobaczą, jak wyglądało wchodzenie w dorosłe życie ich rodziców czy nawet dziadków. Że też były wtedy wielkie gwiazdy i szalone koncerty, że młodzi ludzie, jak dziś, poszukiwali swojej

drogi, kochali, mieli uczuciowe rozterki, podążali za modą... marzyli o wielkiej karierze, nie tylko w Polsce. Czasy się zmieniają, ale ludzkie marzenia, pragnienia i namiętności pozostają niezmiennie – konstatują twórcy filmu.

NIECH ŻYJE BAL

8 grudnia Maryla Rodowicz świętowała 76. urodziny. Parę tygodni wcześniej po raz kolejny udowodniła, że wciąż idzie do przodu, i – otwarta na inspirację, zwłaszcza w kontaktach z młodymi artystami – nie boi się nowych wyzwań. W październiku premierę miał utwór „Dalej”. Cleo – z którym go nagrała, tworząc także dynamiczny i energetyczny teledysk – jest autorką tekstu, zarazem holdu złożonego królowej Maryli. Refren piosenki nie mógł zabrzmieć inaczej: „Iniech dalej żyje bal/ Kolorowe wozy w dal/ Łatwopalni, bo w nas jest ten ogień/ Iniech dalej żyje bal/ Tańcz Małgośka na bok żal/ Tyle lat masz, / ile czujesz w sobie”.

Od stycznia 2022 r. widzowie TVP2 zobaczą Marylę Rodowicz w roli trenerki kolejnej edycji programu „The Voice Senior”.





Pod choinkę

Hanka Ordonówna była największą polską gwiazdą dwudziestolecia i jedną z najbardziej znanych wówczas Polek na świecie. W czasie II wojny światowej zagrała jednak inną rolę: wychowawczyni sierocińca, opiekunki dzieciaków zesłanych w głąb Azji

Ostatnia rola Ordonki



WOJCIECH LADA

Pod koniec swojego dość krótkiego życia Hanka Ordonówna zanotowała: „Sierociniec we Wriewskoje, a raczej tymczasowy punkt zborny dla opuszczonych dzieci, przedstawiał się tak samo żałośnie jak same sieroty, które doń przyprowadzono z kolchozów, transportów i stacji. Po prostu była to duża szopa, przepierzona na dwie części, pośrodku której stał żelazny piecyk pokaźnych rozmiarów”. Co

jedna z najsłynniejszych Polek tamtych czasów robiła w 1941 r. w jakiejś dziurze pod Taszkientem? Co bohaterka dość licznych romansów z amantami przedwojennego kina miała wspólnego z dziećmi i sierocińcem?

Rzecz w tym, że wojna nie omijała nawet największych gwiazd. Nie miało żadnego znaczenia, że zaledwie kilka tygodni wcześniej wzbudzała euforię na scenach zarówno Berlina, jak i Moskwy.

Najpierw w Warszawie aresztowało ją gestapo i spędziła kilka tygodni na Pawiaku. Później zaś NKWD uznało, że miejscem bardziej dla niej odpowiednim będzie nie scena, lecz kolchoz w głębi Rosji, gdzie już na zawsze pracować miała przy tuczu świń. Podobnie jak dobrze ponad milion innych Polaków, uwolnił ją od tej ponurej perspektywy układ Sikorski-Majski. Ordonka zgłosiła się do armii gen. Andersa, armia zaś oddelegowała ją do Wriewskoję.

DZIEWCZYNA Z WOLI

Mimo wszystko Ordonka mogła mówić o szczęściu. Z Pawiaka zwolniła ją interwencja samego Adolfa Hitlera, u którego wstawił się spowinowacony z rodziną jej męża król Włoch, Wiktor Emanuel Umberto. Ze swiniami z kolei nie przepracowała nawet miesiąca, o czym zadecydowała za nią wielka polityka. Ale i w tym przypadku mogła mówić o szczęściu, a nawet podwójnym, bo jej akurat „amnestia” uzgodniona w układzie Sikorski-Majski formalnie nie obejmowała. W tym momencie była już bowiem obywatelką nie Polski, lecz Litwy. Tak czy inaczej, w ekstremalnej sytuacji ujawniły się najlepsze cechy piosenkarki. Dobiegała wówczas czterdziestki, z czego ponad połowa upłynęła na scenie. W Uzbekistanie okazała się jednak nie rozpieszczoną gwiazdą, lecz twardą dziewczyną, wychowaną na robotniczych ulicach Warszawy. Opowiadał o tym ksiądz Kamil Kantak, który spotkał ją na dworcu w Taszkencie: „Przez Taszkient przewijały się wówczas tysiące naszych. Kto mógł, uciekał z łagrów północnych, kto mógł zgłaszał się do wojska [...] Dla tych niezliczonych Polaków Ordonówna zdołała urządzić stację sanitarną na dworcu w ogródku, nie chciano bowiem dać żadnego kąta pod dachem [...] Urządziła także stolówkę opodal dworca i co najważniejsze – rozdawnictwo chleba”.

Rosjanie rzucali jednak kłody pod nogi, mnożyli absurdalne przepisy i wkrótce podobna działalność stała się zwyczajnie niemożliwa. Już wcześniej

przedstawiciele rządu londyńskiego zwrócili jednak uwagę na dzieci. Wywołane z Polski zazwyczaj razem z matkami i rodzeństwem na Syberię, często dość szybko tracili rodziny. Wystarczyło, że matka nie wytrzymała głodu i zmarła. Jeśli wszyscy przeżyli, to ówczesną normą było zgubienie się w podróży – pociągi odjeżdżały bez uprzedzenia, jeśli więc ktoś wyskoczył na peron w poszukiwaniu jedzenia, bardzo często zostawał sam pośrodku azjatyckiej pustki. Nie

czaloby pozostanie w Rosji już na zawsze. Postanowiono więc stworzyć sierocińce alternatywne – polskie i pozostające pod opieką polskiej ambasady w Kujbyszewie. W ten właśnie sposób Ordonka została wychowawczynią w sierocińcu i była to jedna z najlepszych ról w jej życiu.

ŻYCIE NA SCENIE

Była wówczas u szczytu sławy. Rozpoznawali ją napotykanii Rosjanie w środku azjatyckich stepów, rozpoznawały nawet dzieci, którymi się opiekowała – choć przecież były zbyt małe, by przed wojną chodzić do kabaretów, na koncerty czy choćby do kina na „dorosłe” filmy. „Były lekcje, Ordonka nas uczyła śpiewu i śpiewała nam piosenki. Miała też kilka występów, miała wielkie powodzenie” – wspominała Jadwiga Truchanowicz-Tomaszek, wówczas 13-letnia podopieczna gwiazdy. Kiedy Ordonka była w jej wieku, po pierwsze, wcale nie była jeszcze Ordonką, lecz Marysią Pietruszyńską. Po drugie, zupełnie nie nie wskazywało, że kiedykolwiek zostanie gwiazdą.

Nie wiadomo kiedy się urodziła. Czy w 1902 r., czy też dwa, a może trzy lata później? Konkretnej daty nie udało się ustalić żadnemu z jej biografów. Wiadomo tyle, że nastąpiło to w Warszawie. Nie do końca też wiadomo, czym zajmowali się jej rodzice. Matka w rubryce zawód wpisała: przy córce, ojciec zaś był albo kolejarzem, albo tramwajarzem, albo inżynierem, choć ich adres zamieszkania: ul. Żelazna 68, wskazywałby raczej na dwie pierwsze opcje. Córki robotników rzadko wówczas zapisy-

wywały się do szkół baletowych, a Marysia ukończyła taką właśnie szkołę przy Teatrze Wielkim w Warszawie. Dużego głosu nie miała, śpiewać nie umiała, można więc założyć, że jej początkowe ambicje związane były raczej z tańcem. I istotnie dość wcześnie zaczęła występować w kabaretach Warszawy i Lublina, początkowo jednak bez większego powodzenia – postrzegano ją co najwyżej jako parę zgrabnych nóg tańczących w cieniu prawdziwych gwiazd.

„Szczipła, rozśpiewana,
w nieodłącznym ogromniastym
kapeluszu” – jak zapamiętał ją
jeden z dzieciaków Wiesław
Stypuła. „Z prawdziwą pasją
usiłowała rozruszać dziatwę.
Przed wszystkim uczyła nas
różnych piosenek i pieśni.
»Morze, nasze morze«, »Gdzie
strumyk płynie z wolna«
po »Witaj majowa jutrzeńko«
oraz hymn narodowy. Jak już
się utrudziła śpiewaniem,
maszerując krok w krok
z pierwszą czwórką, ładnie
pogwizdywała” – wspominał
pan Wiesław

brakowało też sytuacji bardziej dramatycznych, kiedy matka decydowała się po prostu oddać jedno lub kilka swoich dzieci, by zwiększyć szanse ich przeżycia. W każdym przypadku efekt był taki, że z pogubionych dzieciaków albo formowały się prawdziwe bandy podkradające co się da, by cokolwiek zjeść, lub błąkały się samotnie między dorosłymi, zupełnie nie wiedząc, co ze sobą zrobić. W przypadku schwytania przez NKWD trafiłyby do sowieckich sierocińców, co ozna-



„Nikt nie chciał pisać tekstów wyłącznie dla niej. Bo to nie ona była gwiazdą zespołu, nie na nią przychodziła stała publiczność. Nie cieszyła się zainteresowaniem i uznaniem dyrektorów teatru. Nie została ich ulubienicą, faworytką, muzą stałych dostawców tekstów piosenek. Żaden krytyk teatralny nie wymieniał jej nazwiska w recenzjach z kolejnych premier” – pisała Anna Mieszkowska w książce „Miłość jej wszystko wybaczyć”.

Sytuacja zmieniła się dopiero na początku lat 30., kiedy los zetknął ją z Fryderykiem Jąrosym. „To pan doprowadził ją do sławy” – dobre 30 lat później zasugerowano mu w rozgłośni Wolna Europa. Aktor gwałtownie zaprzeczył, skromnie przyznając sobie tylko rolę reżysera jej wybitnego talentu. Był synem rosyjskich emigrantów osiadłych w Austrii, a w Warszawie pojawił się z niewielkim teatrykiem Niebieski Ptak. Znał biegle kilka języków, ale żadnym z nich nie był polski – choć nauczył się go dość szybko dzięki Antoniemu Słonimskiemu. „Piekielnie zdolna bestia” – ocenił go później poeta. Był zdolnym aktorem, ale zabłysnął przede wszystkim jako genialny łowca talentów, doskonały nauczyciel, świetny reżyser. Bardziej niż grał, organizował życie kabaretowe w Warszawie – to on założył kabarety: Banda, Cyganeria, Cyrulik Warszawski, Teatr Buffo, i bez jego energii zapewne nie rozwinęłyby się one tak wspaniale. A już na pewno Ordonka nie zostałaby gwiazdą.

Poznali się w 1924 r., natychmiast wpadli sobie w oko i zapewne się zakochali. Prawdę mówiąc, łatwiej zrozumieć, co widziała w nim ona niż co on w niej. Była wówczas bardzo przeciętną dziewczyną, nie cieszyła się opinią piękności, a wizerunkowego seksapilu dopiero miała się nauczyć. On tymczasem „w paniach budził nie całkiem platoniczne uczucia” – przyznawała Stefania Grodzieńska. Cokolwiek Jąrosy widział w Ordonce, z pewnością był to również talent. Przez wiele miesięcy wspólnie ćwiczyli, podobno piosenkarka istotnie pod jego okiem rozwijała się błyskawicznie. „Efekty ich współpracy były wi-

doczne już po kilku miesiącach” – przyznawała Mieszkowska. „I to nie tylko wtedy, gdy wychodzili na finał spektaklu, trzymając się za ręce! Publiczność oczywiście wiedziała, że tych dwoje łączy coś więcej niż wspólny występ w skeczu czy w finałowej piosence, śpiewanej przez cały zespół. I oklaskiwała gorąco, sekundując uczuciu tej pary – rodzącemu się na oczach widzów!”.

A kiedy jeszcze Jąrosy – jako dyrektor artystyczny kabaretu Qui pro Quo – dosłownie zmusił takich autorów, jak Marian Hemar czy Julian Tuwim do

Ostatnią serię występów w Warszawie dała Ordonka w towarzystwie Mieczysława Fogga. Rozpoczęły się 1 września 1939 r. i nie w żadnej sali koncertowej, lecz na peronach dworców: Gdańskiego, Głównego oraz Wschodniego. „Mieciu, idziemy śpiewać na dworcu dla rannych żołnierzy” – wspominał Fogg telefon od scenicznej koleżanki

pisania dla niej piosenek, jej kariera natychmiast nabrała impetu, by na początku lat 30. daleko przekroczyć granice Polski, a nawet Europy. A był to dopiero początek.

ZE SCENY NA DWORCE

Właśnie na początku lat 30. zdecydowała się porzucić i Jąrosy’ego, i kabaret w ogóle. Była już uznaną gwiazdą, która potrafiła wypełniać duże sale dwugodzinnymi recitalami. „Wyżywała się w koncertach, podczas których wypełniała sama cały wieczór, za każdym wyjściem na scenę stwarzając

nową postać” – pisał Jerzy Jurandot, a Hanka Bielińska dodawała: „Na scenie była zjawiskowa. Wspaniała. Pamiętam tylko, że jeśli program takiego koncertu przewidywał, powiedzmy, 15 utworów, ona bisowała 12 razy, rzadko mniej, ile tylko pozwoliły jej siły. Ludzie szaleli, bo te koncerty były naprawdę czymś, czego się nie zapomina”.

I z każdym kolejnym koncertem jej sława rosła. Z wielkim powodzeniem występowała w Niemczech i Austrii, oklaskiwano ją w Paryżu, nieco później zjeżdżała z koncertami cały Bliski Wschód, Grecję, a także Stany Zjednoczone. Nic też dziwnego, że w tym właśnie momencie upomniał się o nią film i chyba właśnie z filmem wiąże się szczytowy moment jej kariery. Otóż w 1933 r. wystąpiła w „Szpiegu w masce” w reżyserii Mieczysława Krawicza, gdzie nie tylko świetnie zagrała Ritę Holm, czyli do pewnego stopnia samą siebie, ale też zaśpiewała bodaj najbardziej znaną do dziś swoją piosenkę, a mianowicie „Miłość ci wszystko wybaczy”, do słów – o czym rzadko się dziś pamięta – Juliana Tuwima.

Rola w tym popularnym filmie, wyświetlanym w wielu krajach Europy, a nawet w USA, miała również swój skutek uboczny, w postaci podjęcia współpracy z Igo Symem. Aktor – który niespełna dekadę później zostanie jednym z najbardziej znanych kolaborantów i jako taki zostanie zlikwidowany przez AK w swoim mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej w Warszawie – był wówczas gwiazdą, której sława mogła zaimponować nawet Ordonce. Miał już wówczas na koncie liczne role w filmach austriackich i niemieckich, udane role teatralne, można śmiało powiedzieć, że był amantem światowej sławy. Nie jest pewne, jak bliskie relacje połączyły oboje artystów, z pewnością jednak na kilka kolejnych lat stworzyli bardzo popularny duet sceniczny.

Ostatnią serię występów w Warszawie dała Ordonka jednak w towarzystwie Mieczysława Fogga. Rozpoczął się on 1 września 1939 r. i nie w żadnej sali koncertowej, lecz na peronach dworców: Gdańskiego, Głównego oraz Wschod-

niego. „Mieciu, idziemy śpiewać na dworcu dla rannych żołnierzy” – wspominał Fogg telefon od scenicznej koleżanki. „Ubrana była po wojskowemu, mundur khaki, peleryna strzelców podhalańskich, głowę zdobił jej takiż kapeluszek z piórem [...] Gdy tylko na dworzec zajechał pierwszy pociąg z rannymi, zaczęliśmy chodzić od wagonu do wagonu, śpiewając piosenki. Przeważnie wojskowe” – pisał w swojej autobiografii.

A potem był Pawiak, wyjazd do Wilna i występy w tamtejszym teatrze. Jak na ironię, tuż przed aresztowaniem jej przez NKWD – również koncerty w Moskwie. „Władze sowieckie zwróciły się do Ordonówny z propozycją koncertów w Moskwie. Hanka, pomimo szantażu NKWD, z początku odmawiała, ale w końcu wyraziła zgodę, przede wszystkim ze względu na nadzieję interwencji w mojej sprawie” – wspominał po latach jej mąż Michał Tyszkiewicz. Obecny wówczas w Moskwie aktor Adolf Bożyński tak to wspominał: „Ówczesny sowiecki komisarz do spraw kultury powiedział [...] że jej występy to objawienie, że czegoś takiego Moskwa jeszcze nie widziała i nie słyszała”. Mimo to po kilku koncertach została aresztowana i wkrótce znalazła się we Wriewskoje.

W DRODZE DO MAHARADŻY

Nie był to jednak ostatni przystanek piosenkarki. Po kilku miesiącach starań przyszła decyzja, że cały sierociniec zostanie wraz armią Andersa ewakuowany do Persji, następnie zaś – ta akurat grupa – znajdzie schronienie w Indiach. Wiąże się z tym zresztą ciekawy spłot okoliczności. Otóż maharadża Nawangaru Jam Saheb Digvijaysinhji w młodości poznał Ignacego Paderewskiego, który zaraził go swoistym sentymentem do egzotycznego europejskiego kraju. Kiedy więc, będąc w Londynie, usłyszał o wywózkach na Syberię, spontanicznie zaoferował przygotowanie ośrodków dla polskich sierot wojennych. Maharadża pokrył koszty, przygotował ośrodki i obiecał, że mogą w nich pozostać tak długo, jak będzie to konieczne.

Pierwszym etapem podróży był Aszchabad – choć stolica Turkmenistanu, wciąż jednak miasto sowieckie. „Samochody z dziećmi, wyjechawszy z miasta,



zaczęły pustynną najpierw drogą, zbliżać się ku pasmu wysokich gór, po którego szczytach snuła się granica. Jechali to z góry, to pod górę, przez przesmyki i skaliste przełęcze Kopet-Dagu, w ciszy i skupieniu, nie bardzo jeszcze uświadamiając sobie, że niedaleko zaczyna się inny świat” – wspominała Ordonka. Uświadomiono to sobie dopiero w Badżigiranie – pierwszej miejscowości, w której zatrzymano się na postój, już po perskiej stronie granicy, w pełni zaś w Mieszchdzie, gdzie konwój dotarł 12 marca 1942 r. i pozostał kilka tygodni w ramach kwarantanny. Tutaj też Ordonówna dała swój pierwszy od dawna występ podczas wspólnego ogniska sierocińca perskiego i polskiego. Wystrojona w polski strój ludowy tańczyła i śpiewała „z wigorem w towarzystwie najmłodszych artystów” – jak ujęła to Mieszkowska.

W kwietniu ruszyła wreszcie wraz z blisko 200-osobową grupą dzieciaków i kilkorgiem opiekunów w drogę do Indii. Początkowo zamieszkali na przedmieściach Bombaju, wkrótce jednak przeniesiono wszystkich do specjalnie przygotowanego osiedla, nieopodal stolicy Nawangaru Dżamnagaru, w prowincji Gudżarat. „Bandra to przyjemna miejscowość kuracyjna, oddalona 10 km od Bombaju. Trzy duże, łączące się ze sobą wspaniałymi ogrodami wille, położone nad brzegiem morskim” – wspominała piosenkarka, która natychmiast po przybyciu rzuciła się w wir pracy wychowawczej. „Szczupła, rozśpiewana, w nieodłącznym ogromniastym kapeluszu”

– jak zapamiętał ją jeden z dzieciaków Wiesław Stypuła. „Z prawdziwą pasją usiłowała rozruszać dziatwę. Przede wszystkim uczyła nas różnych piosenek i pieśni. »Morze, nasze morze«, »Gdzie strumyk płynie z wolna« po »Witaj majowa jutrzeńko« oraz hymn narodowy. Jak już się utrudziła śpiewaniem, maszerując krok w krok z pierwszą czwórką, ładnie pogwizdywała” – wspominał pan Wiesław.

Kłopot w tym, że Ordonówna była już w tym momencie bardzo chora. Już wcześniej zdiagnozowano u niej gruźlicę, która w niezbyt zdrowym dla Europejczyka klimacie pogłębiała się. Wkrótce wraz z kilkoma wychowankami musiała się przenieść do górskiego kurortu Indii, Panchgani. Jak tłumaczyła: „Klimat jest tu suchszy i znośniejszy dla Europejczyków niż gdzie indziej w środkowych Indiach i nawet w czas monsunu, gdy parny deszcz przez trzy miesiące dzień w dzień spada ulewą, gdy mózg odmawia pracy, a chleb zostawiony na stole pleśnieje w godzinę – nawet w ten okropny czas, panchgańskie góry są uprzywilejowane, gdyż deszcz nie tak intensywnie pada, a słońce nawet w tym okresie nierzadko zagląda”.

Było to jednocześnie jej pożegnanie z sierocińcem. Wkrótce Michał Tyszkiewicz sprowadził ją początkowo do Teheranu, później – znów z powodu klimatu – osiadła w Palestynie. Zanim jednak wyjechała, zorganizowała wieczorek dla dzieci, z którym zdążyła się już bardzo żyć. Jak wspominał pan Stypuła: „W przeddzień wyjazdu zorganizowała nam mały wieczór pożegnalny, który po chóralnych śpiewach, kilku recytacjach, zakończył się długim recitalem. I jeszcze późno w nocy, na prośbę starszych, nieśmiertelne »Miłość ci wszystko wybaczy«. W swoje występy wkładała tyle żaru i ekspresji, tyle serca, jakby przeczuwała, że już niedługo na zawsze przekroczy granicę własnego cienia”.

Nie nastąpiło to tak aż bardzo „niedługo”. Hanka Ordonówna przeżyła jeszcze siedem lat, początkowo w Palestynie, a od 1945 r. w Bejrucie, który – podobnie jak cały Liban – określała „uroczym zakątkiem”. To właśnie tu spisała i wydała wspomnienia z najważniejszej roli jaką, w jej własnej opinii, odegrała w życiu. Jej tytuł brzmi „Tułacze dzieci”.



Pod choinkę

Sekrety małżeństwa Sobieskich



Jeszcze kiedy Maria Kazimiera był żoną Jana Zamoyskiego, Jan Sobieski złożył tzw. śluby karmelitańskie, tzn. przysiągł, że bez jej zgody nie zwiąże się z żadną inną kobietą

Z prof. dr hab. Aleksandrą Skrzypietz rozmawia Piotr Ślabeł

Maria Kazimiera przeszła do historii jako „Marysienka”. Skąd wziął się ten przydomek?

Aleksandra Skrzypietz: Marysienka to pieszczotliwe zdrobnienie, którego używał Sobieski w listach. Mówił tak do niej czasem także publicznie, nawet wówczas kiedy byli już parą królewską. Ona pisała do niego „Jasieńku” albo „Jachniczku” i czasem – jak wskazują źródła – nazywała go tak również publicznie. Oznacza to, że ich relacje były bardzo bezpośrednie i bliskie. Pamiętajmy, że para królewska, podobnie jak wszyscy inni, publicznie powinna była zwracać się do siebie „Miłościwy Panie” i „Miłościwa Pani” czy „Wasza Królewska Mość”, a do królowej z francuska „Madame”. Oczywiście, ponieważ to listy stały się podstawą opowieści o życiu i relacji Sobieskich, zaczęto powszechnie używać zdrobnienia „Marysienka”. Jest ono bardzo czule i wyróżniające jej postać, jeśli potraktujemy je jako pseudonim. Nieszczęście polega na tym, że zdrobnienie to może się łączyć z deprecjonowaniem kobiety. Tak się zdarzało i – odnoszę wrażenie – wciąż się zdarza w historiografii. Myślę, że gdy nie mówimy o tej postaci w kontekście listów i relacji z Sobieskim, lepiej stosować jej imiona, czyli Maria Kazimiera. Nie określamy przecież Jana Sobieskiego jako „Jasieńka”, jak go nazywała żona.

W jaki sposób poznali się przyszli małżonkowie? Czy coś łączyło ich przed ślubem?

Prawdopodobnie znali się z dworu, na którym Jan Sobieski bywał, podobnie jak większość synów senatorskich. Sobieski był wówczas chorążym koronnym – to co prawda funkcja symboliczna, ale wciąż ważna. Prawdopodobnie to tam się poznali, jeszcze przed jej ślubem z Janem Zamoyskim.

Mieli też okazję, by spotykać się później, bo Jan Sobieski posiadał dobra położone w okolicach Lwowa, skąd do Zamościa nie było daleko, a rodziny Zamoyskich i Sobieskich znały się od bardzo dawna.

Z korespondencji wynika, że Maria Kazimiera była znudzona życiem w Zamościu, wymaganiami oraz ograniczeniami stawianymi jej ze strony pierwszego męża, który nie pozwalał jej m.in. interesować się sprawami gospodarczymi jego majątków. Sam Zamoyski prowadził dość zamknięte życie w gronie swojego najbliższego otoczenia, co musiało ją nudzić i skłaniać do wyjazdów czy to na dwór królewski do Warszawy, czy to do Francji. To również skłoniło ją do rozpoczęcia korespondencji z Sobieskim, który był z całą pewnością człowiekiem bardzo inteligentnym i otwartym. Wydaje się, że połączyła ich przede wszystkim wspólna lektura. Sobieski czytał wiele książek, które wymieniał lub pożyczał także od innych kobiet. Tak więc lektura tych samych książek, a były to m.in. romanse, ożywiła ich znajomość i spowodowała, że w pewnym momencie bardziej się sobą zainteresowali, a Sobieski zobaczył w Marii Kazimierze kogoś więcej niż żonę znajomego. Jednak ona bardzo dbała o to, żeby relację z nim podtrzymać, dając mu różne zadania na dworze, traktując go jako pośrednika w załatwianiu rzeczy, do których z pewnością mogła wyznaczyć kogoś innego, np. przekazywaniu klejnotów królowej.

Dzięki korespondencji rodzi się uczucie, ich relacje nabierają rumieńców. Nie wiadomo, jak daleko zaszły one na tym etapie, niemniej w którymś momencie Sobieski złożył tzw. śluby karmelitańskie, tzn. przysiągł Marii Kazimierze, że bez jej zgody nie zwiąże się z żadną inną kobietą. Czy ona również złożyła takie śluby – nie

wiadomo, ale ją wiązała przysięga małżeńska z Zamoyskim. Zakochani zaczęli rozważać rozwód Marii Kazimierzy oraz przeniesienie się do Francji. To ostatnie z strony Sobieskiego nie było chyba do końca szczere. Wkrótce jednak Jan Zamoyski zmarł, sytuacja radykalnie się zmieniła, a para nie musiała już ukrywać swoich uczuć.

Czy o małżeństwie zdecydowała miłość, czy wchodziły w grę też kwestie polityczne?

Trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Po śmierci Zamoyskiego trzeba było poczekać rok, a przynajmniej kilka miesięcy, żeby minęła żałoba, do której Maria Kazimiera jako wdowa była zobowiązana. Tymczasem na dworze polskim, z powodu rokoszu Lubomirskiego, napięcie sięgało szczytu. Dworowi bardzo zależało na tym, by utrzymać po swojej stronie Sobieskiego, co nie było takie pewne ze względu na jego związki z Lubomirskim. Z jednej strony mamy więc kwestię polityczną, czyli zatrzymanie Sobieskiego po stronie dworu, z drugiej – pojawia się niepewność, czy on przez rok będzie czekał na Marię Kazimierę, czy wytrzyma czas żałoby. Tutaj wątpliwości zgłaszał ambasador francuski, który wyrażał opinię, że Sobieski jest niestały, więc rok to może być dla niego zbyt długo.

Wobec tego bez wątpienia doszło do intrygi, mianowicie Maria Kazimiera zaprosiła Jana Sobieskiego do swojej komnaty. „Akurat przypadkiem” obok przechodziła Ludwika Maria. Weszła do komnaty i zobaczywszy to, co zobaczyła, oświadczyła, że ślub musi się odbyć tu i teraz. Wezwano księdza. Jest to tak grubymi nićmi szyte, że nie ma wątpliwości, iż panie całą tę intrygę uknuły. Czy dla pewności, że Maria Kazimiera nie zostanie sama, czy to dla utrzymania Jana Sobieskiego



w stronnictwie królowej – faktem jest, że załatwiły obie sprawy naraz.

Jak to bywa z potajemnymi ślubami, wieści szeroko się rozeszły. Jan Sobieski otrzymał urzędy odebrane Jerzemu Sebastianowi Lubomirskiemu, co, nawiasem mówiąc, było szokujące, gdyż urzędy w Polsce sprawowano dożywotnio. Z chorążego został więc marszałkiem wielkim koronnym – obejmując tym samym najwyższy urząd w kraju. Czy to właśnie było jego celem – znów trudno nam to rozstrzygnąć. Widzimy jedynie to, co się wydarzyło, a nie kto czego chciał. Niemniej z dnia na dzień uwikłał się w rozgrywki polityczne, a także w wojnę domową. Wprawdzie poślubił ukochaną kobietę, ale nie mógł z nią być, ponieważ odciągała go od niej wojna. W jego listach widać wyraźnie, jak bardzo nad tym boleje, być może chwilami żałuje, że to wszystko się stało w tak zaskakujący sposób. Po kilku miesiącach, w lipcu, para wzięła ślub oficjalny, żeby wszystkim zamknąć usta, co jednak w gruncie rzeczy niczego nie zmieniło.

Wracając do pytania o szczerść uczuć, patrząc zupełnie po ludzku na tę sprawę, można powiedzieć, że napięta sytuacja, jaka pojawiła się tuż po ślubie, mogła spowodować rozpad tego związku i wypalenie się małżeństwa. Czy mógł się Sobieski zgłosić do księdza, powiedzieć, że go wmanewrowano w małżeństwo i poprosić o jego anulowanie – tego nie wiem. Wydaje się jednak, że nigdy tego ślubu nie żałował. Do samego końca żył z tą kobietą i ją kochał, na co wskazuje jego listy. Piękne są zwłaszcza jego deklaracje, że nie chce być z inną kobietą – w tamtych czasach wierność małżeńska, zwłaszcza ze strony męskiej, nie była czymś, do czego przykładano wagę, a jej brak nie był ganiiony.

Niektórzy badacze twierdzą, że uczucie było jednostronne, że tylko Jan Sobieski kochał Marię Kazimierę, a ona jego nie. Sądzę jednak, że narzekania Sobieskiego z listów, jakoby Maria Kazimiera nie była nim zainteresowana, należy uważać za przesadzone. Ich związek trwał ponad 30 lat, a w jego trakcie Maria Kazimiera była 13 razy w ciąży! Do

końca życia deklarowała swoje uczucia wobec niego i nie ma podstaw, by w te zapewnienia wątpić. Co oznacza chyba tylko, że kłopoty na początku małżeństwa scementowały ich związek, który przetrwał próbę czasu. Nie obyło się bez awantur i różnicy zdań, co jednak wcale nie neguje szczerości ich uczuć, a może wręcz przeciwnie. Myślę, że nie ma sensu wnikać w to, kto kogo bardziej kochał. Związki między ludźmi nie rządzą się przecież prawami symetrii.

W jaki sposób zostało przyjęte wyniesienie Sobieskiego oraz jego ślub i wybranka?

Nie ma na ten temat zbyt wiele przekazów. Mamy dwie informacje: jedna płynie od Sobieskiego, który narzeka, że jak go już dwór złapał na te urzędy, to go źle traktuje. W pewnym momencie obawia się nawet, czy Lubomirski nie wróci do łask, a jemu tych urzędów nie odbiorą. Wielu traktowało go jako człowieka nielojalnego wobec Lubomirskiego, którego przyjaźń zdradził. Na pewno było mu ciężko, a wymiar polityczny całego wydarzenia był z pewnością nieprzyjemny. Czytamy jeszcze taką opinię Bogusława Radziwiłła, znanego z „Potopu”, który wtedy szykował się do ślubu z kuzynką, córką również znanego z „Potopu” Janusza Radziwiłła. Píše on, że bardzo podobą mu się pomysł potajemnego ślubu bez kosztów. Jednocześnie nie podoba mu się, że Maria Kazimiera tą decyzją podeptała pamięć Jana Zamoyskiego, który „wielką panią ją uczynił”. Jak wiemy, Maria Kazimiera była przed ślubem prostą szlachcianką, a po nim została wojewodzina i weszła w grono senatorów i magnaterii.

Innych przekazów nie znamy. Pewne komentarze rodziły się później w związku z wyjazdami Marii Kazimierzy – szeptano, że dziecko, które przywozła, pierwotny syn Sobieskiego, Jakub – nie jest jego dzieckiem. Było to niepoważne, bo gdyby dziecko rzeczywiście nie było Sobieskiego, nie przywoziłaby go z powrotem z Francji. Reasumując, ich związek stanowił na pewno skandal

obyczajowy i polityczny, ale nie takie skandale szybko ucichają i nikt o nich potem nie pamięta.

Jaką kobietą była Maria Kazimiera?

Z ocen formułowanych wprost znane są głównie te pochodzące od zagranicznych gości odwiedzających dwór – przez jednych uważana była za kobietę mądrą, rozsądną i bardzo energiczną. Inni twierdzą, że była intrygantką, wskazując na zmienność jej decyzji i sympatii. Wszyscy jednak podkreślają jej gotowość do działania. Z tego, co wiadomo o jej życiu, wynika, że miała w sobie zapał i chęć osiągnięcia celów. Ale w tamtych czasach za każdym razem, gdy kobieta wychodziła przed mężczyznę i próbowała działać, było to źle odbierane. Najskuteczniejsze były kobiety, które potrafiły z ukrycia sterować mężczyznami.

Maria Kazimiera przeszła szkołę Ludwika Marii, na której dworze się wychowywała. Ludwika Maria była kobietą bardzo aktywną, która nie kryła się ze swoimi działaniami. Mówi się, że przejmowała one wszystkie te kompetencje i sprawy, gdzie dawał za wygraną Jan Kazimierz oraz że była dużo wytrwalsza w swoich przedsięwzięciach. Niemniej jej samodzielne działanie także było źle postrzegane.

Maria Kazimiera chyba również tego nie rozumiała – uważała, że jeżeli ma coś do powiedzenia i chce coś zrobić, to nie powinna się hamować, choć wywoływało to niezadowolenie i nieprzychylnie komentarze. Do dziś przeważa opinia, że źle wpływała na Sobieskiego i źle mu doradzała. Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem. Mówi się, że Jan Sobieski wahał się, czy zostać królem. Jeśli był człowiekiem inteligentnym – a wszystko na to wskazuje – to musiał mieć wątpliwości i obawiać się ciężaru, który bierze na swoje barki. Mógł pragnąć korony, ale równocześnie na pewno był świadom wiążącej się z nią odpowiedzialności. To właśnie Maria Kazimiera była tą, która zachęcała go do sięgnięcia po tron. Gdyby tego nie robiła – być może Sobieski królem by nie został. Nie wiadomo, czy doszłoby do bitwy pod Wiedniem i czy udział wojsk polskich w niej byłby tak

znaczący – a jest to przecież największe osiągnięcie Sobieskiego na polu międzynarodowym.

Mam wrażenie, że para królewska wzajemnie się uzupełniała, wiele decyzji podejmowali wspólne. Czasem nie wiadomo, czy małżonkowie wiedli spór, czy odgrywali teatr polityczny, przyjmując odmienne role, jak w konflikcie między Radziwiłłami a Sapiehami, w którym każde stanęło po innej stronie, król Radziwiłłów, a królowa – Sapiehów. Jakkolwiek ten spór by się skończył, para królewska wspierała zwycięzcę. Nie zgadzam się z opinią, że Maria Kazimiera była kulą u nogi Jana Sobieskiego.

Co najbardziej łączyło małżonków?

Byli bardzo przywiązani do swoich dzieci. O tych uczuciach świadczą choćby pieszczotliwe pseudonimy, jakie Sobiescy nadawali dzieciom. Dużą wagę przywiązywali też do tego, jak się prezentują. Oboje – trzeba to powiedzieć wprost – zainteresowani byli pieniędzmi i ciężko pracowali, nadzorując swoje dobra.

Jakie okresy związku Jana Sobieskiego z Marią Kazimierrą były dla pary największym wyzwaniem?

Jak wspominałam, bardzo trudny był początkowy okres małżeństwa, gdy Sobieski walczył z rokoszami, a potem Maria Kazimiera zaszła w ciążę i zdecydowała się wyjechać do Francji, by ratować zdrowie. Nie było jej przeszło rok. Na pewno ten czas był szczególnie trudny dla Sobieskiego. Odnosi się wrażenie, że tak bardzo tęsknił, że w pewnym momencie zaczął się obawiać momentu jej powrotu. To właśnie z tego okresu pochodzą listy, w których widzimy największe napięcie, gdy Sobieski żalił się na brak uczucia ze strony Marii Kazimiery.

Drugim bardzo trudnym momentem był schyłek życia Sobieskiego, gdy był już bardzo chory. Znamy



Maria Kazimiera de la Grange d'Arquien

urodziła się w Nevers we Francji, prawdopodobnie w 1641 r. Jej ojcem był markiz Henryk Albert de la Grange d'Arquien, niebogaty szlachcic, a matką Franciszka de la Châtre, ochmistrzyni księżniczki Ludwika Marii Gonzagi. Gdy księżniczka poślubiła Władysława IV i została polską królową, zabrała z sobą nad Wisłę malarzkę Marię Kazimierrę. Wkrótce na dworze rozeszły się plotki, że dziewczynka jest nieślubną córką monarchini. W 1648 r., po śmierci króla Władysława IV, gdy Ludwika Maria zabiegała o małżeństwo z Janem Kazimierzem, odesłała Marię Kazimierrę do Francji, gdzie w rodzinnym Nevers miała pobierać nauki w szkole klasztornej. Później wróciła do Polski i została dwórką królowej. W marcu 1655 r., podczas jednej z zabaw dworskich towarzyszących obradom sejmiku warszawskiego, poznał ją Jan Sobieski. Legenda mówi, że to właśnie wtedy zakochał się w młodziutkiej Francuzce, która jednak na życzenie królowej w 1658 r. poślubiła wojewodę kijowskiego Jana „Sobiepana” Zamoyckiego. Był to człowiek bardzo bogaty, a królowej zależało na utrzymaniu go po stronie dworu. Niespełna rok później Zamoycki został wojewodą sandomierskim.

z przekazu taką scenę: dwór spożywa świąteczny posiłek w klasztorze, w trakcie którego król mówi: „Marysiu, stracisz mnie prędko, ratuj mnie”. Królowa zaczyna płakać, a za nią wszyscy obecni.

Jakimi byli rodzicami?

Gdy Maria Kazimiera była w ciąży i później, gdy na świat przyszedł ich pierworodny syn, Jan Sobieski pisze o tym niemal nieustająco. Czy będzie dziewczynka, czy chłopiec, jakie dać imię, kiedy się urodzi? A po narodzinach pyta, dlaczego urodził się 2 listopada, w Dzień Zaduszny, co robić, by był silny, jak o niego dbać. Niesamowicie, ile uwagi Sobieski poświęcił temu w swoich listach. Wciąż Jakubek, Kubek, Kubeczek, jak go nazywał. Potem król pięknie pisał o 16-letnim Jakubie w czasie wyprawy wiedeńskiej, chwając jego odporność, umiejętność znoszenia trudów, odwagę.

Sobieski był ojcem raczej przyzwalającym – gdy Jakub, a potem Aleksander buntowali się przeciw konieczności nauki, uważał, że należy dać im więcej czasu i nauką nie męczyć. Maria Kazimiera natomiast była raczej dyscyplinująca. Wtrącała się też w życie dzieci, np. gdy córka Teresa Kunegunda była już zamężna, Maria Kazimiera prowadziła korespondencję z zięciem, próbując łagodzić napięcia między małżonkami, udzielać na odległość rad. Do końca życia bardzo czule pisała do swoich synów. Była również mocno przywiązana do swojej wnuczki i imienniczki Marii Kazimiery, którą zabrała ze sobą do Rzymu.

Z pewnością oboje byli ludźmi bardzo emocjonalnymi, którzy nie tylko żywo i pięknie potrafili przeżywać związki z innymi ludźmi, ale również pięknie o tych związkach pisać. Maria Kazimiera napisała o swojej synowej, że kocha ją, ponieważ ona kocha jej syna. To naprawdę piękne słowa.

Jak Maria Kazimiera przyjęła śmierć męża oraz jak wyglądał końcowy etap jej życia?



Sądzę, że jakkolwiek król był ciężko chory od wielu lat i z chorobą tą przyzwyczaił się żyć – w pewnym momencie widać już było, że jego siły się wyczerpują. Rodzina szukała wszelkich możliwych sposobów, by go ratować – bezskutecznie. W momencie, w którym król umiera, dochodzi do nieporozumień między królową a królewiczem Jakubem. Na dworze celowo rozpuszczane były plotki, że Maria Kazimiera już za życia króla szukała następcy, którego mogłaby poślubić, aby pozostać na tronie. Te plotki były nieprawdziwe, zarówno jej zapewnienia, jak i dalsze wydarzenia pokazały, że nie była zainteresowana innym związkiem. Szepetano również, że będzie chciała posadzić na tronie Aleksandra, której to myśli ona sama nigdy nie wyraziła. Niemniej Jakub się przestraszył. Wtrącił się w to wszystko ambasador francuski, wystawiając francuskiego kandydata do tronu, przekonując Ludwika XIV do tego pomysłu, który się zresztą nie powiódł. Sobiescy również nie utrzymali się na tronie. Wydaje mi się, a wiąże się to z tym, co mówiłam wcześniej o ścisłej współpracy Marii Kazimiery z Janem Sobieskim – śmierć męża była dla niej sytuacją, w której nie potrafiła się odnaleźć. Pogubiła się, pogubił się także królewicz Jakub. Po przegranej elekcji Maria Kazimiera czuła, że nie ma dla niej miejsca w Polsce. Właściwie o królowej w dowie w naszym kraju nie mówiliśmy nigdy. Eleonora Habsburżanka, wdowa po Michale Korybucie Wiśniowieckim, opuściła Polskę, podobnie królowa Bona. Również Maria Kazimiera stwierdziła, że jeżeli nie może być królową przyjmowaną z całym splendorem – wyjeżdża. Udała się do Rzymu, pod pozorem uczestniczenia w roku świętym, ale za zgodą sejmu i króla pozostała tam przez kilkanaście lat. Później wyjechała do Francji, gdzie zmarła.

Jak wynika z jej korespondencji, w Rzymie chciała iść w ślady królowej Krystyny – zajmować najwyższą

pozycję po papieżu. Rzym nie miał przecież żadnej królowej ani władczyni, a Maria Kazimiera ze swoim królewskim tytułem stała się najważniejszą damą miasta. Przyjmowali ją papież i honorowali kardynałowie. Prowadziła dom otwarty, w którym zorganizowała teatr, w czym pomagał jej później królewicz Aleksander, który przeniósł się do Rzymu i zamieszkał z matką.

Królowa była ważnym członkiem rzymskiego towarzystwa, zmagając się

Do dziś przeważa
opinia, że źle wpływała
na Sobieskiego i źle mu
doradzała. Nie zgadzam się
z tym stwierdzeniem.
Mówi się, że Jan Sobieski
wahał się, czy zostać królem.
To właśnie Maria Kazimiera
była tą, która zachęcała
go do sięgnięcia po tron.
Gdyby tego nie robiła
– być może Sobieski
królem by nie został



spędzała czas na snuciu marzeń o tym, by młodszy synowie świetnie się ożenili, a wnuczki dobrze wychodziły za mąż. Dla Aleksandra planowała karierę kardynalską, ale nie był tym zainteresowany. W zamążpójście swojej wnuczki starała się zaangażować papieża, kardynałów, rozwijając akcję na niemalże pół Europy. Miała też swoje wyraźne preferencje, co widać, gdy Jakub pisze o planach wydania jednej ze swoich córek za syna cara Piotra Wielkiego, królowa odpowiada, „ale na Syberię moja (Maria Kazimiera) nie pojedzie”.

Dzięki obfitej korespondencji, która z tego okresu pozostała, wiele dowiadujemy się o jej zmartwieniach, radościach i przeżyciach. Elementem, który stale się przewija, jest brak Jana Sobieskiego. To on dał jej szczęście i bogactwo, na które – jak sama twierdziła – nie zasłużyła. On ją bardzo kochał i ona jego także – a skoro deklarowała to wobec dzieci, które przecież żyły z rodzicami pod jednym dachem i wiedziały, jak było – nie należały chyba w to wątpić.

Prof. dr hab. Aleksandra Skrzypietz od 1990 r.

wykladowca na Uniwersytecie Śląskim. Badala stosunki polsko-francuskie w XVII i XVIII w., funkcjonowanie dworu królewskiego w epoce nowożytnej, dzieje i znaczenie polityczne rodu Sobieskich, wpływ edukacji na kształtowanie postaw politycznych i obywatelskich. Wielokrotna stypendystka Fundacji Lanckorońskich. Autorka książek: „Francuskie zabiegi o koronę polską po śmierci Jana III Sobieskiego”, Katowice 2009; „Królewscy synowie – Jakub, Aleksander i Konstanty Sobiescy”, Katowice 2011; „Rozkwit i upadek rodu Sobieskich”, Warszawa 2014; „Jakub Sobieski”, Poznań 2015; „Królowa Margot. Ostatnia perla Waleczusów”, Warszawa 2016; „Franciszek Ludwik de Bourbon, książę de Conti – »obraný król Polski«. Saga rodu Kondeuszów”, Katowice 2019.

jednak z problemami finansowymi, bo nie przysyłano jej z Polski należnych pieniędzy. Próbowala o nie walczyć, jednak z bardzo umiarkowanym skutkiem. Chyba na wiele sposobów czuła się samotna, prosiła więc synów, by ją odwiedzali. Jakub nigdy tego nie zrobił, przyjeżdżał Konstanty, a natomiast Aleksander, jak już powiedziałam przeprowadził się do niej. Towarzyszyła jej też wnuczka Maria Kazimiera. Sposobem na samotność była dla królowej również korespondencja – tysiące zapisanych stron kierowanych do synów i wielu innych osób.

W Rzymie, a potem w Blois, dokąd się przeniosła, Maria Kazimiera

Inwestycje PGE z myślą o przyszłości polskiej energetyki

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej narzuca polskiej energetyce szybkie tempo zmian. Aby temu sprostać, konieczne jest podejmowanie odważnych decyzji biznesowych i inwestycyjnych, tak aby możliwe było zagwarantowanie bezpiecznych dostaw energii elektrycznej w przyszłości

PGE Polska Grupa Energetyczna, będąca największą firmą energetyczną w Polsce, wychodzi naprzeciw tym wyzwaniom, koncentrując swoje działania na realizacji strategicznych inwestycji w nisko- i zeroemisyjne źródła energii.

Obecnie najważniejszym projektem Grupy PGE jest budowa morskich farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim. To inwestycja o kluczowym znaczeniu dla polskiej energetyki, ale także całej gospodarki. Nowy sektor morskich farm wiatrowych stanowi potencjał dla rozwoju polskich przedsiębiorstw i rynku pracy. Już dziś się szacuje, że każdy 1 GW wybudowanej mocy na Morzu Bałtyckim to 7 tys. miejsc pracy oraz 6 mld zł wartości dodanej do polskiego PKB. PGE już teraz rozwija projekty o łącznej mocy ok. 3,5 GW. To przyczyni się do uniknięcia 11 mln ton emisji CO₂ i będzie w stanie zasilić w energię elektryczną ponad 5 mln gospodarstw domowych. Już w 2026 r. prąd z Bałtyku popłynie do polskich domów.

PGE inwestuje również w moce gazowe, które będą stanowić wsparcie dla rozwoju odnawialnych źródeł energii. Przed końcem 2023 r. w województwie zachodniopomorskim powstaną dwa bloki gazowo-parowe o łącznej mocy 1,4 GW. Będzie to największa i najnowocześniejsza elektrownia gazowa w Polsce oraz projekt o strategicznym znaczeniu dla polskiej gospodarki. Województwo zachodniopomorskie jest krajowym liderem w rozwoju OZE, zwłaszcza w wykorzystywaniu potencjału wiatru. Produkcja energii w instalacjach wiatrowych jest zmienna, uzależniona od pogody. Dlatego nowe bloki gazowo-parowe w Elektrowni Dolna Odra będą stanowiły znaczące wsparcie dla stabilizacji systemu elektroenergetycznego. Inwestycja o wartości blisko 5 mld zł będzie kluczowym elementem systemu energetycznego.

PGE zmienia także polskie ciepłownictwo. Budowa nowej elektrociepłowni Czechnica w podwrocławskich Siechnicach czy inwestycje w Gorzowie i Bydgoszczy to ważne inicjatywy, które pojawiły się w tym roku na polskiej mapie ciepła. W latach 2023–2029 w większości lokalizacji ciepłowniczych Grupy PGE zostaną oddane do eksploatacji instalacje, które spowodują całkowite lub znaczące odejście od paliwa węglowego.



Transformacja energetyczna w Polsce to również budowa nowoczesnej łączności dla sektora energetyki, która będzie wspierać zdalne zarządzanie w sytuacjach awaryjnych. W tym celu w Grupie PGE są realizowane prace w zakresie budowy sieci łączności specjalnej LTE450. W 2021 r. program LTE450 wszedł w etap przygotowania do realizacji. W przyszłym roku planowane jest rozpoczęcie wdrożenia dla PGE Dystrybucja.

Energia elektryczna jest dzisiaj paliwem przyszłości, bez której współczesny świat nie mógłby normalnie funkcjonować. Natomiast niezawodna sieć dystrybucyjna jest dziś fundamentem transformacji energetycznej. W Czosnowie PGE kończy realizację największej inwestycji w sieć dystrybucyjną na Mazowszu. Poprawi ona bezpieczeństwo dostaw energii elektrycznej i możliwości przyłączania do sieci nowych obiektów na północ od Warszawy, w rozwijającym się rejonie trasy S7.

Będąc największym producentem i dostawcą energii w Polsce, Grupa PGE podejmuje się realizacji bardzo bogatego programu inwestycyjnego. Tylko w 2021 r. plany PGE zakładają 5–5,5 mld zł nakładów inwestycyjnych.

Strategia Grupy zakłada odejście od wytwarzania od węgla oraz produkcję energii w 100 proc. ze źródeł odnawialnych do 2050 r. Aby zrealizować ten ambitny plan, proces wdrażania inwestycji w PGE systematycznie nabiera tempa.



Pod choinkę



„Stefan Batory pod Pskowem”, mal. Jan Matejko, 1872 r.

Imperium electivum

*Prezentujemy fragment piątego tomu
„Dziejów Polski” prof. Andrzeja Nowaka pod tytułem
„Imperium Rzeczypospolitej 1572–1632”. Książka
ukazała się nakładem wydawnictwa Biały Kruk*



ANDRZEJ NOWAK

W takiej atmosferze zaczynał się sejm warszawski. Na poprzedzających go sejmikach kontynuowanie wojny było, co prawda, powszechnie akceptowane – bo przecież Inflanty nie były jeszcze odzyskane. Już jednak w pierwszym dniu sejmu Zamoyski odpowiedział, niejako w imieniu króla, na zgłaszane przez opozycję pretensje. Postawił w swej mowie

kwestię zasadniczą: czy Rzeczpospolita ma zadowolić się tylko ochroną swojej niepodległości i granic – czy też powinna wejść na drogę budowy własnego imperium? Wsłuchajmy się w te słowa kanclerza: „Są tu tacy, którzy się obawiają zarządzać wielkim państwem, którzy mniemają, że nie należy się uganiać za rozszerzeniem granic Rzeczypospolitej, bo na nic jej nie przydadzą się ziemie, które ją siła trudów i nakładów kosztowały! Dziwna rzecz, troszczą się o to niektórzy i złem to widzą w Rzeczypospolitej, a w swoich prywatnych sprawach inaczej myślą. Kto z was nie wolalby mieć więcej posiadłości zamiast jednej? Prawda, że trudniej rządzić wielkimi dobrami i większe są na nich ciężary, ale wynagradza się to większymi dochodami.



Ja zaś myślę, że Rzeczpospolita nasza jest obecnie w takim położeniu, że konieczne jaką nową posiadłość zdobyć sobie musi, jeżeli chcemy żywotne jej sprężyny w żywszy ruch wprowadzić i stan jej zdrowym zupełnie utrzymać; wszystkie bowiem prowincje weszły już w skład Rzeczypospolitej i na równych z innymi stoją prawach. Nie ma żadnej z podbitą uważanej, żadna daniny wyjątkowej nie płaci. A kiedy wszystkie

prawa są równe, więc i ciężary są równe; chcemy sobie ulżyć w swych ciężarach, jakże tego dokazać potrafimy, jeżeli za przykładem innych najświetniejszych państw nie podbijemy sobie nowej prowincji, która by cięższe na siebie podatki i haracz przyjąć musiała i nam tym sposobem użyła”.

To chyba najbardziej klarowny manifest imperializmu, na jaki zdobył się staropolski polityk. Zamoyski z jednej strony pokazuje wspaniałe istotę Rzeczypospolitej: równe prawa i równe obowiązki dla wszystkich części wspólnoty; nie ma centrum ani peryferii. I zarazem zaleca, by wyjść poza ten sposób współżycia, by raczej naśladować Hiszpanię, Anglię, Francję, Turcję: podbijać nowe ziemie i ludy, aby następnie je eksploatować jak peryferie, jak kolonie, jak rzymscy prokonsulowie w prowincjach – dla korzyści elity politycznego centrum takiej struktury. Odwołuje się przy tym do ludzkiej natury: amor habendi, żądza posiadania – czyż nie kieruje postępowaniem każdego z was, reprezentantów braci-szlachty na sejmie? Jest okazja, więc bierzmy! I to najlepiej bierzmy cudzymi rękami... Tego argumentu użył Zamoyski, by bronić króla przed zarzutem, że posługuje się Węgrami i im płaci za walkę o interesy polsko-litewskiego mocarstwa: „Nierozsądnie byłoby krwią własnych obywateli dobijać się o to, co cudzoziemcy zdobyć by nam mogli. Tym sposobem największe państwa powstały i w ogromną potęgę urosły”. To już jakby maksymę angielskiej polityki (tej z XVII–XX wieku) kanclerz polski zapowiadał, iż bić się warto do ostatniego, ale cudzego żołnierza.

Odpowiadał również Zamoyski hasłom podnoszonym zawsze przez opozycję w Rzeczypospolitej, iż trzeba przede wszystkim zabezpieczyć wolność w domu, zadbać o konieczne jeszcze reformy ustrojowe, które ją ugruntuja. Do nich mówił: „Niech pomyślą jednak, że jeśli jest co do naprawienia, to w każdym czasie będą mogli poprawić, bo mają moc po temu [czyli wolny głos na sejmie i sejmiku], ale do wojny

z Moskwą nigdy korzystniejszej nie będziemy mieli sposobności, jaką mamy teraz, a potęgą i spokojność na zewnątrz powinna podobno iść przede wszystkim”. Czyli niepodległość zewnętrzna i potęga państwa w relacjach z innymi, z sąsiadami – to jest najważniejsze, wolność wewnętrzna obywateli na drugim miejscu dopiero. Program taki

Zygmunt III, podobnie jak jego synowie – byli królami elekcyjnymi w Rzeczypospolitej. Nie królami Rzeczypospolitej, bo wybierano królów Polski i wielkich książąt litewskich, a króla nad Rzeczpospolitą nie było – był jej częścią. To bardzo trudna rola: godzić czynnik monarchiczny z republikańskim, władanie z wolnością. Za czasów Zygmunta III nazwano tę formę „imperium electivum”

zwycięży, owszem, ale dopiero w obliczu zagłady Rzeczypospolitej w wieku XVIII, kiedy pod wpływem sąsiedzkiej „opieki” nad polską wolnością pojawi się widmo ostatecznego rozbioru i pytanie: „gdzie się podzieje wasza wolność, kiedy Polski już nie będzie?”. Czy jednak można było zadać takie pytanie w Rzeczypospolitej Batorego i Zamoyskiego, tuż po zwycięstwie połockim, a zarazem kilka lat zaledwie po największych sukcesach szlacheckiej konfederacji wolności? Owszem, niedługo potem ono wybrzmiał, z kazałnicy księdza Skargi, ale usłyszane zostanie wyraźnie dopiero przez pokolenie Mickiewicza w XIX wieku.

Wybaczenie, mili Czytelnicy, że tyle miejsca oddałem na ten pojedynczy

głos z sejmowej debaty w Warszawie w końcu 1579 roku, ale lepszej okazji nie będzie chyba, żebyście sobie odpowiedzieli sami: czy wolelibyście raczej polskie imperium, z koloniami, z programem stałej ekspansji oraz systematycznych podbojów: na północ, na wschód, na południe (bo trzy te kierunki będą praktycznie rozważane)

– czy raczej Rzeczpospolitą zespoloną wolnością i równym głosem wszystkich jej części, z prawem indywidualnego weta wobec zagrożenia takiej wolności? A może wierzyć w trzecie wyjście – że da się pogodzić imperium z wolnością?

Jak już mówiliśmy, naczytał się chyba Zamoyski nauk Machiavellego podczas swych studiów w Padwie i szukał – jak autor Księcia – sposobów, by połączyć liberta i grandezza, wolność z wielkością, potęgą zewnętrzną republiki. Twardo też przypominał to prawo polityki między państwami: jedne mają władzę rozkazywania innym, a inne muszą się podporządkować. Nie chcemy być w tej drugiej kategorii, to musimy walczyć o awans do pierwszej, albo bronić się przed spadkiem do grona tych, co muszą prosić, a nie mogą swojej zbiorowej woli realizować samodzielnie. Widział Zamoyski, jak Tytus Liwiusz (z Padwy rodem zresztą) w swojej Historii Rzymu, wielkość republiki polegającą na zewnętrznych zdobyczach. Nie tylko marzył, ale

planował konkretnie, razem ze swoim królem – Stefanem – by polsko-litewska Rzeczpospolita stała się, jakiej rzymska poprzedniczka, wspaniałym imperium. Jego słuchacze na warszawskim sejmie może nie wszystkie te aluzje chwytały. Lepiej wykształconym przychodziły na myśl raczej przestrogi najpopularniejszego wśród Sarmatów mistrza starożytnej polityki, Cyncerona – przed wejściem Rzeczypospolitej w moment Cezara, to jest zagrożenia obywatelskiej wolności przez imperialne ambicje kogoś, kto chciałby panować nie tylko nad innymi krajami, ale także nad innymi współobywatelami.

Sejm 1579–1580 roku nie był jednak miejscem rozstrzygającej debaty między tymi stanowiskami. Zamoyski



retorycznie triumfował, bo też łatwo było w tym czasie przekonać posłów, że wojna z Iwanem na pewno nie jest – jeszcze – wojną wykraczającą poza obowiązki tradycyjnie pojmowanej obrony granic, które to Moskwa naruszyła swoją agresją od początku wieku XVI, a nie odwrotnie. [...]

By pojąć historię polityczną interesującego nas tutaj czasu, musimy pamiętać: Zygmunt III, podobnie jak jego synowie – byli królami elekcyjnymi w Rzeczypospolitej. Nie królami Rzeczypospolitej, bo wybierano królów Polski i wielkich książąt litewskich, a króla nad Rzeczypospolitą nie było – był jej częścią. To bardzo trudna rola: godzić czynnik monarchiczny z republikańskim, władanie z wolnością. Za czasów Zygmunta III nazwano tę formę „imperium electivum”.

Czy taka hybryda musiała być „politycznym koszmarem”? Niekoniecznie. Inaczej Rzeczypospolita nie odbyłaby przecież największej liczby owocnych sejmów i nie osiągnęła, właśnie za czasów tego króla, maksymalnego zasięgu terytorialnego, obejmując po odzyskaniu ziemi smoleńskiej, czernihowskiej i siewierskiej, formalnie od grudnia 1618 roku, 990 tysięcy km². Ale przecież będziemy musieli przyznać, że do stanu „koszmaru” łatwo było się ześlizgnąć w tym systemie, który wymagał niezwykle trudnej sztuki poszukiwania zgody w rozumieniu dobra wspólnego, umiejętności współdziałania, odpowiedzialności i zaufania. [...]

Największym sukcesem w czasach Zygmunta III nie był Kłuszyn, ale odzyskanie Smoleńska po żmudnym i nieefektywnym oblężeniu. Bo to było o d z y s k a n i e właśnie, tak było traktowane przez szlachtę: rekuperacja awulsów, czyli tego, co zostało utracone przez Rzeczypospolitą (w tym przypadku: przez Litwę). Tu król wypełnił swój konstytucyjny obowiązek, pacta conventa, i wypełniła ten obowiązek również szlachta. Tak jak właśnie pod Kircholmem i pod Chocimiem.

Bo tak działało, co próbowano na dworze króla Zygmunta III, a potem jego syna, Władysława IV, nazywać terminem: imperium liberum albo imperium electivum, to jest imperium wolne (chyba w obu znaczeniach słowa



„wolne”...), wybieralne. Trzeba jego granic bronić, bo w nim jest dom naszej wolności, naszego prawa wyboru. Ale z domu wychodzić, zajmować sąsiednie? A po co? Chyba, że ktoś sam nas o to poprosi i jeszcze zrobi to za nas...

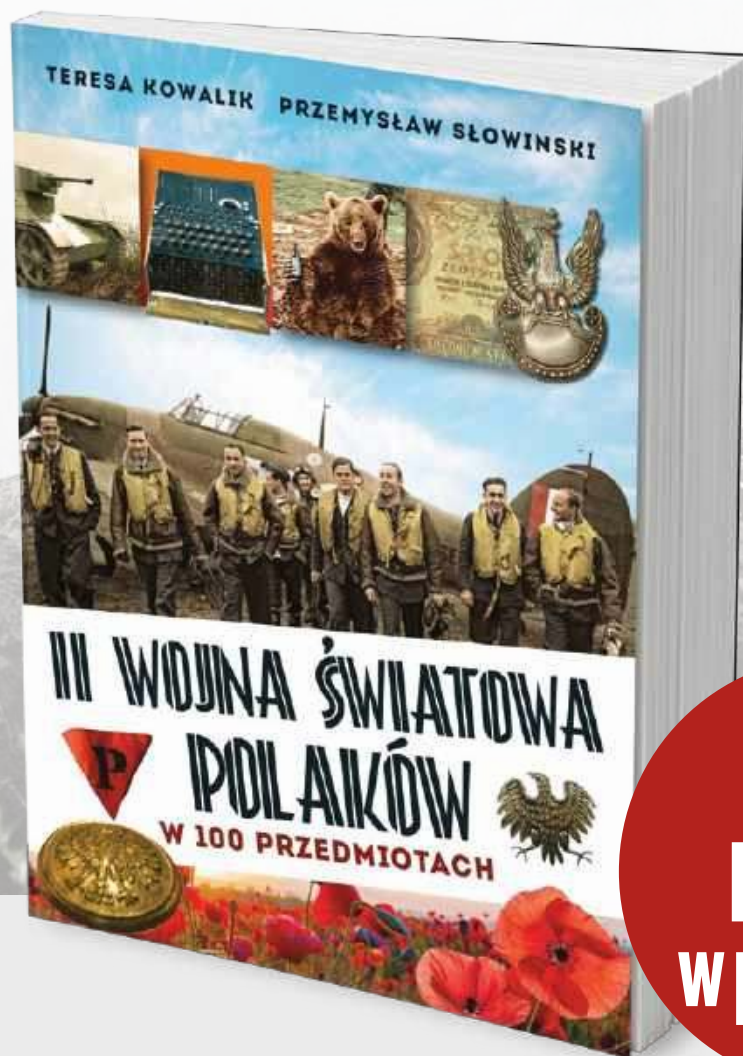
To oczywiście postawa w dzisiejszych czasach budząca może większą sympatię niż agresywny imperializm, który promowały rządy Elżbiety I w Anglii, kardynała Richelieu, a potem Ludwika XIV we Francji, szwedzkiego Gustawa Adolfa czy holenderskich kupców poprzez Kompanię Zachodnioindyjską. Choć zapytać można, z melancholią, czy dziś bardziej pamięta się tę okrutną drapieżność, czy podziwia jej efekty w Hadze i Amsterdamie, Paryżu i Wersalu, Londynie i Windsorze, Sztokholmie i Uppsali (z całym bogactwem zarobowanych w Rzeczypospolitej łupów)?... Poważniejsza i bardziej praktyczna uwaga, jaka się nasuwa, wynika jednak nie z porównania z innymi, tylko z oceny skutków zamykania przez znaczną część obywateli oczu na fakt, że Polska i Litwa nie były wyspą na spo-

kojnym morzu. Niektórzy przynajmniej sąsiedzi nie odpowiadają założeniom świętego spokoju, jakie towarzyszyło sarmackiej geopolityce.

Polityka, która jest tylko obronną reakcją na zmaterializowane już (i zmilitaryzowane po zęby) zagrożenie, nie może być na dłuższą metę skuteczna. Niektóre przynajmniej zagrożenia trzeba nie tylko dostrzegać – a przecież pisali i mówili o nich nie tylko sam Skarga, ale również liczni inni kaznodzieje i senatorowie, katolicycy i ewangelicy – ale reagować na nie z wyprzedzeniem, kiedy jeszcze koszty nie są wielkie.

Byli władcy, kanclerze i hetmani, którzy namawiali do tego Rzeczypospolitą. Sztuka polegała na tym, by namówić skutecznie i przemoc bierność, niekiedy stymulowaną z zewnątrz, przez zaborczych sąsiadów inspirowaną. To się na chwilę udało Batoremu we współpracy z Zamoyskim, dlatego też oni wspólnie uchodzą – i słusznie – za najbardziej wyrazistych reprezentantów racji stanu Rzeczypospolitej, która może pomieścić ideę imperium. 

Historia II wojny światowej opowiedziana w nietypowy sposób – poprzez 100 przedmiotów, które towarzyszyły Polakom w latach 1939–1945.



- List z oflagi i guziki z Katynia
- Symbol Polski Walczącej
- Orzełek berlingowców
- Pepesza – główna broń w bitwie pod Lenino
- Opaska z gwiazdą Dawida

NOWATORSKI SPOSÓB OPOWIEDZENIA
DZIEJÓW POLSKI | PIĘKNE ZDJĘCIA
| DUŻE WYDANIE ALBUMOWE
| 464 STRONY

50
książek
w prezencie

Książkę „II wojna światowa Polaków w 100 przedmiotach” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORIA** za **280 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16





Nowe bogactwa Ziemi

Wśród różnych czynników, które decydują o potęgę państw, jest – jak się ostatnio znowu dość boleśnie przekonujemy – kontrola nad surowcami i źródłami energii. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przywykliśmy do tego, że ten, kto panuje nad złożami ropy naftowej, gazu ziemnego czy – jeszcze do niedawna – węgla, jest zazwyczaj bogaty i silny. Jednak na naszych oczach zaczyna się to zmieniać. O wszystkim decyduje bowiem ostatecznie rozwój technologii, ale także polityka i ideologia.

Oparcie gospodarki najpierw na węglu, a w XX stuleciu również na ropie i gazie nierozdzielnie wiązało się z gwałtownym rozwojem przemysłu. Wcześniej głównym źródłem energii było bowiem drewno. Zupełnie inaczej postrzegano również bogactwa. Obok złota, srebra i drogocennych kamieni, których wydobycie i sprzedaż zawsze były intratnym przedsięwzięciem, najczęściej zarabiano – w różnych epokach – na przyprawach i soli, na jedwabiu i bawełnie, a w bliższych nam czasach na żelazie i kauczuku. To oczywiście tylko przykłady. Pokazują one jednak dość oczywiste zjawisko, że popyt na różne towary i surowce jest zmienny i ściśle związany z rozwojem technologii.

Dziś, w związku z coraz bardziej restrykcyjną polityką klimatyczną, epoka węgla jako głównego źródła energii zbliża się ku końcowi. Wkrótce podobny los czekać będzie ropę naftową. Gaz, uznawany za nieco czystsze źródło energii, przetrwa zapewne dłużej. Jednak oczy wielkich koncernów wydobywczych, które zarabiały miliardy dolarów na pompowaniu ropy czy kopaniu węgla, są już skierowane ku innym surowcom. Tym, bez których nie może się obyć współczesna technologia. Świat czeka więc niebawem nowe rozdanie kart w grze o wielkie zyski i wpływy.

*Bez szlachetnych lub
rzadkich metali nie da
się dokończyć obecnej
rewolucji technologicznej.*

*Różne dziwne
pierwiastki z tablicy
Mendelejewa stały się
nagle najdroższym,
poszukiwanym
towarem, a ten, kto
przejmie kontrolę nad
ich pozyskiwaniem
i wydobyciem, zyska też
ogromną władzę*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

KOSZTOWNA TABLICA MENDELEJEW

Szczególnie poszukiwane są metale nieżelazne (np. miedź i aluminium) oraz drogie metale szlachetne i tzw. metale rzadkie. Rzadkie, czyli inaczej takie, które do niedawna nie odgrywały większej roli w obiegu gospodarczym. Nie budziły one zainteresowania nie tylko dlatego, że nie widziano dla nich zastosowania, lecz także z tego powodu, że zazwyczaj nie występowały one w zwartych złożach i trzeba je było pozyskiwać – niekiedy po dużych kosztach – w różnych ubocznych procesach

technologicznych. Metale szlachetne to z kolei metale odporne chemicznie, a więc słabo reagujące z innymi pierwiastkami i substancjami. Do najbardziej znanych należy oczywiście złoto i srebro, ale to nie jest pełna lista, są bowiem wśród nich coraz bardziej poszukiwane pallad, iryd, rod itp.

Przykładowo rod, używany m.in. w przemyśle optycznym, znajduje się dziś w czołówce najdroższych surowców świata. Jego cena za kilogram sięga bowiem aż 450 tys. dol. Tańszy, choć również piekielnie drogi, jest iryd – jeden z najtwardszych znanych metali. Iryd, który dotarł na Ziemię wraz z asteroidami rozbijającymi się w przeszłości o powierzchnię naszej planety, należy jednocześnie do metali najrzadziej spotykanych. Jak się oblicza, platyny jest na świecie 10 razy więcej, złota – 40 razy, a srebra aż 80 razy. W 2019 r. na świecie pozyskano zaledwie 6860 kg irydu, głównie poprzez przemysłowe przetwórstwo miedzi i niklu. Nic więc dziwnego, że cena kilograma tego szlachetnego metalu przekracza dziś 133 tys. dol. Z irydu produkuje się m.in. wysokiej jakości kryształy wykorzystywane przy produkcji pamięci komputerowej, a także lasery oraz diody LED. Ma on również zastosowanie jako utwardzacz wszelkich materiałów, w tym odpornych na korozję rur głębinowych oraz elementów silników samochodowych. Zasoby irydu (bo trudno tu mówić o złożach) znajdują się w Ameryce, RPA, Rosji i Australii.

Do drogich i poszukiwanych metali szlachetnych należy również pallad. Jego cena waha się dziś w granicach 50 tys. dol. za kilogram. Pallad to przypominający platynę metal szlachetny, który pozyskuje się najczęściej w procesie rafinacji rud niklu, miedzi lub cynku. Stosuje się go przy produkcji katalizatorów samochodowych i ogniw paliwowych. W branży elektronicznej używany jest z kolei do produkcji kondensatorów i układów scalonych. Strategiczne złoża palladu znajdują się w północno-zachodniej

Rosji. Szacuje się, że ten kraj odpowiada za około 44 proc. światowego wydobycia palladu. Rosja jako jedyne państwo posiada również rezerwy tego metalu. Na drugim miejscu znajduje się Republika Południowej Afryki – jej udział w wydobyciu tego surowca wynosi około 40 proc.

CHIŃSKIE UZALEŻNIENIE

Ceny wielu poszukiwanych surowców są astronomiczne, tymczasem bez szlachetnych lub rzadkich metali nie da się przeprowadzić obecnej rewolucji technologicznej. Są one – wraz z bardziej popularnymi metalami nieżelaznymi – niezbędne w elektronice, przemyśle zbrojeniowym i kosmicznym czy wreszcie przy produkcji baterii, bez których nie ma w ogóle mowy o tzw. zielonej transformacji. Różne dziwne pierwiastki z tablicy Mendelejewa stały się więc nagle najdroższym, poszukiwanym towarem, a ten, kto przejmie kontrolę nad ich pozyskiwaniem i wydobyciem, zyska też ogromną władzę.

Bardzo szybko zrozumiały to Chiny, które zdaniem analityków z brytyjskiej firmy Roskill kontrolują już 55 proc. światowej produkcji i 85 proc. rafinacji metali rzadkich. Co więcej, bez skrupułów korzystają ze swojej dominacji, ograniczając – głównie na fali napięć politycznych ze Stanami Zjednoczonymi – eksport różnych strategicznych substancji i metali, wywołując ich deficyt oraz światowy wzrost cen.

Przykładowo – jak podała japońska agencja Nikkei – w ciągu ostatniego roku na rynku zaczęło brakować tlenu neodymu – wytwarzanego głównie w Chinach, kluczowego surowca przy produkcji turbin wiatrowych, co może źle wróżyć opłacalności energetyki wiatrowej. O 50 proc. wzrosła też cena stosowanego przy produkcji magnesów metalu rzadkiego o nazwie holm, a aż o 100 proc. prazeodymowego neodymu – tę dziwną nazwę nosi stop wykorzystywany przy produkcji elektronik, w tym zwłaszcza głośników. Może się to wkrótce przełożyć na kolejną dużą podwyżkę cen komputerów. Na tych kilku przykładach widać, że rewolucja technologiczna na Zachodzie zbyt niebezpiecznie uzależniła się w ciągu ostatnich paru dekad od chińskich dostawców, co niesie z sobą poważne koszty ekonomiczne i polityczne.



Kopalnia złota
w Kongu



Fot. Shutterstock

Kopalnia kobaltu
Bou Azzer w Maroku

Tymczasem według prognoz Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) światowy popyt na metale nieżelazne będzie rósł szybciej niż na jakikolwiek inny surowiec. Dwa lata temu zapotrzebowanie na takie metale wynosiło około 8 gigaton rocznie, tymczasem za 40 lat ma wzrosnąć aż do 19 gigaton, przy czym w tych prognozach nie uwzględniono najbardziej ambitnych planów transformacji przemysłowej ogłoszonych niedawno przez UE. W tej chwili trudno więc sobie wyobrazić zaspokojenie tego popytu bez udziału Chin.

BITWA O AFRYKĘ

Trwająca ponad trzy dekady transformacja technologiczna Chin dokonała się – podobnie jak wcześniej w Japonii – dzięki zbliżeniu z Zachodem, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi. Najpierw zarabiano na przeniesieniu produkcji zachodnich towarów do Chin. Dzięki temu oswojono się z nowymi technologiami, a za zarobione pieniądze kupowano licencje na co się dało lub po prostu kopiowano cudze pomysły. Wysłano też studentów na amerykańskie uczelnie, aby po powrocie do Chin wykorzystali i wdrożyli swoją wiedzę.

Nie wszystko udało się Chińczykom opanować, jednak z pewnością nadgonili, a nawet przegonili świat, jeśli chodzi o wiele innych nowoczesnych technologii użytkowych i przemysłowych. W tym przede wszystkim tych, które wymagają zastosowania specyficznych, rzadkich surowców. Zachód najwy-

Rod, używany m.in. w przemyśle optycznym, znajduje się dziś w czołówce najdroższych surowców świata. Jego cena za kilogram sięga bowiem 450 tys. dol.

rażniej przegapił moment, w którym Chiny, poszukując przewagi technologicznej, zainteresowały się złożami strategicznych surowców na świecie i zaczęły przejmować nad nimi kontrolę. Do prawdziwej ofensywy Chin doszło w Afryce, która jest rezerwuarem wielu poszukiwanych bogactw, w tym m.in. miedzi, boksytów (aluminium) oraz kobaltu stosowanego przede wszystkim przy produkcji baterii oraz turbin gazowych, a więc mającego kluczowe znaczenie dla obecnej transformacji energetycznej.

Największe złoża kobaltu znajdują się w kongijskiej Katandze. Tu pozyskuje się niemal 70 proc. światowej produkcji tego surowca, który trafia następnie do producentów baterii zasilających elektronikę (smartfony i laptopy) oraz samochody elektryczne. Nic więc dziwnego, że Kongo zamieniło się we współczesne eldorado, gdzie można szybko zarobić miliardy dolarów. Oficjalnie złoża su-

rowców znajdują się pod kontrolą firmy Gécamines. To dziwna spółka, bo choć formalnie należy do rządu Konga, to kontrolują ją obcokrajowcy. Przez kilka lat zarządzał nią pochodzący z Zimbabwe biały biznesmen Billy Rautenbach, który trafił do Gécamines z rekomendacji dyktatora Zimbabwe Roberta Mugabego, liczącego na wielkie zyski płynące z wydobycia kobaltu i miedzi. Ostatecznie Rautenbach, podejrzany przez władze RPA o zlecenie zabójstwa w 1999 r. przedstawiciela koncernu Hyundai, został usunięty z Gécamines, ale do Rady Dyrektorów trafił szef Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego (AJC) Jack Rosen, co mogło z kolei oznaczać, że

nad strategicznymi złożami chcieli przejąć kontrolę Amerykanie. Gécamines wchodzi bowiem w rozmaite wspólne przedsięwzięcia z zagranicznymi koncernami wydobywczymi, które – w zamian za udział w zyskach i sążniste łapówki – eksploatują kopalnie i wywożą drogocenny surowiec na handel. Wśród partnerów Kongijsczyków są m.in. firmy chińskie, południowoafrykańskie, europejskie, a nawet zarejestrowana w Londynie Eurasian Natural

Resources Corporation kontrolowana przez kazachsko-rosyjskich oligarchów z obywatelem Kazachstanu i Izraela Aleksandrem Maszkiewiczem na czele. Złoża są więc szabrowane na potęgę, a zyski trafiają za granicę.

Część surowca pozyskuje się jeszcze taniej. Jak donoszą media, jedna trzecia wydobycia kobaltu pochodzi z chałupniczych kopalni, w których bez żadnych zabezpieczeń pracują dzieci wyciągające surowiec gołymi rękami. Za swoją pracę dostają jednego dolara dziennie.

Mieszkańcy Afryki nie korzystają więc ze swoich bogactw. Rzadkie surowce są bowiem za zgodą skorumpowanych władz eksploatowane przez obce koncerny. O tej cenie transformacji technologicznej mówi się dziś jednak bardzo mało, choć niektóre firmy – takie jak BMW czy Apple – zapowiedziały, że z powodów etycznych będą pozyskiwać kobalt od producentów z Australii i Maroka.

MAGAZYNY ENERGII

Drugim, obok kobaltu, składnikiem baterii jest lit, należący do najlżejszych metali. Główne złoża litu znajdują się w Australii, w Ameryce Płd., przede wszystkim w Chile i Boliwii, oraz w Chinach. W mediach spekulowano, że potężne złoża litu są również w Afganistanie, co mieli badać jeszcze Rosjanie podczas interwencji ZSRR w latach 80., jednak Amerykanie zaprzeczyli tym rewelacjom. Można im chyba wierzyć, bo skoro lit został umieszczony na amerykańskiej liście surowców o znaczeniu strategicznym, to zapewne nie byłoby oni skłonni do tak szybkiej ewakuacji z Afganistanu.

W tej chwili laboratoria naukowe pracują nad zmniejszeniem ilości kobaltu w bateriach, nie tylko z powodów etycznych, ale też dlatego, że jego zasoby wskutek rabunkowej eksploatacji szybko się zmniejszają. Nikt też nie chce znaleźć się na pasku Chin, które zresztą również intensywnie szukają nowych technologii magazynowania energii.

A skoro o energii mowa, to aby ją magazynować, trzeba ją najpierw pozyskać. Wiatr i woda – jak pokazuje doświadczenie – nie wystarczą do zaspokojenia popytu na elektryczność. Klimatyści zdecydowanie odrzucają węgiel i ropę, więc pozostaje atom (co ciągle nie jest pewne) i gaz.

O gazie mówi się w kontekście pozyskiwania wodoru, który mógłby być przesyłany gazociągami na duże odległości. Technologia przesyłu wodoru jest ciągle niedoskonała, ale Rosjanie już myślą, aby w przyszłości przestawić swoje gazociągi, w tym Nord Stream 2, na nowe paliwo. Jeśli tak będzie, to nie należy się ludzić, że Europa szybko wyrwie się z energetycznego uzależnienia od Moskwy. Złoża gazu ziemnego mogą być również źródłem innego wysokoenergetycznego pierwiastka, jakim jest hel. Energia, którą można uzyskać z tony helu-3 (jeden z dwóch izotopów helu), jest równoważna energii uzyskanej z 50 mln baryłek ropy naftowej. Co ciekawe, w dziedzinie pozyskiwania helu-3 pewnymi osiągnięciami może się pochwalić Polska, która

wytwarza go z azotu, dzięki czemu należymy do elitarnego grona kilku państw produkujących hel.

W Polsce – a konkretnie w tzw. prze-smyku suwalskim – są też odkryte w 1962 r. bogate złoża tytanu i wanadu (1,34 mld ton). Jednak – jak informuje Państwowy Instytut Geologiczny – złoża te nie mają znaczenia przemysłowego, przede wszystkim ze względu na zbyt niską zawartość metali i dużą głębokość zalegania. Pocieszeniem może więc być polska miedź, której posiadamy 26 mln ton i której ceny ciągle rosną.

Położenie zasobów to jednak tylko jeden front bitwy o surowce. Drugim, być może ważniejszym, jest odpowiedni kapitał oraz refleks. Jak pokazuje choćby przykład Afryki, do bogactw pierwsze dokopują się największe koncerny. I to ich zyski są najwyższe.

Agdy surowców zacznie brakować, pozostanie jeszcze przestrzeń kosmiczna. Rywalizacja o zasoby na Księżycu oraz bogatych w poszukiwane surowce asteroidach już się zresztą rozpoczęła. Ale to temat na inny artykuł.

REKLAMA



SZANOWNI PAŃSTWO!

Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA SKŁADAM PAŃSTWU
NAJLEPSZE ŻYCZENIA. OBY DLA WSZYSTKICH BYŁ TO CZAS
PEŁEN WIARY, DOBRA I MIŁOŚCI.

NIECH ŚWIATŁOŚĆ BETLEJEMSKIEJ GROTY PROMIENIUJE
NA PAŃSTWA RODZINY, POMAGA W POKONYWANIU
CODZIENNYCH TRUDNOŚCI, DAJE NADZIEJĘ I WYTRWAŁOŚĆ.

ŻYCZĘ TAKŻE, ABY ROK 2022 PRZYNIÓSŁ WSZYSTKIM
PAŃSTWU POMYŚLNOŚĆ I DOSTATEK ORAZ POZWOLIŁ
NA SPEŁNIENIE PLANÓW I ZAMIERZEŃ.

PRZEMYSŁAW CZARNEK
MINISTER EDUKACJI I NAUKI



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



Pod choinkę



CEZARY KOWALSKI

Biznesy polskich piłkarzy

Lewandowski nakarmi, Krychowiak ubierze, Piszczek wychowa dzieci na prawdziwych sportowców, Peszko napoi... wódką. Czasy, w których piłkarze przepuszczali swoje fortuny i po zakończeniu kariery nie mieli pomysłu na życie, mijają. Dziś już przed zejściem z boiska najbardziej znani zawodnicy równolegle prowadzą biznesy, inwestują rozsądnie i ciekawie, dbając o swoją przyszłość. Oto najbardziej przedsiębiorczy polscy piłkarze

GRZEGORZ KRYCHOWIAK



Kilka lat temu w prestiżowym miejscu stolicy, zaraz obok Sejmu przy ul. Wiejskiej, swój salon z garniturami otworzył Grzegorz Krychowiak. Piłkarz inspirację zaczerpnął ze stolicy Francji, gdzie rozkręcała się jego piłkarska kariera. Spodobało mu się jedno z miejsc, które zobaczył w Paryżu. Chodziło o butik z garniturami dla mężczyzn, szytymi na miarę. Sklep w zamyśle ma kreować modę, bo zdaniem piłkarza urodzonego w Gryficach warszawiacy takiego miejsca potrzebują. Całość funkcjonuje pod szyldem marki Balamonte, a przy prowadzeniu salonu piłkarzowi pomagają brat i doświadczony menedżer.

Krychowiak twierdzi, że jest dobrze zorganizowany i dzięki temu udaje mu się łączyć grę w piłkę z działalnością biznesową. Od lat inwestuje w nieruchomości w Europie, w swoim portfelu ma też markę Bio-Gol (żywność ekologiczna). Jest także



współwłaścicielem Lajuu Men, firmy produkującej naturalne kosmetyki.

Zainwestował 5 mln zł w budowlany start-up System 3E. Firma opracowała i opatentowała innowacyjną technologię wznoszenia ścian na bazie elementów z naturalnego perlitu. Wyjątkowość technologii polega na

tym, że elementy można składać bez zaprawy i bez docieplenia. Wygląda to jak budowanie domku z klocków. To również rozwiązanie ekologiczne i energooszczędne. Reklamowane jako rewolucja w budownictwie (w Polsce powstało dotąd około stu domów w tej technologii). Docelowo firma chce budować 500 domów rocznie i wejść na rynki zagraniczne (Szwecja, Niemcy, Holandia i USA).

Fot. Podlaski/AP/P, Michał Barbański/Shutterstock



BARTOSZ BERESZYŃSKI

Obrońca reprezentacji Polski i piłkarz Sampdorii Genua od trzech lat próbuje się w biznesie. W 2018 r. został udziałowcem mobilnej gry społecznościowej stworzonej w Polsce Royal App. Jak sam twierdzi, zainwestował w tę grę m.in. dlatego, że od jakiegoś czasu myśli o zabezpieczeniu przyszłości rodziny. Na czym polega aplikacja Royals? Twórcy reklamują ją jako „pierwszą na świecie grę społecznościową dla ludzi z klasą”. Zachęcają nowych użytkowników, by dołączyli do „społeczności ludzi podziwianych przez swoje otoczenie ze względu na swój wygląd, swoje osiągnięcia, swój styl życia”.

„Nawiązuj nowe znajomości z ludźmi na poziomie, zdobywaj punkty popularności i stań się naszym Royalsem” – namawiają w nieco pretensjonalnym stylu. „Wejdź do świata luksusu, zamkniętych imprez i stylu życia, w który wierzymy” – piszą dalej.

Jak informował „Puls Biznesu”, w ciągu pierwszego półroczia działalności aplikacji Royals App użytkownicy wygenerowali w niej prawie pół miliona interakcji. Twórcy planują szybką ekspansję poza Polskę. Gra już jest dostępna dla chętnych z całego świata.

JAKUB BŁASZCZYKOWSKI

Wiele dokonał na boisku, ale uznanie zyskał, ratując stojącą na krawędzi bankructwa Wisłę Kraków – drużynie groziła degradacja do czwartej ligi, a tereny klubu były bliskie przejęcia przez podejrzanych zagranicznych „inwestorów”. Udzielił dwóch kilkumilionowych (w euro) pożyczek, jest obecnie współwłaścicielem Wisły i jednocześnie jej zawodnikiem.

Na dużą skalę rozkręcił fundację Ludzki Gest. Głównym jej celem jest wspieranie chorych i zdolnych osób do 21. roku życia.

Od lat piłkarz jest współwłaścicielem Centrum Rozrywki Kubatura w Opolu. Znajduje się w nim pub sportowy ze stołami bilardowymi, siedmioma telewizorami i miejscem do kibicowania. Oprócz tego w centrum mieszczą się kawiarnia, 10-torowa kręgielnia, klub muzyczny oraz sala bankietowo-konferencyjna.

JERZY DUDEK

Triumfator Ligi Mistrzów z 2005 r. praktycznie nie udziela się w świecie piłki nożnej. Ze względu na zamiłowanie do

od którego bierzemy auta, pojechałem na tor do Kielc i tam zadebiutowałem jako kierowca ciężarówki – pochwalił się uczestnik mundialu w Korei.

SŁAWOMIR PESZKO

Enfant terrible polskiej piłki wciąż gra w czwartoligowej Wieczystej Kraków. Dzięki temu może osobiście doglądać



motoryzacji dużo bliższa jest mu obecnie branża transportowa, w której działa od sześciu lat. „Razem z moim wujkiem, który ma ogromne doświadczenie w tym biznesie, postanowiliśmy

spróbować sił i interes kręci się do dzisiaj. Muszę się pochwalić, że ostatnio zostaliśmy jednym z partnerów spółki Pall-ex, która specjalizuje się w przesyłkach paletowych. Moja firma zajmuje się obsługą województwa świętokrzyskiego” – mówił dla „Przeglądu Sportowego” 60-krotny reprezentant Polski, który jest także ambasadorem strony internetowej o przesyłkach paletowych.

Dudkowi, podobnie jak Milikowi czy Kosowskiemu, w swoich biznesach zdarzyło się już bezpośrednio złapać za ster firmy, a ściślej za kierownicę. – Na zaproszenie jednego z dealerów,

swojego interesu. To bowiem w miejscowości Krasne, oddalonej nieco ponad 100 km od tej metropolii, prowadzi własną Akademię Piłkarską. Sławomir jest jedną z najbardziej barwnych postaci naszego futbolu i najlepszym przyjacielem Roberta Lewandowskiego.

Były pomocnik polskiej reprezentacji od pewnego czasu próbuje swoich sił w biznesie. Jego nowa firma Vendetta-watches zajmie się sprzedażą zegarków. Przy okazji mundialu w Rosji w 2018 r. wyprodukowana została kolekcja zegarków w barwach narodowych. Wszedł także w branżę alkoholową. Fani mogą napić się wódki o nazwie „Peszeko”. Alkohol, pędzony z ziemniaków i orkiszu, jest dostępny tylko w sopockiej restauracji Team Spirit (ul. Bohaterów Monte Cassino 63), którą Sławomir założył wraz z kolegami z Lechii Gdańsk: Jakubem Wawrzyniakiem, Grzegorzem Kuświkiem i Dusanem Kuciakiem. Istnieje plan, aby wódka „Peszeko” trafiła do masowej sprzedaży.



ŁUKASZ PISZCZEK

W rodzinnych Goczalkowicach wybudował kompleks sportowy z prawdziwego zdarzenia. W jego skład wchodzi trzy boiska: pełnowymiarowe meczowe, treningowe i hybrydowe, czyli ze sztuczną nawierzchnią. Do tego nowoczesne zaplecze. Koszt? Według „Dziennika Zachodniego” to nawet 13 mln zł. Większość tej kwoty wyłożył Piszczek wraz ze swoją fundacją. Udało się też zdobyć pieniądze z Ministerstwa Sportu, które do projektu dołożyło 4 mln zł. Szkółka piłkarska Piszczka ściśle współpracuje z Borussią Dortmund, w której Łukasz spędził swoje najlepsze sportowe lata.

KAMIL KOSOWSKI

Uczestnik mistrzostw świata w Niemczech i były piłkarz Wisły Kraków piecze pączki. Jest właścicielem Naszej Pączkarni, która mieści się przy głównym deptaku w Bielsku-Białej i sam w niej pracuje.

„Smaków jest mnóstwo, można je mieszać i komponować na wszystkie sposoby. Potrafię w zasadzie wyprodukować pączka od podstaw do pełnego przybrania” – zapewniał Kosowski w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim”.

ARKADIUSZ MILIK

U Arka można obejrzeć mecz i dobrze zjeść. Wystarczy odwiedzić katowicką restaurację gracza Olympique Marsylia i reprezentacji Polski. Food & Ball, bo tak się nazywa, działa od września 2018 r. w Galerii Libero. Jak czytamy w reklamówce: „To nowe spojrzenie na sztukę kulinarną i koktajlową”. W menu znajdują się m.in. potrawy regionalne. Popularna rolada śląska z kapustą kosztuje 39 zł. Kilka razy do roku w lokalu można spotkać słynnego wychowanka Rozwoju Katowice – podobno staje nawet za barem.



ROBERT LEWANDOWSKI

Podobnie jak na boisku także w biznesie RL9 jest asem. Piłkarz wraz ze sztabem zaufanych ludzi inwestuje w różne rzeczy, od start-upów, przez PR (agencja Stor9), po nieruchomości (LS Investments). Jest współwłaścicielem kliniki sportowej. Wynajmuje apartamenty w Świnoujściu (ApartPark).

Na warszawskiej Ochocie powstała pierwsza inwestycja budowlana finansowana przez „Lewego”. Kapitan reprezentacji Polski wybudował apartamenty, oddane do użytku pod koniec 2017 r. Lewandowski pod marką RL9 sprzedaje napoje izotoniczne i kawę. Piłkarz jest właścicielem gry na smartfony „Lewandowski Euro Star 2016”, która ciągle jest aktualizowana. Zainwestował też w aplikację mobilną służącą do sprzedaży i zakupów odzieży z drugiej ręki.

Najgłośniejszą inwestycją Roberta w ostatnim czasie jest nowa restauracja w Warszawie. Obiekt wykonano z roz-

machem i za ogromne pieniądze. Zajmuje ponad 1,3 tys. mkw. Nazwa Nine's nawiązuje do numeru 9, z jakim gra nasza gwiazda. Lokal zajmuje cztery piętra. Na samym dole mieści się Sports Bar. Ta część lokalu ma najbardziej sportowy charakter. Może pomieścić 115 osób, a kilkanaście zawieszonych na tym poziomie telewizorów pozwala śledzić wydarzenia nie tylko piłkarskie.

W lokalu jest mnóstwo gadżetów związanych z graczem Bayernu lub podarowanych mu przez innych znanych sportowców. Dumnie prezentują się buty, w których strzelił 41. bramkę w ostatnim sezonie Bundesligi i pobił słynny rekord Gerda Müllera. Ale są także narty Kamila Stocha, rękawice Andrzeja Gołoty, złoty medal MŚ Mariusza Wlazłego czy piłka do koszykówki z autografem Marcina Gortata.

Drugie i trzecie piętro zajmuje restauracja, a na czwartym znajduje się Fan Zona z ogromnym telebimem i piłkarską trybuną mieszczącą w trzech rzędach 65 osób. Można w niej oglądać mecze, ale także wynająć całe piętro na specjalne eventy. Przebojem nowego lokalu Roberta Lewandowskiego są bawarskie prele w kształcie numeru 9. Sprzedawane są w specjalnym Pretzel Bar (11 zł). Zwykły schabowy kosztuje 39,90 zł, czyli mniej więcej tyle, ile śląska rolada u Milika w Katowicach.

*Autor jest komentatorem
Polsat Sport*

Kolej dostępniejsza w całej Polsce dzięki wykorzystanym miliardom złotych

Jeśli podróżujemy koleją między Legnicą i Głogowem z Mielca do Dębicy czy z Wrocławia do Jelcza przez Swojczyce, to zawdzięczamy to efektywnemu wykorzystaniu przez PKP Polskie Linie Kolejowe SA miliardów złotych ze środków unijnych. Krótsze czasy podróży pociągami, np. z Warszawy do Trójmiasta, z Krakowa do Katowic lub z Wrocławia do Poznania, to też korzyści uzyskane dzięki inwestycjom z udziałem środków funduszy UE

Blisko 93 proc. programu to inwestycje zakończone i w realizacji, dlatego mamy na blisko 400 stacjach i przystankach m.in. wygodne perony. Wykorzystanie środków unijnych i budżetowych osiągnęło najwyższą wartość w historii PLK. Na podobnym etapie poprzedniej perspektywy zrealizowano wydatki na poziomie 13,7 mld zł. Obecnie zrealizowane inwestycje za ok. 4,5 mld zł służą podróżnym i usprawniły przewóz towarów na ponad 5,5 tys. km nowych torów. PKP Polskie Linie Kolejowe SA efektywnie wykorzystują miliardy środków unijnych i budżetowych, a także są gotowe do ogłaszania przetargów na nową perspektywę.

Ponad 60 nowych przystanków zwiększyło dostępność do kolei w całej Polsce, np. Warszawa Powązki, Kraków Bronowice, Olsztyn Likusy, Wrocław Szczepin oraz Iwiny k. Wrocławia, Parzniew k. Warszawy, Orzechowice na Podlasiu, Szydłów Centrum. Dzięki środkom unijnym i budżetowym mieszkańcy ponad 100 gmin wygodniej podróżują koleją do pracy i szkoły.

Windy, pochylnie, specjalne oznakowania zwiększyły komfort dostępu do kolei. Z rosnącej z roku na rok liczby udogodnień korzystają tysiące podróżnych w dużych miastach i w mniejszych miejscowościach. Zmodernizowano ok. 370 przystanków w ramach KPK. Lepszy dostęp jest szczególnie ważny dla osób o ograniczonych możliwościach poruszania się – ich potrzeby uwzględniają wszystkie inwestycje.



Podróżni coraz częściej wybierają kolej w podróżach miejskich, aglomeracyjnych, regionalnych i dalekobieżnych ze względu na oszczędność czasu i wygodę. Kolej po latach wróciła m.in. na linie: Legnica – Rudna Gwizdanów, Lublin – Łuków, Mielec – Dębica, Wrocław – Jelcz.

Skrócił się czas podróży na trasach: Katowice – Kraków, Wrocław – Poznań, Warszawa – Gdańsk, Wrocław – Gdynia, Poznań – Piła, Olsztyn – Szczytno – Elk. Dobrze przygotowane linie zachęcają do nowych połączeń np. z Lublina do Rzeszowa. Korzystamy już z elektryfikacji linii Lublin – Stalowa Wola i Węglińiec – Zgorzelec.

Dzięki miliardowym inwestycjom na torach zwiększył się poziom bezpieczeństwa. Kierowcy wykorzystują ponad 500 nowych bezkolizyjnych skrzyżowań

i przebudowanych wiaduktów oraz ponad 2 tys. wyposażonych w nowe urządzenia przejazdów kolejowych. Nowe rozwiązania to lepsze warunki życia.

Transport towarowy wykorzystuje przebudowane trasy, np. Toszek Północ – Rudziniec Gliwicki – Stare Koźle, Chybie – Żory – Rybnik – Nędza/Turze, Częstochowa – Chorzew Siemkowice, zelektryfikowane linie Stalowa Wola Rozwadows – Lublin i Węglińiec – Zgorzelec. Wymagały one m.in. nowych urządzeń, mostów i wiaduktów. Środki unijne zostały wykorzystane m.in. na budowach blisko 600 mostów, np. na międzynarodowej trasie Rail Baltica na Bugu, nad Wisłą w Krakowie czy na Sanie na trasie Lublin – Stalowa Wola. Inwestycje w kolejowy transport towarowy to korzyści dla ekologii i wzrost bezpieczeństwa także na drogach.

Jako Polacy stanowimy wspólnotę – gdziekolwiek jesteśmy



O wsparciu dla Polonii i Polaków na Wschodzie, o polskim genie kreatywności i pracowitości, a także o wyjątkowym potencjale Trójmorza z ministrem **Adamem Kwiatkowskim**, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP, pełniącym nadzór merytoryczny nad Biurem Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)

Panie ministrze, w tegorocznym wydaniu „Polskiego Kompas” zwraca pan uwagę na to, że Polski Ład ma szansę okazać się przełomowym programem transformacji gospodarczej. Według założeń będzie to oznaczało nie tylko wyjście z samego kryzysu wywołanego pandemią COVID-19, lecz przede wszystkim przyspieszoną drogę do rzeczywistej zamożności

społecznej. Jak wielokrotnie podkreślał Andrzej Duda, wzrost zamożności polskiego społeczeństwa to najważniejsze dążenie przyświecające jego prezydenturze.

Adam Kwiatkowski: Zważywszy na okoliczności, polski rynek przetrwał ten trudny czas we względnie dobrej kondycji. Jest to opinia wielu niezależnych ekspertów. Złożyło się na to sporo

czynników, począwszy od społecznej polityki polskiego rządu i działań wspierających gospodarkę narodową w kontekście rozwiązań tarczy antykryzysowej, poprzez gwarancje kredytowe, utrzymanie płynności w sektorze bankowym czy prowadzoną politykę pieniężną. Rekordowo niski poziom bezrobocia również mógł odegrać ważną rolę, przez co prognozy wykorzystania im-

pulsu do wzrostu wydają się adekwatne. Program transformacji gospodarczej przy jednoczesnym ukierunkowaniu polityki na wsparcie obywateli i postawienie na pierwszym miejscu człowieka i rodziny pozostaje priorytetem pana prezydenta Andrzeja Dudy.

Obecności i wpływu kryzysu postcovidowego na nasze codzienne życie nie da się bagatelizować, choć wyniki gospodarki w sensie makro są rzeczywiście imponujące. Obserwując polskich przedsiębiorców w kraju i na świecie, poradziliśmy sobie w ostatnim roku? Pamiętam, gdy dawno temu rozmawialiśmy o takim pozytywnym genie polskiego biznesu, dostrzegalnym na całym świecie, gdziekolwiek są Polacy.

Był i jest to wciąż czas pełen wyzwań, który przyniósł nam ewolucję modeli biznesowych oraz nowe spojrzenie na wiele kwestii związanych z globalną konkurencją, transformacją energetyczną czy zaawansowaną cyfryzacją. Wykorzystując potencjał naszego społeczeństwa oraz rosnącą innowacyjność polskich przedsiębiorstw, skutecznie nadrobiamy historyczne ograniczenia dwójkowe związane z poprzednim ustrojem. Należy pamiętać, że obecnie należymy do grona najszybciej rozwijających się państw UE. Odnosząc się do DNA polskiego biznesu, to ten stanowi o kreatywności oraz przede wszystkim o pracowitości, co daje możliwość wykorzystania szans.

Pełni pan nadzór nad Biurem Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą. To daje w rozmowach o polskiej gospodarce i polskim sukcesie nieco inną, szerszą perspektywę. Myślę m.in. o skutkach brexitu i powrocie wielu polskich rodzin z Wielkiej Brytanii. Tam szybko się okazało, że stanowiliśmy niezwykle ważny element gospodarki.

Powracający do kraju są bezcenni dla każdego rynku pracy. Od kilku lat notowaliśmy zmniejszenie się liczby polskich obywateli przebywających w Wielkiej Brytanii. Brexit mógł przyspieszyć i przyspieszył ten proces. Powrót Polaków z czasowej emigracji ma kluczowy wymiar, także wobec napływu obcokrajowców, i pomaga zrównoważyć skutki

spadku odsetka ludzi aktywnych zawodowo. Prezydent Andrzej Duda wielokrotnie podkreślał, że młode pokolenie musi mieć szansę na dobrą pracę w kraju, a nie poza granicami. Dla tych, którzy zdobyli doświadczenie, pracując poza Polską, konieczne staje się stworzenie warunków zachęcających do powrotu.

Pan prezydent podczas swoich podróży zagranicznych i spotkań z naszymi rodakami zawsze powtarza, że Polska na nich czeka i zachęca ich do powrotu do ojczyzny. Mówi, że dąży do przeprowadzenia takich zmian w naszym kraju, aby młodzi ludzie dostrzegli pozytywne aspekty życia w Polsce i zdecydowali się na powrót do niej. To, że jego słowa się realizują, widać choćby na przykładzie powrotów Polaków z Wielkiej Brytanii. Warto jednak dodać, iż powroty naszych rodaków odbywają się z różnych zakątków Europy i świata oraz dotyczą różnych grup wiekowych.

Czy dziś – podobnie jak Polacy na Wschodzie – tu, w Polsce, ważni stają się dla nas imigranci zza wschodniej granicy? Są w Polsce miejsca, gdzie duża część usług uzupełniana jest, żeby nie powiedzieć – wykonywana, świadczona – właściwie tylko dzięki mówiącym po polsku młodym ludziom zza wschodniej granicy.

W olbrzymiej większości przyjeżdżają oni do Polski z powodów ekonomicznych, rzadziej historycznych. Osoby, które pojawiają się na naszym rynku pracy, biorą udział w budowaniu potencjału przedsiębiorstw, w których są zatrudniani. Jedni wykonują rutynowe prace, inni są pracownikami wykwalifikowanymi. Obecnie istnieje wiele wyzwań strukturalnych, z którymi mierzy się cały Stary Kontynent. To m.in. pogłębiający się niż demograficzny i wspomniana już emigracja osób młodych. A dostępność pracowników jest ściśle powiązana z rozwojem gospodarczym Polski.

Chciałbym zapytać o pomoc Polakom na Wschodzie. Myślę o tych ludziach wywiezionych i osiedlonych w Kachetach, na dawnych terenach ZSRR. Dzięki pracy Kancelarii Prezydenta RP udaje się przywracać ich ojczyźnie. Ale nie tylko o repatriację tu chodzi, prawda?

Wielu Polakom przypadł w udziale los emigrantów ze względu na tragiczne dzieje. Prezydent Andrzej Duda podniósł rangę problematyki dotyczącej Polaków żyjących poza krajem do grupy spraw najważniejszych. Powołanie wspomnianego Biura ds. Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą było jedną z pierwszych decyzji pana prezydenta po objęciu urzędu. To pokazuje, jak ważne jest podtrzymywanie i rozwijanie relacji z tymi, którzy są integralną częścią wspólnoty narodowej. Nasi rodacy potrzebują kontaktu z Polską. Odbywa się to w różny sposób, w tym poprzez licznie organizowane przez parę prezydencką akcje pomocowe, które są wyrazem solidarności i wdzięczności za trwanie w polskości naszych rodaków mieszkających za wschodnią granicą.

Współpraca z Fundacją „Pomoc Polakom na Wschodzie” to także sprawienie prowadzone akcje dobroczynno-charytatywne. Akcja „Pomoc Polakom na Wschodzie” była m.in. organizowana pod patronatem pary prezydenckiej w Republice Mołdawii.

Relacje z Polakami za granicą były i są dla prezydenta Andrzeja Dudy zawsze niezwykle istotne. Szczególnie zaś ważne jest, aby Polacy mieszkający na Wschodzie czuli, że rodacy w kraju o nich pamiętają. Pomoc materialna, ale też osobiste spotkania, są wyrazem podziękowania za to, że podtrzymują więź z ojczyzną, że przekazują język, tradycję i kulturę polską kolejnym pokoleniom urodzonym już za granicą. Akcja „Pomoc Polakom na Wschodzie” realizowana jest od 2016 r. pod patronatem pary prezydenckiej. Od początku w przedsięwzięcie angażuje się pani prezydentowa, biorąc w niej osobisty udział.

W tym roku odbyły się już dwie edycje tej akcji, które były skierowane w całości do naszych rodaków w Mołdawii. W jednym z wyjazdów uczestniczyła pierwsza dama. Dzięki współpracy z MSZ, wsparciu Ambasady RP w Kiszyniowie, firm prywatnych oraz organizacji polonijnych i kościelnych transport ponad 34 ton artykułów codziennego użytku trafił do kilku tysięcy Polaków. Jak podkreśla pani prezydentowa, wsparcie to jest z jednej strony wyrazem solidarności Polaków



mieszkających w ojczyźnie z rodakami żyjącymi poza jej granicami, ale przede wszystkim jest wyrazem wdzięczności za trwanie w polskości i pielęgnowanie polskiej kultury i tradycji.

W drugiej połowie grudnia planowana jest jeszcze jedna akcja. Tym razem Kancelaria Prezydenta RP we współpracy z 8. Bazą Lotnictwa Transportowego oraz Ambasadą RP w Tbilisi przygotowuje bożonarodzeniową akcję skierowaną do Polaków mieszkających w Gruzji. W jej ramach, w imieniu pary prezydenckiej, zostaną przekazane naszym rodakom dary w postaci m.in. artykułów spożywczych, szkolnych, chemii gospodarczej, środków czystości, pościeli, kołder czy drobnego sprzętu RTV. Łącznie do Gruzji zawieziemy ok. 3,5 tony różnych artykułów.

Pomoc nie byłaby możliwa bez wsparcia biznesu. Mam wrażenie, że społeczna odpowiedzialność biznesu w czasie pandemii nabrała zupełnie nowego znaczenia, zwłaszcza w przypadku dużych spółek skarbu państwa. Wiem, że współpracujecie z partnerami państwowymi, właśnie by pomagać.

Uwzględnienie interesu społecznego w strategii zarządzania w okresie pandemii wydaje się niezbędne. Potwierdzeniem tego jest reakcja wielu polskich firm, które włączyły się w walkę z COVID-19. Coraz częściej polski biznes podejmuje również aktywne działania na rzecz lokalnych społeczności czy środowiska naturalnego. Dostrzega to także pan prezydent, który w ramach Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP honoruje najlepsze polskie przedsiębiorstwa w kategorii: odpowiedzialny biznes.

Odnosząc się jeszcze do Akcji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, proszę zauważyć, że pomimo pandemii akcja cały czas trwa. A przedsiębiorcy, mimo że sami często znajdowali się w trudnej sytuacji, otworzyli się na potrzeby innych, a liczba zebranych darów przekroczyła nasze najśmielsze oczekiwania.

Ma pan okazję rozmawiać z Polakami za granicą – czy rzeczywiście jest tak,

że stamtąd widać Polskę, ten nasz nieco rozhisteryzowany, rozemocjonowany świątek, zupełnie inaczej? Co mówią Polacy o Polsce?

Osoby te dają nam piękny przykład patriotyzmu. Z odbytych rozmów, niejednokrotnie pełnych emocji i wzruszeń, wylania się przede wszystkim ich olbrzymia troska o sprawy polskie, o naszą przyszłość. Z przejęciem mówią o wspólnej sprawie, o swoich obawach i za te wszystkie wyrazy troski jesteśmy im winni ogromną wdzięczność. Mówią

Ważne jest, aby Polacy mieszkający na Wschodzie czuli, że rodacy w kraju o nich pamiętają. Pomoc materialna, ale też osobiste spotkania, są wyrazem podziękowania za to, że przekazują język, tradycję i kulturę polską kolejnym pokoleniom urodzonym już za granicą

też o swoim przywiązaniu do ojczyzny. Ta więź wyraża się na wiele sposobów, a jednym z nich jest pielęgnowanie języka polskiego i przekazywanie go kolejnym pokoleniom. O tym, że nie są to puste słowa, a młodzież polonijna wspaniale posługuje się językiem ojczystym, mieliśmy okazję przekonać się m.in. podczas pierwszej edycji Konkursu Recytatorskiego „Słowem – Polska”, zainicjowanego przez małżonkę prezydenta. Konkurs ten jest skierowany do uczniów szkół polonijnych i polskich za granicą i ma na celu kształtowanie wrażliwości na piękno języka polskiego, a tym samym wzmacnianie poczucia tożsamości narodowej wśród Polonii i Polaków za granicą.

Od kilku lat prezydent Duda buduje pewien front międzynarodowego konsensusu wokół projektu Trójmorza. To się udaje – BGK tworzy Fundusz

Trójmorza, a wsparcie dla inwestycji, infrastruktury czy wyrównania szans w obrębie 12 państw staje się ważnym elementem dyskusji w Unii. Jak pan ocenia szanse rozwoju tego projektu?

Współpraca w ramach Trójmorza realizowana jest na poziomie prezydenckim, rządowym oraz ekonomiczno-finansowym od 2015 r. Początkowo była wspólnym zamierzeniem prezydenta Polski oraz prezydenta Chorwacji – Kolidindy Grabar-Kitarović, które wynikało z braku realnej spójności gospodarczej, społecznej i politycznej Unii Europejskiej, czego zauważalnym dowodem w obszarze infrastrukturalnym jest wciąż istniejący dysonans między krajami zachodniej części UE a krajami regionu Trójmorza. Podejmowany wysiłek na rzecz zwiększenia niezależności energetycznej i połączeń infrastrukturalnych jest przedsięwzięciem systematycznym, które może wzmocnić bezpieczeństwo całej Europy i Stanów Zjednoczonych. Sprawczość projektu urealnia szansę jego powodzenia oraz ma olbrzymi potencjał – to 112 mln mieszkańców oraz 30 proc. terytorium Unii Europejskiej.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. To w Kancelarii Prezydenta RP szczególnych czas, gdy jeszcze wyraźniej pamiętamy o tych, którzy poza domem, z dala od ojczyzny. Czego życzyłby pan minister Polakom – tu i tam, za granicą, na Wschodzie, na innych kontynentach?

W obecnej sytuacji chyba przede wszystkim będą to życzenia zdrowych i spokojnych świąt. Niech ten czas upłynie Państwu i nam wszystkim w radosnej atmosferze, w gronie najbliższych. Niech będzie wytchnieniem od codziennych trosk i problemów. W ten wyjątkowy świąteczny czas, pełen refleksji, będąc z dala od Polski, często myślą i sercem wraca się do rodzinnych stron. Życzę Państwu, aby to poczucie jedności z ojczyzną towarzyszyło Wam każdego dnia i dawało inspirację do działania dla jej dobra. A dzieląc się opłatkiem przy wigilijnym stole – niezależnie od tego, gdzie znajdujemy się na świecie – pamiętajmy, że stanowimy wspólnotę.

Karp i cała reszta

Ryba na wigilii być musi. Ichthys (po starogrecku oznacza właśnie rybę, a słowo to tworzą pierwsze litery z: Jezus Chrystus Boga Syn Zbawiciel, Iesus Kristus Theou Uios Soter. Poza tym po zmartwychwstaniu właśnie ryba, pieczona, była ponoć pierwszym posiłkiem Chrystusa. Tak przynajmniej podaje w Ewangelii święty Łukasz



GĘSTA ZUPA RYBNA

Potrzebujesz dużego pora, selera, 2–3 pietruszek, cebuli, 2–3 ząbków czosnku – ugotuj na nich bulion doprawiony listkiem bobkowym i zielen angielskim oraz kilkoma kulkami pieprzu. Rybę – po pół kilograma miruny, sandacza i łososa, ale mogą być inne, na przykład dorsz, morskusz, okonie – kroimy na kawałki, usuwamy ości i smażymy na maśle klarowanym. Kawałki przekładamy na talerz, a na tłuszcz wrzucamy startą marchewkę, pietruszkę, pokrojony cieniutki por, poszatkowane żółtą i czerwoną paprykę i podsmażamy kilka minut. Wyjmujemy gotowane warzywa z wywaru i miksujemy, a do garnka przekładamy rybę i podsmażone warzywa. Zaprawiamy przecierem pomidorowym, najlepiej własnej roboty, kaparami, pokrojonymi w plasterki ogórkami kwaszonymi i zmiksowanymi warzywami. Sól i pieprz zostawiamy na koniec – najpierw zobaczymy, jak smakuje bez dodatków. Podajemy skropioną olejem sezamowym z dużą ilością kopru lub natki pietruszki. Można ją udekorować plasterkiem cytryny.

W odróżnieniu od czerwonego mięsa, którym zjadali się bogacze, ryba uchodziła za pożywienie chude, mniej pożywne, biedne. Jedzenie takiego posiłku było równoznaczne z zachowywaniem wstrzemięźliwości czy wręcz umartwianiem ciała.

TO MÓGŁ BYĆ ON

Jakie ryby jadali pierwsi chrześcijanie? Najpewniej słodkowodne, bo te były w Rzymie – szczególnie po edykcji cesarza Dioklecjana z 301 r., który regulował ich cenę – dostępne dla najmniej zamożnych mieszkańców miasta.

Potwierdzają to badania brytyjskich archeologów, którzy dokonali oględzin kości wyznawców Jezusa w podziemnych cmentarzach przy Via Appia. W tych katakumbach pod Rzymem, datowanych na II w., w tajemnicy spotykali się, by uczcić pamięć pomordowanych w czasie prześladowań współwyznawców, a także byli grzebani.

Czy tymi rybami mogły być karpie? To możliwe, bo z rodzinnych stron nad Morzem Kaspijskim i we wschodniej Anatolii szany – jak nazywamy dzikie karpie – „popłynęły” nie tylko do Europy, lecz nawet do Chin (tu właśnie zostały udomowione) i Japonii (gdzie są czczone i podziwiane za piękny kształt i grację, z jaką pływają), a stawy hodowlane zakładano już kilka tysięcy lat p.n.e. w Grecji. Rzymianie, zafascynowani kulturą helleńską, z pewnością także wiedzieli, jak zasilać je wodą z rzek i morza, a o karpach pisał Pliniusz Starszy w swojej „Historii naturalnej”.

W świecie chrześcijańskim resztę roboty wykonali zakonnicy, którzy budowali stawy przy klasztorach. W Polsce zawdzięczamy je cystersom. Zakonnicy przybyli do nas z Francji i Niemiec (właśnie niemiecka mniszka, święta Hildegarda z Bingen, zachwalała karpia i pouczała, jak go przygotowywać, żeby nie miał mulistego posmaku. Wystarczyło wymoczyć go w mleku, obłożyć plastrami

cebuli i skropić cytryną). Zaczęli zakładać hodowle w XII w. w miejscach ciepłych, pagórkowatych, żeby wykorzystać rzeźbę terenu i klimat sprzyjający kopaniu przy rzekach sztucznych zbiorników. Wiele z nich przetrwało do dziś – znajdują się w okolicach Milicza, Przygodzic, Oświęcimia, w Zatorze i Gołyszu.

Zakonnicy znali się na hodowli ryb słodkowodnych jak mało kto. Dlaczego? Bo karpiove mięso, tłuste, białe i delikatne, można było jeść w czasie rozlicznych postów. A ponieważ mięsa zwierząt lądowych nie można było jeść w sumie przez ponad pół roku, stawy rybne rozkwiły, a karpie były popularne nie tylko w czasie świąt Bożego Narodzenia. Z pewnością nie z powodu niezwykłego smaku, a w każdym razie nie tylko. Za nieprzestrzeganie nakazu poszczenia dotkliwie karano, można było nawet stracić zęby.

MAGIA ŻŁOTEJ ŁUSKI

Zasłużenie czy nie królem wigilii jest u nas karp i to jego suchą łuskę chowamy do portfela, licząc na midasowe bogactwa w przyszłym roku. W tym roku jednak ceny tego symbolu świąt poszybowały w górę tak, że warto się zastanowić, czy nie lepiej skosztować innej ryby. Mniej tłustej, polującej, a nie opychającej się w zatłoczonym basenie paszą z kukurydzy, bardziej umięśnionej. A przy okazji nie mniej tradycyjnej. Bo przecież sandace czy węgorze jadano od dawien dawna, podobnie jak okonie, szczupaki, dorsze, pstrągi czy łosose, o linach, płociach, leszczach czy sielawach nie wspominając. Na Kaszubach jeszcze przed wojną była tradycja łowienia ryb w wigilijny poranek i raczej nie były to karpie.

Zawrotną bożonarodzeniową karierę zrobiły dopiero w czasach Centrali Rybnej, głównie dlatego, że Polski nie było stać na sprowadzanie „zachodnich” ryb, a karpia hodować było łatwo i stosunkowo tanio, bo z jedzeniem nie wybrzydzał i rósł szybko. No i gwarantował zadowolenie narodu. Pamiętam te czasy, kiedy niosło się biedaka ze sklepu jak trofeum. Był karp, święta mogły się odbyć.

U mnie w domu smakoszem karpia jest tylko tata. Z ich powodu stać go na największe poświęcenie, czyli oderwanie się od książki i ustawienie w kolejce. Tylko on je wybiera, a potem sprawnie filetuje lepiej niż niejeden japoński mistrz. I tak

MARYNOWANY SZCZUPAK, MIĘTUS, ŚLEDŹ

Rybę (ok. 1,5 kg) sprawiamy i kroimy na dzwonka, a te jeszcze na połówki; na łbach można ugotować bulion do zupy rybnej. Robimy marynatę – zagotowujemy 2 szklanki octu z połową szklanki wody, kawałkiem cynamonu, 2–3 goździkami, 4–5 kulkami ziela angielskiego, szczyptą cukru i łyżeczką soli. Można też do marynaty dorzucić poszatkowaną cebulę. Studzimy, a w tym czasie skrapiamy mięso cytryną, solimy, obtaczamy w bułce tartej, i smażymy na oleju i odsączamy z nadmiaru tłuszczu na kuchennym ręczniku, a potem układamy warstwami w kamiennym naczyniu, przekładając albo ziołami: majerankiem, estragonem, rozmarynem, albo cebulą z marynaty, albo jednym i drugim. Zalewamy octem i wstawiamy do lodówki. Muszą się kilka dni przegryźć. Moc zalewy każdy sobie reguluje według własnego smaku.



naprawdę wyłącznie z myślą o nim mama smaży w Wigilię tę rybę. Robi to świetnie, ale ja nie lubię nawet zapachu smażeniny. Wolę oglądać karpie pływające w stawie, podobnie jak Japończycy. Są piękne, majestatyczne, potrafią rozpoznawać osobę, która je karmi i zaprzyjaźnić się z nią do tego stopnia, że dają się głaskać po pletwie grzbietowej.

NATURALNE SMAKI

W tym roku zadowolę się porcją pysznego łososia, którego zresztą jemy często, nie tylko od święta. Zazwyczaj po prostu go pieczemy albo robimy pyszną pastę z wędzonego mięsa. Genialny przepis dostałam od mojej ciotki. Na surowego łososia z czosnkiem. Polecam, bo mięso traci rybi posmak, a czosnek siłą rażenia. Jednym słowem – połączenie doskonałe.

Hitem może też być śledź, którego w Polsce robi się na setki sposobów. Pieczony, nadziany maselkiem czosnkowym z pietruszką jest daniem bardzo prostym i wyjątkowo smacznym. Trzeba tylko zdobyć świeżą, a nie soloną rybę. Moim faworytem jest matjas po skandynawsku,

moczony najpierw dwie–trzy godziny w lodowatej wodzie, a potem w słodkiej zalewie octowej z mnóstwem marchewki i cebuli. Samo przygotowanie trwa tylko kilkanaście minut. Tyle, ile potrzeba na poszatkowanie warzyw i wymieszanie przegotowanej wody z octem (w proporcji 1:3), cukrem (szklanka), kilkoma listkami laurowymi i kulkami ziela angielskiego. Trzeba tylko uważać, żeby nie zalać ryby za gorącą zalewą, bo mięso straci jędrność. Z takiego śledzia wychodzą też genialne rolmopsy z kwaszonym ogórkiem i francuską musztardą w środku.

Podobnie jest z pstrągiem – ma delikatne, słodkawe mięso, które nie potrzebuje wielu zabiegów, by zadowolić nawet wybrednych smakoszy: trochę czosnku, cytryny, pietruszki, masła. Żeby jednak móc docenić tę rybę, warto znaleźć w okolicy hodowcę lub gospodarstwo rybackie i kupić ją bez „pomocy” pośredników.

Dorsz. Wychowana w czasach, gdy ryby kupowało się zmróżone i skute głazurą, nie ceniliśmy go kompletnie. Ale też – muszę przyznać lojalnie – nie jadłam dobrego dorsza przez dwadzieścia kilka pierwszych lat życia. Wszystko zmieniło



TATAR Z SUROWEGO ŁOSOSIA

Ładny płat świeżej ryby kroimy w paski grubości palca. Miazdymy kilka ząbków czosnku (nie żałujemy). Układamy warstwami w ładnym słoiku, podsypując solą i podlewając olejem. Ubijamy, żeby był dobrze przykryty olejem. Wstawiamy na kilka dni do lodówki. Podajemy w słoju na stół. Doskonale smakuje z pieczonymi ziemniakami lub bagietką.



PIECZONY DORSZ

Płaty dorsza nacieramy solą ziołową i układamy na plastrach cebuli na kawałku folii aluminiowej tak dużym, żeby można go było zamknąć od góry. Na każdy kawałek wykładamy podsmażone na patelni warzywa: poszatowane porę, starte na jarzynowej tarce marchewki i pietruszki. Można podlać rybę domowym sosem pomidorowym. Zamykamy folię i wkładamy dorsze do piekarnika nagrzanego do 180 st. na 30–40 min.



się pewnej nocy, gdy ciotka (ta sama, która robi świetnego łososia na surowo) pokazała mi, jak przyrządzić tę rybę. Po prostu obłożyła ją plasterkami cebuli i cytryny, posoliła i popieprzyła. Tyle. Jak dla mnie na tym daniu kolacja wigilijna mogłaby się zakończyć, ale wiem, że to niemożliwe. Brakuje bowiem zupy.

Tradycyjnie stawiam barszcz czerwony i dokwaszam go własnym kwasem

buraczanym, który robię w lecie i trzymam w garażu przerobionym na spiżarnię. Ale kusi mnie w tym roku zupa rybna. Najlepiej wykwiniony rosół z węgorza, albo moja wersja soljanki, pysznej zupy, której rodowód sięga Ukrainy czy Gruzji. Węgorz to prawdziwy luksus. Kosztuje tyle, co polędwica wołowa. Ale raz do roku można zaszaleć. Wybitna ryba, o charakterystycznym smaku i zapachu. Wędzona nie ma sobie równych. W mojej rodzinie otaczana wyjątkowym szacunkiem, zwłaszcza że tata mało nie przyplącił życiem nocnej wyprawy pontonem w czasach, gdy jeszcze namiętnie łowił. Soljankę natomiast zrobisz z różnych ryb. Tę, którą mam na te święta, ugotowałam z miruny, sandacza i łososia. Wywar można nagotować na korpusach karpia, jeśli robicie go w galarecie, ale ja przygotowuję bulion z białych warzyw – i do rosółu z węgorza, i do soljanki. ▲

Anna Monicka



ROSÓŁ Z WĘGORZA

Gotujemy wywar z przesmażonych wcześniej na maśle klarowanym białych warzyw startych na grubej tarce, nie żalujemy zwłaszcza pietruszki. Gdy dobrze naciągnie, wkładamy delikatnie do wrzącego wywaru, pokrojonego w plastry grubości palca, węgorza bez skóry. Zupa ma delikatnie „mrugać”, a nie mocno się gotować, dopóki mięso nie będzie miękkie. Pół godziny powinno wystarczyć. Jeśli chcemy mieć czystą zupę, delikatnie wyjmujemy rybę, a rosół przecedzamy. Doprawiamy solą i pieprzem, na każdym talerzu układamy po kawałku węgorza i zalewamy bulionem. Ale można też jeść ją z warzywami. Pamiętajcie o posypaniu zieleniną.

ZAPIEKANKA Z ANCHOIS

10 ziemniaków obierz i pokrój w cienkie paski. Dwie cebule obierz i pokrój w piórka. Do garnka wlej po 250 ml śmietany 30 proc. i mleka, wsyp pokrojone ziemniaki i cebulę, wszystko dobrze wymieszaj i podgrzej do zagotowania, cały czas mieszając, żeby się nie przypaliło. Dodaj puszkę posiekanych korzennych anchois z zalewą, dopraw do smaku solą i pieprzem. Przełóż do naczynia żaroodpornego i piecz ok. 1,5 godz. w 150 st.



WYKORZYSTAŁAM: pl.aletea.org, niedziela.pl, wilanow-palac.pl. Przepisy na śledzia w słodkiej zalewie octowej oraz zapiekankę ziemniaczaną zwaną pokusą Janssona od Michała Godynia, szefa kuchni Ambasady Szwecji w Polsce

Ambasador Węgier w Polsce Orsolya Zsuzsanna Kovács poleca przepis na węgierskie ciasto świąteczne



Bejgli, czyli rodzaj zawijańca makowego lub orzechowego, to tradycyjne węgierskie ciasto bożonarodzeniowe. Przygotowywane jest z makiem, orzechami lub nadzieniem z kasztanów. Według ludowych wierzeń orzechy należy spożywać w celu odpędzania złych uroków, a mak przynosi dostatek do domu. Ciasto na bejgli jest – podobnie jak ciasto drożdżowe na zawijańce – wyrabiane z zaczynem z drożdży i mleka

Bejgli makowo-orzechowe

Składniki na ciasto: 60 dkg mąki, 30 dkg gotowanych i przeciśniętych przez praskę ziemniaków, 25 dkg margaryny, szczypta soli, 100 ml śmietany, na zaczyn 100 ml ciepłego mleka i 1 dkg świeżych drożdży.

Składniki na nadzienie: 60 dkg maku lub orzechów, 20 dkg cukru (smak można wzbogacić, dodając do cukru skórkę cytrynową lub pomarańczową, rodzyнки, cukier waniliowy lub rum).

Zmieszać wszystkie składniki i wyrobić ciasto, podzielić na trzy części. Aby przygotować nadzienie, należy zagotować cukier w niewielkiej ilości wody, wymieszać z dodatkami i podzielić również na trzy części. Na rozwałkowane ciasto wyłożyć masę i zawinąć. Wyłożyć na wysmarowaną tłuszczem blachę, posmarować żółtkiem, odstawić na pół godziny w chłodne miejsce bez przykrycia, a następnie posmarować po raz drugi żółtkiem. Piec w nagrzanym piekarniku w temperaturze 180°C przez 45 minut.

Nadzienie kasztanowe na dwa rulony: do dwóch półkilogramowych opakowań słodkiej masy kasztanowej dodać ok. 6 dkg miękkiego masła, 3 żółtka, 2 opakowania cukru waniliowego, do smaku cukru i odrobinę rumu lub aromatu rumowego. Wymieszać do uzyskania puszystej masy, rozsmarować na rozwałkowanym cieście i zwinąć w rulon.

Smacznego!





Przedostatnia Gwiazdka

I znów mamy święta! Najpiękniejsze w roku święta Bożego Narodzenia. Dla mnie najważniejsza jest rodzina i praca. Ta ostatnia to moja niekończąca się modlitwa. Modłę się, jadąc przez Polskę, podpisując książkę i płyty. Gdy mijam kolejną, pobieloną wapnem kapliczkę z Matką Boską – żegnam się – to już odruch. Za mną, widzę to w lusterku mego auta, pozostały jesienne, ubrudzone nostalgią, zamglone pejzaże Mazowsza. Na telegraficznych słupach śpią opustoszałe bocianie gniazda, sklecone z brązowo-szarych badyli, które pracowite boćki przetransportowały z lasów i łąk. Wiara – myślę – cóż oznacza to słowo? I dlaczego jest niezbędna człowiekowi? Kto dziś jeszcze składa dłonie do pacierza, przyjmuje komunię świętą, postanawia wziąć kościelny ślub, odmawia pokutę? Są nas miliony. Wiara, zapewne w jakiejś mierze, pozwala człowiekowi zbliżyć się do prawdy. O sobie samym, o świecie, a nawet – o kosmosie. Wiara stawia nas w pionie. Jesteśmy pyłem – powtarzam od lat. Zaledwie drobiną we wszechświecie. Za sekundę, dzień, miesiąc, rok znikniemy i nikt tego nie spostrzeże – może poza najbliższymi. Telefon, który dotąd milczał, rozdzwoni się. Za późno! Czy komukolwiek przyjdzie do głowy, że nawalił, zapomniał swoją bratnią duszę, stał się patentowym egocentrykiem?

Coraz częściej łapię się na tym, że nie spotykam dawnych znajomych na mieście. Nie ma już moich przyjaciół i wypróbowanych kumpi: Ryszarda Snarskiego z Montrealu, Gerarda Kunkla z Rhode Island, kilku tuzinów artystów ze środowiska poetów, kompozytorów, solistów, najbliższych. Niedawno odszedł Stephen Sondheim – genialny twórca musicali, w tym dwóch arcydzieł

*W święta Bożego
Narodzenia
przypominamy sobie,
kim jesteśmy. Ile w nas
mieszka dobra i zła.
Ciągłe zbliżamy się do
prawdy o sobie samych*



**KRZYSZTOF LOGAN
TOMASZEWSKI**

„Maria” i „Somewhere” z „West Side Story”. Bym zdołał wszystkich wymienić – potrzebowałbym kilku stronic. A jednak wymienię tych najzdolniejszych: Czesława Niemena, Marka Grechutę, Dela Shannona, Roya Orbisona, Scotta Walkera. Moich Matkę i Ojca.

Pan Bóg jest jeden. On wystawia nas na próbę każdego dnia. Musimy nieustannie się doskonalić, próbować „być”, nie zaś „mieć”. Pisali, przypominając o tym w swoich dziełach wybitni filozofowie, dramaturdzy, poeci i pisarze. O tym, jak jesteśmy pazerni na władzę, ile w nas tkwi nienawiści, zazdrości, obojętności, obłudy. Dziś to Boże Narodzenie przypomina ludziom, co oznacza mieć serce, czym jest miłość, przyjaźń, życzliwość i moralność. Że warto kochać nie przez chwilę ani przez

jeden dzień, lecz naprawdę. Jest nadzieja, że pomyślimy o innych istotach nieco dłużej. Lecz czy współczesny człowiek chce i co najważniejsze potrafi jeszcze o tym wszystkim pamiętać w wirze walki o miskę stawy – o przetrwanie? Czy bezrozumny i obsesyjny pęd ludzi zamkniętych w plastikowych mustangach, doznających nocnych majaków o fortunach w kasynach Las Vegas i Monte Carlo, odwiedzających domy schadzek w Soho i Tajlandii, ustawionych w kolejkach pod sklepami w miniony black friday, nie jest dowodem krótkowzroczności człowieka i naszego całkowitego upadku? Powiem lapidarnie: zagubiliśmy się. Stoimy pod murem samooszustwa i obeszładniającej chciwości, nasza pazerność na technologiczne gadżety to zaś największe złudzenie ludzkości! Przypominają mi się w tym miejscu słowa mędrca sprzed setek lat: „Zbierasz to, co zasiałeś”.

Które to już moje święta? Siedemdziesiąte szóste. Jakie będą? Czy znów przeżyte w obeszładniającej samotności? A może jednak takie, jak sprzed 65 lat, które ciągle chodzą mi po głowie. Piękne, rodzinne – mimo kurczącej się pamięci starego człowieka – święta Bożego Narodzenia i Gwiazdka roku 1955 w fińskim domku u cioci Lali i wuja Wiesia w Warszawie. Ciągłe mam w oczach zaparowaną szybę, przez którą spogląda ciocia Lala z kokiem na głowie, i stale słyszę ten śpiewny głos: „Tak, wchodźcie, wchodźcie!”. Gdzieś z tyłu ujada pies, wchodzimy do sieni, a tu zapelniony nakryciami wieszak, a pod nim pół tuzina małych zimowych butów dzieci i wielkich – dorosłych. Jest jeszcze coś, czego nigdy nie zapomnę: zapach polskiej choinki i obraz prostokątnego stołu przykrytego śnieżnobiałym obrusem oraz przygotowanymi

przez ciocię wigilijnymi przysmakami na czele z barszczykiem z uszkami oraz karpem z dodatkiem chrzanu.

My, chrześcijanie, obchodzimy święta nieomal na całym świecie. W Europie, mimo że szczególnie nas tu zwalczają, w Ameryce, Australii, Indonezji, nawet w Chinach. Otwieram atlas świata. Gdzie nas nie ma? Jesteśmy w Amarillo w północno-zachodniej części Teksasu, na Wyspach Cooka na południowym Oceanie Spokojnym, na Fidzi, Kiribati, Samoa... Czyjaś dłoń zawiesza bombki na zielonym drzewku pięć tysięcy mil stąd, a następnie układa pod nim prezenty zapakowane w błyszczący kolorowy papier, podpisuje imiona najbliższych członków rodziny. Gdy nadszedł ten szczególny moment. Wyjątkowo radosny, pastelowy, jedyny w roku.

Sławomir Stoczyński, małżonek ambasador RP w Indonezji i mój serdeczny przyjaciel z Konstancina, pisze: „W sumie chrześcijan w Indonezji jest 10 proc. To oznacza, że jest nas (ich) 28 mln. Czyli tyłu chrześcijan nie ma w wielu państwach europejskich. W rządzie są ministrowie chrześcijanie. Pracująca w naszym domu Ibu (Pani Matka) Whati jest muzułmanką. Ale kiedy odkurza nasze chrześcijańskie obrazy Chrystusa i Maryi, czyni to z szacunkiem, starannością, wręcz z pietyzmem. Timor Wschodni, nowe państwo, które jeszcze 20 lat temu było częścią Indonezji, jest najbardziej katolickim państwem na świecie. Religie tę przynieśli Portugalczycy, którzy są tu nadal szczerze kochani. Wielu spośród Indonezyjczyków chińskiego pochodzenia wyznaje chrześcijaństwo. Są oni tutaj najbogatszą częścią społeczeństwa. Wyznawcy islamu chcą tu oczywiście dominować, ale nie ma zgody na prześladowanie chrześcijan. I poza zupełnie incydentalnymi przypadkami, które są absolutnym marginesem, obecnie prześladowania chrześcijan tu nie ma”.

Spoglądam przez szybę na mój ogród. Po lekko uniesionych do góry gałęziach świerków coś przemyka. To wiewiórka. Hop! Hop! Hop! Z gałązki na gałązkę. Coraz skromniejsze słońce z wyraźnym trudem układa jasne smugi między zrzuconymi konarami modrzewia. Ustawiam ramię z igłą mego scouta na przepięknej płycie winylowej z Shirley Bassey. Od paru dni chodzi za mną ta



Boże Narodzenie 1955 r. Rodzina na drewnianych schodkach przed fińskim domkiem. Stoje pierwszy od lewej w dolnym rzędzie w krawacie. Na samej górze moja Mama Zofia, obok Ojciec – Bohdan Tomaszewski

jedna, jedyna ballada napisana przez Harrisa Bromleya „The way a woman loves” (Sposób, w jaki kocha kobieta). Jest w tej interpretacji doza czułości i łagodności, perfekcja i ekspresja wokalna wielkiej solistki, mądre strofy wiersza. Zaraz po niej diamentowa igła gramofonu odtwarza „Love” Johna Lennona, o tym, że miłość jest dotykiem.

Uzmysławiam sobie, że niemal każda żywa istota: człowiek, pies, kot, goryl, ptak, nawet motyl, potrzebuje dotyku, odrobiny zainteresowania, czułości. Moi stali jesienni goście – motyle, które od lat upodobały sobie mój strych, wleciały w nicność. Ostatniego pawika, z namalowanymi przez naturę czarnymi skrzydłami, z akcentami pomarańczowych kółeczek na brzegach, odnalazłem onegdaj w mojej sypialni przy gramofonie. Gdy kilka godzin później powróciłem do domu i zacząłem poszukiwania – zniknął. Po paru minutach odnalazłem go na strychu. Co sprawiło, że resztką sił wleciał kilkanaście metrów w górę na drugie piętro i przycupnął tam, gdzie na drodze stanęły sosnowe drzwi?

Zadne prawo, najdoskonalsza zasada, sprawdzona filozofia, zakazy nie wygrają z ludzką naturą. W święta Bożego Narodzenia przypominamy sobie, kim jesteśmy. Ile w nas mieszka dobra i zła. Jak jesteśmy ułomni. Dlaczego tak daleko nam

do ideału – wymarzonej doskonałości. Ciągłe zbliżamy się do prawdy o sobie samych. Zmagając się z nią na co dzień – sprytnie odsuwamy ją. „Okrucieństwo – pisał Sándor Márai – to wielka tajemnica człowieka”. Dlaczego jesteśmy okrutni? Dlaczego człowiek buduje cyrki dla swych ofiar? Od czego chce się uwolnić? Co przez to chce załatwić?”

W tę przedostatnią Gwiazdkę, bo Bóg jedyny wie, czy następna nie będzie ostatnią, przychodzą mi do głowy sceny z tysięcy rozsianych po świecie szpitali. Przyjaciół Marek C., który zaraził się covidem w polskim szpitalu, opisał mi wstrząsającą scenę ze swego w nim pobytu. Opowiedział o leżących na korytarzach, pozbawionych kontaktu z rodziną chorych, zdanych na samotność, zdanych na cud!

Przedostatnia Gwiazdka to czas najpiękniejszych świąt. Zatem pamiętajmy o chorych w szpitalach i hospicjach. O ludziach, którym brakuje czyjegós dotyku. Prawdziwej miłości. Chwała lekarzom i pielęgniarkom za walkę o ich wyzdrowienie. Bohaterowie są zmęczeni. Świat znalazł się na krawędzi.

Życzę czytelnikom „Sieci” zdrowych, wesółych, rodzinnych świąt. Z psem, kotem, przy kaflowym piecu i kolędach. Bliżej siebie. Z Dekalogiem i z Panem Bogiem.



ROBERT TEKIELI

Trudno dostrzec Zbawiciela w noworodku z Betlejem. Trudno też było zobaczyć Jego zwycięstwo, gdy konał na krzyżu. Ale dwa dni później przyniósł wszystkim ludziom nadzieję. Również Kasi, którą poznałem kilka lat temu, gdy budziła się w szpitalu psychiatrycznym z myślą, że mąż zastanawia się nad rozwodem, bo stała się nieprzewidywalna. Dziecko, które wcześniej chciała uchronić przed życiem z kimś tak bezwartościowym jak ona. Nachodziły ją bowiem myśli, by popełnić samobójstwo i zabić synka. A historia zaczęła się niby niewinnie. Z ciekawości poszła z matką do wiejskiej baby. Pół dioptrii to był tylko pretekst. Ale zrobiła wszystko, co wiedźma, czyli kobieta, która wie, zalecała jej po wizycie. Jajko, które otaczane było wokół jej głowy, wyrzuciła o północy na rozstaju dróg. Jakkolwiek śmiesznie to wtedy wyglądało. Po jakimś czasie częścią jej życia stał się niepokój. Jako nastolatka przybrała na wadze i doszła do wniosku, że nigdy nie znajdzie męża. Na przystanku tramwajowym, z torbami z hipermarketu w rękach zwróciła się do szatana o pomoc. I nic się nie wydarzyło.

Po wielu latach lęk wrócił. Miała już męża i syna. Napady paniki, które się wtedy pojawiały, były tak porażające, że gdy dopadały ją na otwartej przestrzeni, musiała kucać. Skończyło się w szpitalu. Całe życie marzyła o mężu

i dzieciach. Doszła do wniosku, że na pewno ich straci. Poczula, że została pozbawiona absolutnie wszystkiego, co było dla niej ważne. I na samym dnie tego poniżenia spotkała Boga. Podniósł ją. Uwierzyła. Wróciła do normalnego życia. Modlitwa i zaufanie sprawiły, że tak mocno pozwałała Bogu działać w swoim życiu, że w krótkim czasie poznała Kościół, o którym wcześniej nie miała zielonego pojęcia, i nawrócił się jej mąż. Ale wcześniej jeszcze miał miejsce mały cud. Otóż Kasi zaczęła po wyjściu ze szpitala bardzo przeszkadzać antykoncepcja, którą dotychczas stosowali jak wszyscy. Nie miała jeszcze żadnej wiedzy na temat stosunku Kościoła do niej. Ale dyskomfort, którego źródła nie mogła ustalić, sprawił, że zdecydowała na odrzucenie nienaturalnych metod. I co więcej, w bardzo łagodny sposób przekonała do ich odrzucenia swego męża. Zobaczyła to subtelne zło.

Piotr kradł i bił od 13. roku życia. Zabił, gdy miał 19 lat. Dostał dożywocie. W więzieniu podpalał, dewastował, kaleczył siebie. Pewnej nocy w celi, pobity przez strażników, w brudzie, we krwi, leżąc na gołym cementcie, zawył. Do Boga. Pierwszy raz w życiu. Po roku chodził do szkoły, zrobił maturę. Po trzech latach w zakładzie o mniej ostrym rygorze zaczął korespondować z dziewczyną. Zakochała się w nim. Gdy skończyła 18 lat, wzięli ślub. Pięć lat trwały starania o ułaskawienie. Cztery razy podania były odrzucane. Ale w tamtej celi na gołym betonie w jego sercu pojawiła się nadzieja. I wiele, co od tego dnia zaczęło się dziać w jego życiu, tę nadzieję podtrzymywało. Piąte podanie spotkało się z życzliwością prezydenta. A i Piotr był wtedy zupełnie już innym człowiekiem. Dziś

ma drukarnię, zatrudnia byłych więźniów. Pomaga. I pomagając, nie boi się czasami zostać frajerem. Jedyne nawet w upały chodzi zapięty pod szyję. Nie wszyscy mogliby zrozumieć to, że cały jest wytatuowany. Boi się tylko jednego. Jak synowi powie, że jest mordercą.

Niczego poza śmiercią nie widział w swoim życiu również Leszek. Jego historia zaczęła się od samotności w rodzinie. Trzynastolatek wyrażał swój bunt poprzez branie ciężkich narkotyków, słuchanie muzyki satanistycznej i „zabawy” z zabijaniem zwierząt. I w pewnym momencie zaczął odczuwać przerażającą obecność. Obok? Wewnątrz? Wziął się z tym długo, ale w pewnym momencie okazało się, że również jego dwaj kumple mają tak samo. Odetchnęli na chwilę: nie są wariatami. Ale obecność zaczęła eskalować dręczenie. Był taki tydzień, że byli świadkami sześciu wypadków z ofiarami śmiertelnymi. Dręczenie było jakby ukierunkowane, kierowało Leszka ku kartom tarota. Kiedy wziął je do ręki, ustało. Wewnętrzny głos wprowadzał go w duchowość. Stawał się magiem, świadomym satanistą. W czasie jednego z transów przypadkiem tylko nie zamordował przyjaciela. Gdy wszedł kiedyś na pole namiotowe, młodzi ludzie zobaczyli coś tak potwornego, że kilkanaście osób uciekło, a reszta zaszyła się do rana w namiotach. Leszek zatrzymał się na tej drodze. Miała miejsce nad nim modlitwa o uwolnienie. Dziś pomaga ludziom wychodzić z różnych uzależnień. Nadzieja, której się chwycił, przyszła pod postacią uwolnienia od ciągłego cierpienia związanego z obecnością zła w jego duszy. Chwycił się tej nadziei i nie puścił jej do dziś. Zło ma krótkie szpony.

3 MIŁOŚCI

Zawsze jest nadzieja

WOJNA

CYWILIZACJI



POPKULTURA

Warte Być może nowe produkcje zanurzone w uniwersum „Gwiezdnych wojen” interesują jedynie fanów, ale jest ich tak wielu, że warto parę słów o nich napisać. Już 29 grudnia na platformie Disney+ pojawi się kolejny spin-off „Star Wars” – „*The Book of Boba Fett*”. Będzie opowiadał historię międzygwiazdowego łowcy głów, przyjmującego zlecenia od tych, którzy zaoferują mu najlepsze wynagrodzenie. Zainteresowani serialami rozwijającymi historie drugoplanowych bohaterów głównej serii czekają również na trzeci sezon „*The Mandalorian*”. Premiera zapowiadana jest na początek 2022 r. Tutaj główną postacią jest inny zabójca o imieniu Dyn Jarrin, który pod maską zimnego zawodowca kryje twarz człowieka z zasadami, jak nie przymierzając Leon Zawodowiec. Co prawda twarz Pedra Pascala skrytą za hełmem widzimy na ekranie bardzo rzadko, ale ten akurat gatunek rozrywki nie wymaga, by aktorzy wywodzili się ze szkoły Stanisławskiego. W skali od 1 do 10 dwóm dotychczasowym seriom „*The Mandalorian*” dałbym notę pomiędzy 6 a 7, więc być może kolejne sezony będą również warte obejrzenia. W Polsce Disney+ jeszcze nie działa, ale bez problemu można się łączyć przez serwery w krajach, w których ta platforma jest dostępna. Oczywiście, jak zawsze, mamy jeszcze jedno rozwiązanie, ale nie wypada o nim mówić oficjalnie.

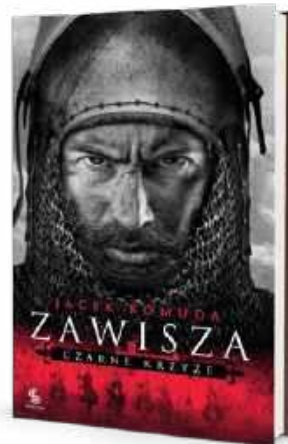


POPKULTURA

Niewarte Z innych nowości nie dajcie się nabrać na „komediowy” serial „*Harlem*”, którym zgrzeszył Amazon Prime Video. Znany z girlsbandów schemat: cztery przyjaciółki i ich plastikowe relacje. Do tego nachalne odwołanie do „Seksu w wielkim mieście”. Poprawność polityczna i zwykła głupota w świecie, w którym sukces

może odnieść aplikacja randkowa dla ciemnoskórych osób queer. Sądzę jednak, że na planie serialu wszyscy dobrze się bawili.

Warte Nowa książka Jacka Komudy zatytułowana „*Zawisza. Czarne krzyże*” przenosi czytelnika do XV w., w czas wojny z zakonem krzyżackim. Komuda historyk w doskonały sposób współpracuje z Komudą pisarzem. Opowieść o losach rycerza, którego słowo więcej ważyło niż prawo, toczy się w wiarygodnych realiach, jest doskonale skonstruowana i sprowadza na zrozumiały nam poziom motywacje i decyzje pomnikowego bohatera. Swoją drogą jak niezwykle człowiekiem musiał być rycerz, od którego dzieli nas 30 pokoleń, że jego pamięć trwa do dzisiaj. Narracja książki nie jest linearna, a jej kulminacja to bitwa pod Grunwaldem. Zabawnym zabiegiem są scenki z redagowaniem kronik historycznych przez kardynała Oleśnickiego. Redagowaniem, bo było to coś więcej niż cenzura. Poznajemy bowiem prawdziwą (w powieściowym sensie) historię kolejnych zdarzeń, a później czytamy znany nam tekst „Kronik”, będący już tylko propagandą. Niezadowolony kardynał wyrzuca bowiem pierwszego ich autora i daje pole Długoszowi: „Mierne ma pióro, ale wierne. Tak. – Pogroził upierścienionym paluchem. – Bierny, mierny, ale wierny. Takich nam potrzeba. Niech on to jakoś ogarnie!”.



Warte Na styczeń zapowiadana jest kolejna, dziesiąta książka Joego Abercrombiego osadzona w uniwersum „Pierwszego prawa”. Warto więc przypomnieć jego twórczość, która jest naprawdę solidną propozycją – myślę, że nie tylko dla czytelników fantastyki. Abercrombie to brytyjski pisarz fantasy, psycholog i montażysta filmowy. Najsilniejszą stroną jego książek jest konstrukcja fabuły. Do tego frapująca akcja i bohaterowie, z którymi można się utożsamić lub ich znienawidzić. Logen Dziewięciopalczy, zawodowy morderca, barbarzyńca; superior Glokta, cywilizowany mistrz tortur i intryg, pyszałek i doskonały szermierz Jezdan Luthar i kilka wyrazistych drugoplanowych postaci – ten zestaw zapewnia, iż fabuła pulsuje, zaskakuje, a na pewno nie nudzi. Magia, często sprowadzana przez mniej sprawnych autorów fantasy do funkcji deus ex machina, pojawia się z tu rzadka, choć zawarta w przedstawianych mitach metafizyka spaja tę wielotomową różnorodność w zgrabną całość. Miejmy nadzieję, że kolejny tom pióra Abercrombiego nas nie zawiedzie.

Robert Tekieli
Polskie Radio

POPKULTURA

POPKULTURA



Pod choinkę

Adamski



Idiokracja 👍👍👍👍👍👍

Internet

Długą drogę przeszedł Adam McKay do filmu „Nie patrz w górę”. Od pisania skeczy w „Saturday Night Live”, przez wspólne komedie z Willem Ferrellem w stylu „Braci przyrodnich” albo „Legendsy telewizji”, aż po nagrodzony Oscarem za scenariusz „Big Short”, „Vice” i serial „Sukcesja”, którego jest producentem i reżyserował kilka odcinków. Nigdy nie byłem wielkim fanem jego wczesnych komedii, ale za to porwał mnie błyskotliwym, choć demagogicznym strzałem w Wall Street oraz polityczną satyrą wymierzoną w nie lubianych przez niego republikanów. Nakręcony dla Netflixu „Nie patrz w górę” to krok dalej. Jest to próba zaadaptowania doskonałej tragikomicznej mieszanki z „Sukcesji” do świata McKaya, zapartezowanego w swojego kumpla Michaela Moore’a. Próba średnio udana. Rozgotowana i przestrzelona, choć jak zwykle u McKaya brawurowo zagrana przez wielkie gwiazdy obsadzone wbrew swojemu wizerunkowi.

Chcebyć McKay poważny, więc ogranicza swoje komiczne chwytły z poprzednich dwóch filmów. Szkoda, bo „Big Short” i „Vice” to jego najlepsze filmy, gdzie

wypracował swój własny język, będący błyskotliwym miksem skeczów z SNL i zaangażowanego kina politycznego. McKay jest rozpolitykowany i daleko mu do symetryzmu, choć w „Vice” spojrzal na ekipę George’a W. Busha z pewną dozą sympatii, mimo nieskrywanej pogardy dla polityki neokonserwatystów. Przeprowadzałem z nim wywiad (opublikowany w tygodniku „Sieci” w styczniu 2019 r.) przed premierą filmu i miałem nawet okazję chwilę prywatnie porozmawiać o Silviu Berlusconi. Sprawiał wrażenie człowieka łagodnego i ciekawego opinii innych.

W „Nie patrz w górę” rozdaje razy każdemu, choć głównym wrogiem jest oczywiście amerykański system polityczny z wizji Berniego Sandersa, uosobiony tutaj przez wyjątkowo infantylną kobietę prezydent USA (Meryl Streep), będącą na dodatek pacynką w dłoniach hybrydy Jeffa Bezosa/Elona Muska/Steve’a Jobsa o twarzy Andy’ego Warhola (śmieszno-straszny Mark Rylance). McKay sam nazywa się socjalistą, więc kreżusi są dla niego wymarzonymi filmowymi lotrami. Jego Bezos pasowałby wręcz na przeciwnika Bonda. To zdumiewające, że udało się

w jednym filmie pomieścić tyle wielkich hollywoodzkich nazwisk i każdy dostaje przynajmniej jedną „swoją” scenę. McKay miał jednak zawsze dobrą rękę do aktorów, potem dostających oscarowe nominacje. Ocieężały w „Vice” i wychudzony w „Big Short” Christian Bale jest tego najlepszym przykładem. Steve Carell też właśnie u McKaya najciekawiej się bawi swoim wizerunkiem naznaczonym „The Office”. Tutaj epizody grają tak gorące nazwiska, jak Timothée Chalamet, Cate Blanchett, Jonah Hill, Ariana Grande, Ron Perlman czy Tyler Perry.

Show należy jednak do duetu Leonardo DiCaprio–Jennifer Lawrence, który wciela się w dwójkę naukowców z prowincjonalnej uczelni, odkrywających, że w ciągu pół roku asteroida zniszczy ziemię. Wraz z bardziej utytułowanym od nich naukowcem (Rob Morgan) udają się do Białego Domu tylko po to, by się dowiedzieć, że dla administracji pani prezydent ważniejsze są słupki poparcia i PR. Zamiast pełnego patosu czarnego prezydenta o twarzy Morgana Freemana w opowiadającym mniej więcej o tym samym, ale na poważnie „Dniu zagłady”, u McKaya władza jest głupsza i bardziej skorumpowana niż w klasycznej apokaliptyczno-politycznej satyrze Stanleya Kubricka „Doktor Strangelove” z 1964 r. McKay chce być jak Kubrick albo chociaż jak Barry Levinson w „Fakty i akty”, Warren Beatty w „Senatorze Bulworth” czy Mike Nichols w „Barwach kampanii”. Problem



w tym, że zachowania amerykańskiej administracji są tak absurdalne, że pasują do skeczu SNL z Willem Ferrellem. McKay ma jednak misję zrobienia paraleli do reakcji możliwych tego świata na problem z ociepleniem klimatu. Momentami się spodziewałem, że spod biurka prezydent Meryl Streep wyjdzie św. Greta mówiąca gniewnie „blablabla”, w stylu Anthony’ego Bourdaina opowiadającego w „Big Short” na przykładzie zupy rybnej o walkach z instrumentem finansowym znanym jako CDO. Jednak reżyser zatrzymuje się w pół kroku, robiąc z troską minę i mówiąc nam: nie ma się z czego śmiać.

Niemniej jednak Leonardo DiCaprio gra na nutach Ferrella, Lawrence jest nie mniej neurotyczny niż w kinie Davida O. Russela, stopień przerysowania Streep sięga zaś zenitu. McKay zamiast zupełnie puścić hamulce, zaczyna psychologizować prawie jak goście apokaliptycznego przyjęcia w „Melancholii” Larsa von Triera. Trafnie McKay punktuje stan dzisiejszych mediów, gdzie opinia gwiazdy Instagrama jest ważniejsza niż odkrycie, że asteroida zniszczy Ziemię. McKay mówi nam też, że sprowadzamy głosy naukowców na temat choćby globalnego ocieplenia do poziomu plotek o rozpadającym się związku rapera i gwiazdy pop, a rządzą nami algorytmy sterowane przez obrzydliwie bogatych szaleńców. Ostatnie informacje o działaniach Facebooka to potwierdzają. Jonah Hill pasowałby do administracji Trumpa, czyli bogatego celebryty z Nowego Jorku, który wykalkulował sobie, że będzie głosem odrzuconego przez elity, biednego elektoratu z Pasa Rdzy.

Co jednak z tego, skoro szybko te celne strzały zostają przykryte przez „głębką” myśl o tym, że elity nie pozwalają ludowi patrzeć w górę. Mamia go i prowadzą do katastrofy, z której sami jako burżuazja z marksistowskich bajek i tak się wykpią pieniędzmi. McKay zawsze był demagogiem i populistą, ale w „Vice” i „Big Short” miał o wiele więcej uroku i błysku. „Nie patrz w górę” jest przekombinowaną satyrą, w której za dużo jest moralistycznego sztwywniactwa Ala Gore’a, a za mało Margot Robbie w wannie z jego opowieści o pazerności Wall Street.

„NIE PATRZ W GÓRĘ”,**FILM OD 24 GRUDNIA NA NETFLIXIE**

Odkupienie



Dwa tygodnie temu opisywałem tutaj intrygujący miniserial BBC „Na wodach północy”. Teraz na HBO GO weszła kolejna znakomita produkcja publicznego brytyjskiego nadawcy. Trzyodcinkowy „Czas” to głęboka, mistrzowsko zagrana przez Seana Beana i Stephena Grahama historia z ciekawie ugrzyzionym wątkiem religijnym w tle.

Mark Cobden (Bean) trafia do więzienia za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Jak nauczyciel z problemem alkoholowym poradzi sobie w miejscu, gdzie rządzą zupełnie inne zasady, niż te, które zna ten daleki od przemocy 60-letni mężczyzna? Nie jest to wyswiechtana historia z kina więziennego, które jest już oddzielnym filmowym gatunkiem, choć jego najważniejsze elementy tutaj znajdziemy.

Najważniejszym strażnikiem w więzieniu jest Eric McNally (Stephen Graham). Dramatyczna historia tego surowego, ale sprawiedliwego kławisza dopełnia opowieść o pełnym poczucia winy Marku. Serial stworzył jeden z najważniejszych brytyjskich producentów Jimmy McGovern („Cracker”), więc od samego początku widzimy, że nie jest to kolejna typowa historia przemocy z więziennymi murów. Mamy oczywiście wątki wewnętrznego kodeksu, systemu nękania słabszych więźniów, narkomanii i patologii systemu więziennictwa. McGovern zatapia jednak wszystko w religijny sos, będąc przy tym szalenie subtelnym. Przy przyjęciu do więzienia Mark jest pytany o swoją religię. Mówi, że „raczej” nie wierzy w Boga. „Zapiszę więc jako anglikanina” – słyszy i szybko

odpowiada: „Raczej wygasłego katolika”. Wygasły? Tak jak wygasła była jego energia do pracy z uczniami. Tak jak wygasła była jego wola do życia bez alkoholu. Wygasnąć nie chce jednak wina za grzechy i śmierć niewinnego rowerzysty. Nie wygasa jego chęć zadośćuczynienia i przebaczenia ze strony żony zabitego. Nie wygasa w nim też potrzeba podkreślenia, że jest katolikiem, co na Wyspach ma swój wyjątkowy wymiar. To jest istota subtelności tego serialu, który mógłby się zamienić w cikliwy dramat albo publicystykę o patologii więziennictwa. Zamiast tego dostajemy kawał głębokiego psychologicznego kina z krzyżem w tle.

Mark bierze udział w więziennym programie prowadzonym przez zakonnice. Musi jednak poradzić sobie z prześladowcami, którzy dostrzegli jego słabość. Trafia pod skrzydła trzęsącego więzieniem Jacksona Jonesa (Brian McCandie). Ceną za ochronę jest wchodzenie coraz głębiej w wewnątrzwięzienny świat przestępczy. Nawet ta postać ma rys archetypu diabła, który kusi i manipuluje. Odrzucenie jego ochrony może się skończyć męką. Z drugiej strony rękę wyciąga kobieta z krzyżem na szyi. Silny wątek ofiary za grzechy innych obecny jest też w wątku strażnika Erica.

Bean i Graham tworzą rolę wybitną. Obaj są zwykłymi, przeciętnymi mężczyznami z głębokimi rysami na twarzach i w duszy. Obaj muszą przejść własną drogę krzyżową, by się odrodzić. BBC jest znane z lewicowej agendy, ale to tam pojawiają się ostatnio bardzo ciekawe opowieści zanurzone w chrześcijańską optykę.

„CZAS”, SERIAL DOSTĘPNY NA HBO GO**Internet**

**NASZĄ ROLĄ
SILNA POLSKA**



POLSKI ŁAD

dla polskiej wsi

Rolniczko, Rolniku!

- Polski Ład dla Polskiej Wsi to **dla Ciebie realne korzyści**
- Dbamy o Twoją przyszłość i **wspieramy Twoje inwestycje**
- Troszcząc się o **rozwój i innowacje** na wsi – ułatwiamy Ci pracę
- Wspólnie **pielęgnujemy tradycje**



MINISTERSTWO
ROLNICTWA
I ROZWOJU WSI

SOLIDARNI  ROLNIKAMI

Zawsze aktualnych informacji o programie szukaj na
www.gov.pl/polski-lad

Szanowni Państwo!

W następstwie II wojny światowej państwo polskie poniosło dotkliwe straty w każdej dziedzinie. Ze wszystkich krajów europejskich to właśnie Polska utraciła najwięcej ze swego materialnego dziedzictwa. Zbiory muzealne, kolekcje prywatne, cenne dzieła znajdujące się w kościołach uległy zniszczeniu i rozgrabieniu. Okupacja hitlerowska, a później przesuwający się front wschodni nie oszczędziły naszych zabytków. Lista polskich strat wojennych jest bardzo długa i dzięki badaniom wciąż na bieżąco aktualizowana. Dzieła sztuki zagrabione w czasie wojny i po wojnie z terenów Polski przez Niemcy i Rosję odnajdują się dziś w wielu różnych krajach, ale również na naszym rodzimym rynku sztuki.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nieustannie prowadzi prace na rzecz dokumentowania, poszukiwania i restytucji polskich strat wojennych. W ostatnich latach dzięki tym działaniom do macierzystych kolekcji powróciło ponad 500 obiektów. W toku jest kilkadziesiąt spraw restytucyjnych w kraju i na świecie. Każda odzyskana strata wojenna napawa nas optymizmem i daje nadzieję na odnalezienie kolejnych dzieł, które zaginęły w okresie II wojny światowej.

Dla mnie jako ministra kultury i dziedzictwa narodowego to obowiązek i honor, aby nie ustawać w działaniach mających na celu odnajdywanie i w efekcie odzyskanie jak największej liczby polskich strat wojennych. Choć odbudowanie polskich kolekcji z przed 1939 r. nie jest możliwe, bo wiele dzieł i zabytków zostało bezpowrotnie zniszczonych w wojennej pożodze, to cieszy nas każdy, nawet najmniejszy obiekt, który wraca do rodzimych zbiorów.

Utracone dobra kultury to brakujące ogniwo naszej tożsamości. **To nasz obowiązek i misja. Polska nigdy nie przestanie ich szukać.**



Prof. Piotr Gliniński

wiceprezes

Rady Ministrów,

minister kultury

i dziedzictwa narodowego

Zagrabione, odzyskane.

Na tropie utraconych dóbr kultury

Poszukiwanie zaginionych dzieł sztuki zazwyczaj kojarzy nam się z burzliwymi przygodami Indiany Jonesa. Tymczasem w praktyce to systematyczna, żmudna praca, którą na co dzień wykonuje specjalny zespół w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. To m.in. śledzenie rynku aukcyjnego w kraju i na świecie, to drobiazgowo sprawdzanie wszystkich sygnałów o możliwym odnalezieniu zaginionego dzieła, to prowadzenie badań w archiwach, współpraca z muzealnikami, antykwariuszami, a nierzadko też z organami ścigania na całym świecie.

Trzeba przy tym pamiętać, że straty wojenne z polskich kolekcji to nie tylko obrazy i rzeźby. W czasie wojny utraciliśmy także obiekty archeologiczne, etnograficzne, zoologiczne. Ich również poszukujemy.

Polskie straty wojenne odnajdują się na całym świecie. Często odkrywamy je również w Polsce. Dzięki nowoczesnym narzędziom badawczym i poszukiwawczym oraz rosnącej świadomości społecznej coraz więcej strat wojennych wraca do macierzystych zbiorów. W ciągu ostatnich lat było to aż 500 obiektów, które znów możemy podziwiać w polskich muzeach.

Poszukiwaniem i odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki zajmuje się w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wydział ds. Restytucji Dóbr Kultury w Departamencie Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych. Pracy jest bardzo dużo, a lista dzieł, które czekają na odnalezienie, bardzo długa. Dlatego od stycznia 2022 r. wydział zostanie przekształcony w osobny departament, tak aby resort kultury mógł jeszcze skuteczniej działać na rzecz przywracania zagrabionych obiektów do macierzystych zbiorów.

Historie, które odkrywają pracownicy Wydziału ds. Restytucji Dóbr Kultury, często mogłyby być tematem powieści sensacyjnej lub filmu przygodowego. Realia codziennej pracy to jednak żmudne przeszukiwanie serwisów aukcyjnych, trwające miesiącami kwerendy, a także niełatwe, wymagające dużej dyplomacji, dyskrecji i cierpliwości, negocjacje.

Pod pojęciem „polskie straty wojenne” rozumie się ruchome dobra kultury utracone w wyniku II wojny światowej z terenu Polski w jej granicach po 1945 r. Prowadzona po wojnie rewindykacja, której celem było odzyskanie zagrabionego dziedzictwa kulturowego, zakończyła się w latach 50. wraz z rozwiązaniem Biura Rewindykacji i Odszkodowań. Od tego czasu aż do początku lat 90. zagadnienia związane z restytucją dzieł sztuki nie były częścią oficjalnej polityki

państwa. Dopiero zmiany ustrojowe przyczyniły się do utworzenia w 1991 r. Biura Pełnomocnika Rządu ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą. Wznowiono wówczas gromadzenie dokumentacji dotyczącej utraconych obiektów, opierając się na literaturze specjalistycznej, archiwaliach i weryfikacji katalogów strat wojennych opracowanych w latach 40. przez Biuro Rewindykacji i Odszkodowań. Prace te stały się podstawą utworzenia w 1992 r. bazy strat wojennych, która jest jedynym takim ogólnopolskim rejestrem. Choć nie jest ona oficjalną, ustawowo umocowaną bazą, to gromadzone są w niej możliwie jak najpełniejsze informacje na temat zagrabionych obiektów. Z tego powodu odgrywa ona rolę jednego z istotnych narzędzi wykorzystywanych przez wydział. Baza składa się z 23 działów obejmujących m.in. malarstwo, rzeźbę, grafikę, meble, tkaniny, porcelanę, szkło, złotnictwo, militaria, zbiory numizmatyczne i archeologiczne. Ma ona postać elektroniczną i stanowi zbiór otwarty – obecnie zawiera ponad 64 tys. rekordów i jest stale uzupełniana dzięki kwerendom archiwalnym. Należy jednak podkreślić, że brak odnotowanego obiektu w bazie nie decyduje, że nie może on być uznany za stratę wojenną. Warto też dodać, że każdy, kto posiada jakąkolwiek wiedzę o stracie wojennej, może zgłosić taką informację do rejestru.

Innym ważnym zadaniem jest odzyskiwanie zabytków skradzionych lub wywiezionych za granicę niezgodnie z prawem. MKiDN buduje jedyną w Polsce bazę danych gromadzącą informacje o obiektach z kolekcji muzealnych, kościelnych i prywatnych utraconych w wyniku współczesnych kradzieży. Baza ta funkcjonuje na podstawie art. 23 Ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. Do sierpnia 2018 r. prowadzenie wykazu leżało w kompetencji Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów. Obecnie w bazie znajduje się ok. 10 tys. skradzionych bądź zaginionych obiektów z takich dziedzin, jak malarstwo, rzeźba, kartografia, złotnictwo, numizmatyka czy militaria. Straty zabytków i dzieł sztuki zgłaszane są wydziałowi przez policję, Straż Graniczną, wojewódzkich konserwatorów zabytków, Krajową Administrację Skarbową, dyrektorów muzeów i dyrektorów bibliotek. Wykaz umożliwia sprawdzenie, czy obiekt nie jest poszukiwany. Podobnie jak w przypadku bazy strat wojennych, nieobecność obiektu w wykazie nie gwarantuje, że został on nabyty legalnie.

Obie wspomniane bazy są dostępne w internecie, przy czym baza strat wojennych udostępniona na stronie www.dzielautracone.gov.pl zawiera jedynie 10 proc. zarejestrowanych rekordów oraz podstawowe informacje o obiektach, krajowy wykaz jest zaś w pełni dostępny na stronie skradzionezabytki.pl. Żeby z niego korzystać, należy posiadać aktywne konto.

W swojej pracy wydział posługuje się także unijnym systemem wymiany informacji IMI (Internal Market Information System). Wykorzystuje się go przy międzynarodowej wymianie informacji mającej na celu zidentyfikowanie posiadacza dóbr kultury, wszczęcie procedury zwrotu czy poszukiwania i udzielanie informacji na temat obiektów skradzionych lub wyprowadzonych niezgodnie z prawem z terytorium państwa członkowskiego. Polska jest jednym

Czy wiesz, że...

1. Za polskie straty wojenne uznaje się ruchome dobra kultury utracone w wyniku II wojny światowej z terenów Polski **w jej granicach po 1945 r.**
2. Państwo polskie poszukuje dzieł zagrabionych **nie tylko ze zbiorów publicznych** muzeów, bibliotek, lecz także z kolekcji prywatnych i zbiorów kościelnych.
3. **Pierwsze rejestry utraconych dóbr kultury** powstawały już we wrześniu 1939 r., a rozpoczęta tuż po wojnie akcja rewindykacyjna doprowadziła do odzyskania części zagrabionych zabytków, w tym wielu wywiezionych do ZSRR.
4. Przez prawie 40 lat – od II poł. lat 50. do początku lat 90. – restytucja nie była częścią oficjalnej polityki państwa. Dopiero **zmiany ustrojowe umożliwiły** powrót do tematu polskich strat wojennych.
5. W 1992 r. powstała **baza strat wojennych**, czyli jedyny ogólnopolski rejestr polskich strat wojennych.
6. Od 2017 r. organem właściwym do spraw restytucji dóbr kultury prowadzonej przez Rzeczpospolitą Polską jest **Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego**.
7. Do poszukiwania zaginionych dzieł z polskich kolekcji wykorzystuje się obecnie **nowoczesne technologie** oraz internet.
8. Poszukiwanie i odzyskiwanie strat wojennych to **codzienna, systematyczna praca**, monitorowanie rynku sztuki każdego dnia i sprawdzanie każdego sygnału o odnalezionym dziele sztuki.
9. Aby skutecznie poszukiwać i odzyskiwać zabytki utracone z polskich kolekcji, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego **współpracuje** z organami ścigania, muzealnikami, antykwariuszami, konserwatorami dzieł sztuki i ekspertami.
10. Restytucja to nie tylko poszukiwanie i odzyskiwanie zaginionych dzieł, to także **popularyzacja tematyki strat wojennych**, publikacje i wystawy na ten temat organizowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które wymiennie przekładają się na liczbę odzyskanych obiektów.

z najaktywniejszych krajów wykorzystujących system IMI. Od początku 2019 r. wysłano ponad 100 formularzy do wszystkich państw UE. W ostatnim czasie to właśnie dzięki systemowi IMI udało się odzyskać cenną ikonę z przedstawieniem Michała Archanioła skradzioną w 1990 r. ze zbiorów Muzeum Warmii i Mazur.

Pracownicy wydziału służą pomocą organom ścigania, przedstawicielom Krajowej Administracji Skarbowej, muzealnikom i innym podmiotom weryfikującym informacje na temat poszukiwanych dóbr kultury. Brak materiałów źródłowych niejednokrotnie nie pozwala na potwierdzenie pochodzenia obiektu lub zrekonstruowanie jego historii. Potrzebna jest więc ciągła współpraca z muzeami i konserwatorami zabytków, a także weryfikacja listy eksponatów utraconych przez poszczególne instytucje oraz przekazywanie informacji o dziełach odnalezionych w magazynach. Nierzadko bowiem obiekt z bazy strat wojennych identyfi-

Co mówią liczby?

5 000 000: tyle dzieł sztuki zrabowanych, skonfiskowanych lub zakupionych po zaniżonych cenach na rozkaz Hitlera i innych przywódców nazistowskiego reżimu, znajdowało się w chwili zakończenia II wojny światowej w kryjówkach na terenie Niemiec – kopalniach, klasztorach i zamkowych piwnicach. Wśród tych dzieł znajdowały się także polskie straty wojenne.

516 000: taką liczbę zrabowanych bądź zniszczonych dzieł sztuki z polskich kolekcji podawały szacunki powojenne. Utracone zabytki wyceniano po wojnie na kilkadziesiąt miliardów ówczesnych dolarów.

64 000: tyle rekordów znajduje się obecnie w bazie strat wojennych prowadzonej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Baza jest na bieżąco aktualizowana i uzupełniana.

500: tyle pojedynczych obiektów powróciło w ostatnich latach do swoich macierzystych zbiorów dzięki pracy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

80: tyle w przybliżeniu spraw restytucyjnych o zwrot polskich strat wojennych prowadzi w tej chwili Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

11: to liczba krajów, w których prowadzone są obecnie sprawy restytucyjne o zwrot obiektów z polskich zbiorów.

kowany jest jako eksponat znajdujący się w muzealnym magazynie, a w gromadzonej dokumentacji znaleziona zostaje brakująca fotografia, dodatkowe dane identyfikacyjne bądź informacje o wywozie. W ramach ogłoszonego w 2016 r. programu „Badanie polskich strat wojennych” minister kultury i dziedzictwa narodowego wsparł finansowo instytucje kultury w samodzielnym badaniu strat poniesionych w wyniku II wojny światowej. Badania te umożliwiły pozyskanie niezwykle cennych zdjęć i wizerunków obiektów, a bazę strat wojennych uzupełniono o nowe karty.

Poszukiwanie dzieł sztuki realizowane jest przede wszystkim poprzez codzienny monitoring internetowych transakcji na globalnym rynku dzieł sztuki. Ponadto systemy i narzędzia wizualnej identyfikacji pozwalają na odnajdywanie w najgłębszych zakamarkach internetu coraz większej liczby utraconych obiektów, które rozsiane są po całym świecie. Nowoczesne metody poszukiwania zakładają angażowanie w ten proces zarówno specjalistów, jak i laików. Realizowane od lat liczne projekty informacyjne i edukacyjne, np. wystawy plenerowe, coroczne kalendarze z wizerunkami strat wojennych czy pokazy filmów w ramach projektu Muzeum Utraconego, przyczyniły się do podniesienia świadomości i wrażliwości społecznej na kwestię strat wojennych. Wymiernym efektem tych działań jest coraz częstsze informowanie wydziału o odnalezieniu utraconych obiektów w prywatnej kolekcji lub w miejscu niedostępnym osobom postronnym. Wiele takich informacji pochodzi właśnie od stałych, zewnętrznych współpracowników: badaczy, historyków sztuki i pasjonatów.

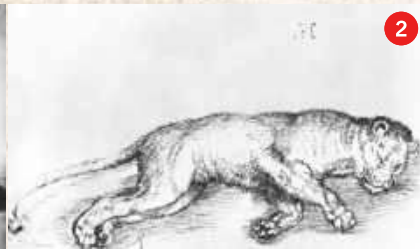
Narzędzia prawne do skutecznej współpracy z organami ścigania daje również Ustawa o restytucji narodowych dóbr kultury z 2017 r. Wskazuje ona kto, w jaki sposób i w jakich

przypadkach powinien działać. Czynności podejmowane przez funkcjonariuszy policji we współpracy z Wydziałem ds. Restytucji Dóbr Kultury umożliwiły odnalezienie wielu dzieł sztuki. W ostatnich latach były to np.: „Zima w małym miasteczku” Maksymiliana Gierymskiego, „Portret prezydenta Ignacego Mościckiego” pędzla Kazimierza Pochwalickiego lub „Martwa natura (ananas i banany)” Józefa Pankiewicza. Efektem współpracy z FBI było choćby odzyskanie miniatury „Autoportret” Lizinki de Mirbel i obrazu „Ulica wraz z ruiną zamku” Roberta Śliwińskiego. Oba obiekty pochodziły z kolekcji dzisiejszego Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Z kolei amerykańska służba śledcza Homeland Security Investigations (HSI) odnalazła i zabezpieczyła w 2016 r. w Los Angeles obraz „Portret damy” Melchiora Geldorpa, zrabowany w czasie II wojny światowej z Muzeum Narodowego w Warszawie. Wcześniej, na prośbę polskiego resortu kultury, HSI zabezpieczyło obrazy Juliana Fałata „Nagonka na polowaniu w Nieświeżu” i „Przed polowaniem w Rytwianach”.

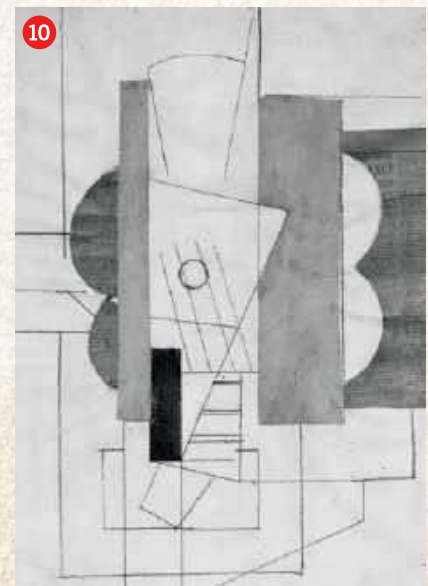
Czasem nie ma jednak możliwości dokonania restytucji z pomocą polskich i zagranicznych organów ścigania. Kluczem jest wówczas łączenie różnych metod negocjacyjnych, wykorzystywanie wielu narzędzi prawnych i pozaprawnych oraz ciągle poszukiwanie nowych metod odzyskiwania strat wojennych. Restytucja to proces często długotrwały, trudny i obciążony dużym ryzykiem niepowodzenia. Tak naprawdę w momencie odnalezienia zabytku rozpoczyna się najbardziej wymagający etap pracy, która – ze względu na złożoność i delikatność materii – wymaga czasu i ciszy. W przeważającej liczbie przypadków na podstawie zgromadzonej dokumentacji sporządzany jest wniosek restytucyjny, w którym należy jednoznacznie wskazać proveniencję obiektu, opisać okoliczności jego utraty, a przede wszystkim dowieść prawa własności. Wniosek restytucyjny obejmuje od kilkudziesięciu do nawet kilkuset stron i zawiera wszelkie materiały archiwalne oraz bibliograficzne dotyczące odnalezionego przedmiotu.

Dzięki działalności Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ciągu ostatnich kilku lat udało się odzyskać ponad 500 pojedynczych obiektów, w tym 28 obrazów, retabulum ołtarzowe i predellę, rzeźbę, trzy rękopisy i starodruki, jedną grafikę, pięć przedmiotów rzemiosła artystycznego, zabytek archeologiczny i 461 obiektów etnograficznych. Z najcenniejszych dzieł, które w tym czasie wróciły do kraju, należy wymienić „Żydówkę z pomarańczami” Aleksandra Gierymskiego, „Schody pałacowe” Francesca Guardiiego, rzeźbę „Diana” Jeana-Antoine’a Houdona oraz średniowieczny ołtarz „Pietas Domini”. Warto także wspomnieć zwrot przez niemieckie placówki do łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego kolekcji etnograficznej. Obecnie Wydział ds. Restytucji Dóbr Kultury prowadzi ok. 80 postępowań w kraju i za granicą, m.in. na terenie Niemiec, Wielkiej Brytanii, USA, Szwecji, Austrii i Stanów Zjednoczonych. Pracownicy wydziału nieustannie podejmują działania, by utracone dzieła sztuki odnaleźć i przywrócić macierzystym zbiorom. Miejmy nadzieję, że kiedyś uda się odnaleźć i odzyskać słynny „Portret młodzieńca” Rafaela.

Czego poszukujemy, czyli najcenniejsze dzieła utracone z polskich kolekcji



- ❶ **Rafaël**, wł. Raffaello Santi (1483–1520), „Portret młodzieńca”, 1514, olej, deska, 75 x 59 cm, utracony ze zbiorów Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie
- ❷ **Albrecht Dürer** (1471–1528), „Leżąca lwica”, papier, piórko, 16,2 x 27 cm, utracony ze zbiorów Uniwersytetu Warszawskiego
- ❸ **Pieter Breughel młodszy** (1564–1638), „Walka karnawału z postem”, olej, deska, 116 x 162 cm, utracony ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie
- ❹ **Mistrz Pięknych Madonn**, „Madonna z Dzieciątkiem tzw. **Piękna Madonna Toruńska**”, ok. 1395, wapień polichromowany, wys. 115 cm, utracona z bazyliki katedralnej pw. św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty w Toruniu
- ❺ **Annibale Carracci** (1560–1609), „Autoportret”, olej, 125 x 95 cm, utracony ze zbiorów Ordynacji Zamojskiej w Warszawie
- ❻ **Lucas Cranach starszy** (1472–1553), „Madonna z Dzieciątkiem zw. Głogowską”, 1518, olej, deska, 42 x 30 cm, utracony z kościoła w Głogowie
- ❼ **Paris Bordone** (1500–1571), „Czas obnaża piękność”, olej, płótno, 126 x 177 cm, utracony ze zbiorów pałacu w Wilanowie
- ❽ **Jan Stanisławski** (1860–1907), „Bodiaki w szary dzień”, olej, tektura, 21 x 31 cm, utracony ze zbiorów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie
- ❾ **Aleksander Gierymski** (1850–1901), „Święto trąbek”, 1888, olej, płótno, 101 x 132 cm, utracony ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie
- ❿ **Pablo Picasso** (1881–1973), „Gitarra”, kolaż, papier, 65 x 51 cm, utracony z Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki im. J.K. Bartoszewiczów w Łodzi



Wielkie powroty,

czyli co odzyskaliśmy w ostatnich latach



❶ Aleksander Gierymski, „**Żydówka z pomarańczami**”, odzyskany w 2011 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

❷ Jean Antoine Houdon, „**Diana**”, 1777, 1780, odzyskana w 2015 r., Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie

❸ **Biurko damskie w stylu chińskim**, ok. 1745, Jacques Dubois, odzyskane w 2016 r., Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie

❹ **Kolekcja etnograficzna sztuki poza-europejskiej**, odzyskana w 2016 r. (1. część) i 2018 r. (2. część), Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi

❺ **Lekyt czerwonofigurowy**, IV w. p.n.e., odzyskany w 2018 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

❻ Marcin Zaleski, „**Wnętrze katedry w Mediolanie**”, odzyskany w 2019 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

❼ Jacek Malczewski, „**Przy fortepianie**”, odzyskany w 2020 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

❽ Michał Gorstkin-Wywiórski, „**Chata w śniegu**”, odzyskany w 2020 r., Muzeum Narodowe w Poznaniu

❾ **XV-wieczny ołtarz „Pietas Domini”**, odzyskany w 2020 r., kościół Mariacki w Gdańsku

❿ Joseph Kalter, **portrety: „Amalia Kalter” oraz „Autoportret”**, odzyskane w 2021 r., Muzeum Narodowe we Wrocławiu





Tajemniczy rulon na strychu, czyli prawdziwe historie zaginionych i odzyskanych obrazów

I „Zima w małym miasteczku” Maksymiliana Gierymskiego

Ta historia rzeczywiście przypominała film obyczajowo-sensacyjny. 24 listopada 2018 r. funkcjonariusze Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie odnaleźli i zabezpieczyli na terenie Krakowa obraz Maksymiliana Gierymskiego „Zima w małym miasteczku” namalowany w 1872 r. Dzieło to przed wojną stanowiło ozdobę krakowskich Sukiennic. W grudniu 1939 r. zostało skonfiskowane przez Kajetana Mühlmana – specjalnego pełnomocnika ds. zabezpieczenia dzieł sztuki w Generalnym Gubernatorstwie, który osobiście wybrał ten właśnie obraz do dekoracji swojego gabinetu w gmachu Akademii Górniczej. Kiedy w lutym 1945 r. do budynku weszli pracownicy krakowskiego Muzeum Narodowego, pokój był spalony, a po obrazie nie było śladu. Uznano, że dzieło Gierymskiego strawił pożar.

W spisanych po wojnie wspomnieniach dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie Feliksa Kopery obraz ten określony został jako najcenniejsze utracone dzieło polskiego malarstwa



z kolekcji Muzeum Narodowego w Krakowie. Losy obiektu pozostawały nieznane aż do 20 listopada 2018 r., kiedy to małopolska policja otrzymała sygnał, że obraz Gierymskiego znajduje się w rękach prywatnych. Po konsultacjach z resortem kultury Wydział Kryminalny KWP ustalił posiadacza płótna. 24 listopada małopolska policja w obecności przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zabezpieczyła bezcenne dzieło. W wyniku oględzin ustalono, że obraz został wycięty z ram i przez ponad 70 lat był nieprzerwanie przechowy-

wany zwinięty w rulon, na co wskazywały charakterystyczne spękania powierzchni i ubytki warstwy malarskiej. Obraz został przekazany do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie poddano go gruntownej konserwacji.

Sprawa obrazu Maksymiliana Gierymskiego to bezprecedensowy przykład sprawnych i skutecznych działań policji, której świadomość i wrażliwość na tematykę polskich strat wojennych jest nie do przecenienia. Od pierwszego sygnału o obrazie do momentu jego zabezpieczenia minęło zaledwie pięć dni.

Dzięki współpracy policyjnych koordynatorów z resortem kultury udaje się odnaleźć na terenie kraju coraz więcej dzieł zaginionych w wyniku II wojny światowej.

2 „Wnętrze katedry w Mediolanie” Marcina Zaleskiego

Obraz „Wnętrze katedry w Mediolanie” powstał w 1834 r. w pracowni artysty, zapewne na podstawie szkicu wykonanego cztery lata wcześniej podczas podróży Zaleskiego do Włoch. Ukazuje mediolańską katedrę w miejscu skrzyżowania transeptu z nawą główną, po lewej stronie widoczne jest wejście do prezbiterium zwieńczone belką tęczową z grupą ukrzyżowania, w głębi obrazu rozświetlona kaplica boczna.

Po raz pierwszy dzieło zostało zaprezentowane publicznie na wystawie sztuk pięknych w warszawskim ratuszu w 1838 r. W sierpniu 1867 r. obraz zakupiono do zbiorów Muzeum Sztuk Pięknych w Warszawie od Tytusa Szaniawskiego za kwotę 140 rubli. Obraz został wpisany do inwentarza muzealnego pod numerem 72 i od tamtego czasu znajdował się na ekspozycji, początkowo w tymczasowej siedzibie muzeum przy ul. Wierzbowej, później w Sali XII budynku na Podwalu. W 1938 r. dzieło przeniesiono do nowo otwartego gmachu Muzeum Narodowego w Alejach Jerozolimskich. W zbiorach muzeum zachował się przedwojenny szklany negatyw z wizerunkiem obrazu.

Losy dzieła Zaleskiego w czasie II wojny światowej nie są bliżej znane. Prawdopodobnie obraz pozostawał w Muzeum Narodowym do wybuchu powstania warszawskiego w 1944 r. Dzieło nie widnieje na listach ewakuacyjnych, można więc przypuszczać, że po upadku powstania padło ofiarą grabieży z budynku muzeum. Od zakończenia II wojny światowej obraz Marcina Zaleskiego był uznawany za stratę wojenną i poszukiwany. Jego losy pozostawały nieznane przez ponad 70 lat, aż do stycznia 2018 r., kiedy dzieło zostało zdeponowane do sprzedaży w domu aukcyjnym Dorotheum w Wiedniu. Dzięki działaniom restytucyjnym podjętym natychmiast przez polski resort kultury i przy wsparciu

Stowarzyszenia „Przyjaciele Muzeum Narodowego w Warszawie” we wrześniu 2019 r. obraz powrócił do macierzystych zbiorów. Można go podziwiać w Galerii Sztuki XIX wieku Muzeum Narodowego w Warszawie.

W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie zachowała się oryginalna rama od obrazu Marcina Zaleskiego „Wnętrze katedry w Mediolanie”, wykonana ok. 1840 r. Kiedy obraz skradziono, pozostała po nim pusta rama. Po latach zidentyfikowano ją na podstawie dawnego numeru inwentarzowego obrazu „72” widniejącego na odwrocie oraz tabliczki z nazwiskiem artysty umieszczonej z przodu na jednym z krótszych boków (obecnie zdjęta). Niestety, po odzyskaniu dzieła okazało się, że rama już do niego nie pasuje. W wyniku konserwacji obraz zmienił bowiem swój rozmiar. Płótno zostało zagięte wokół krosna i jego obecne wymiary 97 × 74 cm różnią się od pierwotnych 100 × 76 cm. Rama jest teraz zbyt duża, by mogła stanowić oprawę obrazu. „Wnętrze katedry w Mediolanie” jest obecnie prezentowane w ramie, w którą było oprawione w momencie odzyskania. Pierwotna rama od obrazu została zaś dopasowana do innego obrazu Marcina Zaleskiego ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie: „Plac Krasińskich z kościołem Pijarów”.

3 „Przy fortepianie” Jacka Malczewskiego

Obraz „Przy fortepianie” Jacka Malczewskiego przedstawia dwie siostry artysty: Helenę i Bronisławę. Prawdopodobnie ze względu na osobisty charakter dzieła znajdowało się ono w kolekcji rodzinnej Heleny Karczewskiej i nie było prezentowane na żadnej z licznych wystaw Malczewskiego, o czym świadczy brak stosownych adnotacji w katalogach.

W pierwszej całościowej biografii Jacka Malczewskiego z 1933 r. autorstwa Adama Heydla, krewnego malarza, znajdowała się jedyna znana reprodukcja obrazu „Przy fortepianie” z informacją, że obraz stanowi własność siostry malarza, Heleny Karczewskiej.

Ponownie wzmianka o obrazie pojawiła się w 1936 r., gdy Rafał Malczew-

ski, syn artysty, z uwagi na chęć zachowania prac ojca dla przyszłych pokoleń i w obawie przed ich rozproszaniem, zaoferował zakup kolekcji Muzeum Narodowemu w Warszawie.

Zgodnie z informacjami na karcie inwentarzowej obrazu, która zachowała się w Muzeum Narodowym w Warszawie, wiadomo, że dzieło zostało nabyte właśnie od Rafała Malczewskiego i przyjęte do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie 5 lipca 1937 r.

Obraz Malczewskiego zaginął w czasie II wojny światowej. Najprawdopodobniej pozostał w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie aż do wybuchu powstania warszawskiego w 1944 r. Po upadku powstania wiele znajdujących się jeszcze w obrębie miasta zbiorów padło ofiarą grabieży, szabru lub uległo zniszczeniu, inne wywieziono do składnic na Dolnym Śląsku, w Austrii i Niemczech. Losy dzieła Malczewskiego pozostawały nieznane do listopada 2019 r., kiedy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zostało poinformowane przez Muzeum Narodowe w Warszawie, że obraz wystawiono na sprzedaż w domu aukcyjnym Roseberys w Londynie. Posiadacz dzieła zakupił je wcześniej na aukcji w USA w 1997 r.

Resort kultury podjął negocjacje bezpośrednio z posiadaczem obrazu, Kevinem McCormackiem, który podjął decyzję o dobrowolnym i bezwarunkowym zwrocie obrazu do Polski. Za ten gest pan McCormack został uhonorowany dyplomem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

4 „Pod brzożami / Dzieci w lesie brzożowym nad fiordem Haiko” Alberta Edelfelta

Obraz „Pod brzożami / Dzieci w lesie brzożowym nad fiordem Haiko” autorstwa jednego z najważniejszych malarzy fińskich, Alberta Edelfelta, pierwotnie należał do rodziny carskiej, z którą artysta był blisko związany. Do wybuchu I wojny światowej zdobył rezydencję carską w Spale w dawnym Księstwie Łowickim. W 1914 r. ewakuowano go do Rosji, skąd powrócił do Polski na mocy traktatu ryskiego i w 1923 r. został wpisany na inwentarz Państwowych Zbiorów Sztuki. Obraz



widoczny jest na zachowanej czarno-białej fotografii z 1924 r. ukazującej salon biały pałacu w Spale. Zapewne aż do początku II wojny światowej dzieło Edelfelta zdobiło letnią rezydencję prezydenta RP, którą od 1922 r. był właśnie pałac w Spale. Wojenne losy obrazu pozostają nieznane. W pałacu w Spale w czasie wojny mieściło się Naczelne Dowództwo Wojskowe „Wschód” (Oberost). Kiedy w 1945 r. do miejscowości wkroczyła Armia Czerwona, rezydencja została obrabowana i doszczętnie spalona.

Obraz Alberta Edelfelta odnaleziony został w 2019 r. w Łodzi przez osoby prywatne na strychu drewnianego domu należącego do ich prababci. Dzieło było zwinięte w rulon. Stan zachowania obrazu wskazywał na to, że płótno zostało niedbale wycięte z ram i zwinięte, a po jakimś czasie próbowano je rozprostować, nabijając na sztywne podłoże cienkimi gwoździkami bądź pinezkami. Następnie płótno zostało ponownie zwinięte, poprawnie, bo warstwą malarzką ku górze, i opakowane w szary karton. W tej formie trafiło na strych, gdzie przeleżało wiele lat.

Prywatni posiadacze obrazu dołożyli wszelkich starań, aby go zabezpieczyć i ustalić jego pochodzenie. W 2019 r. obraz poddany został profesjonalnej konserwacji. Dzięki wsparciu badaczy udało się odnaleźć dokumenty potwierdzające pochodzenie dzieła z pałacu w Spale. Posiadacze obrazu zdecydowali się nieodpłatnie przekazać go do zbiorów publicznych. „Pod brzożami / Dzieci w lesie brzożowym nad fiordem Haiko” to jedyne znane dzieło Alberta Edelfelta w polskich muzeach. Inne prace Edelfelta są obecnie bardzo cenione na świecie, zwłaszcza w Finlandii i Rosji. Obraz można podziwiać w otwartej na nowo

po remoncie Galerii Sztuki XIX wieku w Muzeum Narodowym w Warszawie.

5 „Góralka / Wiejska dziewczyna w żółtej chuście” Leona Wyczółkowskiego

Kilka dni temu do macierzystych zbiorów na Wawelu wrócił pastel Leona Wyczółkowskiego „Góralka / Wiejska dziewczyna w żółtej chuście”. Został



on zidentyfikowany przez pracowników Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na krajowym rynku dzieł sztuki w grudniu 2020 r. Szczegółowa weryfikacja i analiza konserwatorska potwierdziły, że oferowany przez jeden z warszawskich domów aukcyjnych obraz jest zarejestrowany w bazie strat wojennych i stanowił do wybuchu II wojny światowej własność Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu. Dzieło Wyczółkowskiego wpisane było w inwentarzu Fundacji Wawelskiej im. Leona hr. Pinińskiego pod numerem 203. Na prośbę resortu kultury dom aukcyjny wycofał pastel z aukcji, a dotychczasowy posiadacz podjął decyzję o dobrowolnym zwrocie obrazu na rzecz skarbu państwa.

Pastel „Góralka / Wiejska dziewczyna w żółtej chuście” powstał w roku 1900, co potwierdza umieszczona w lewym górnym rogu sygnatura artysty oraz data. Wkrótce potem obraz został zakupiony przez Leona Pinińskiego (1857–1938), profesora prawa rzymskiego i rektora uniwersytetu we Lwowie, polityka, znawcę sztuki i kolekcjonera, namiestnika Galicji w latach 1898–1903. W lutym 1901 r. pastel Wyczółkowskiego był prezentowany na wystawie Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka” we Lwowie. Leon Piniński, który jako członek Komitetów Wawelskich angażował się w restaurację Zamku na Wawelu i jego urządzenie, już w roku 1909 ogłosił zamiar podarowania części swych zbiorów Wawelowi, a w roku 1931 powołał Fundację Wawelską im. Leona hr. Pinińskiego, zatwierdzoną w roku 1935 przez wojewodę lwowskiego. Z archiwaliów wynika, że pastel Wyczółkowskiego był na Wawelu już w roku 1927, a być może nawet od roku 1920. Dzieło zaginęło w latach 1939–1945 i figurowało na wawelskiej liście strat wojennych.

W Zbiorach Prac na Papierze Zamku Królewskiego na Wawelu znajduje się obecnie 26 obiektów podarowanych przez Leona Pinińskiego. Są to dzieła m.in. Juliusza Kossaka, Artura Grottgera, Witolda Pruszkowskiego i Piotra Michałowskiego, a także rękopis iluminowany. Po odnalezieniu „Góralki / Wiejskiej dziewczyny w żółtej chuście” na liście strat wojennych z Fundacji Wawelskiej im. Leona hr. Pinińskiego pozostało 12 prac, w tym dzieła Juliusza Kossaka, Juliana Fałata, Zygmunta Rozwadowskiego, Piotra Michałowskiego, Stanisława Tondosa oraz ryciny.

Więcej informacji:

dzielautracone.gov.pl



stratyzabytkow.nimoz.pl





Święta z kołami gospodyń wiejskich

Do 31 grudnia koła gospodyń wiejskich muszą wykorzystać przyznane im w 2021 r. przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa pieniądze na działalność statutową. Większość z nich nie będzie miała z tym problemu. Tym bardziej że ostatni miesiąc roku jest czasem, w którym paniom zrzeszonym w kołach nie brakuje pracy i wydatków na przedsięwzięcia integrujące lokalne wspólnoty

P przed Bożym Narodzeniem organizujemy warsztaty, m.in. tworzenia świątecznych ozdób i kartek z naturalnych materiałów: gałązek jedliny, szyszek, orzechów, suszonych owoców, pieczenia świątecznych pierników, które cieszą się dużym zainteresowaniem – opowiadają członkinie Koła Gospodyń Wiejskich z Giedlarowej w województwie podkarpackim. Gospodynie włączają się także w doroczną akcję charytatywną leżajskiego Gminnego Ośrodka Kultury, przekazując na aukcję i kiermasz przygotowane przez siebie ciasta, pierniki, ozdoby bożonarodzeniowe. Współorganizują również Wigilię dla osób samotnych. Podczas spotkania na stoły trafiają postne potrawy charakterystyczne dla regionu leżajskiego, często okraszone olejem lnianym. – Są przygotowane na podstawie dawnych receptur, naszym zadaniem jest bowiem także pielęgnowanie lokalnych tradycji kulinarnych – mówią panie z KGW Giedlarowa.

Mysłów leży w gminie Koziegłowy, która zyskała miano choinkowego zagłębia Polski. W tej niewielkiej śląskiej gminie, liczącej ponad 14 tys. mieszkańców, działa wiele firm produkujących sztuczne drzewka, które eksportowane są na cały świat. Nie dziwi więc, że Koło Gospodyń Wiejskich Mysłowianki traktuje świąteczne drzewko ze szczególną troską i oddaniem. – Coroczną tradycją jest wspólne ubieranie choinki

w siedzibie naszego Koła we własnoręcznie wykonane bombki i inne ozdoby. Fantazja i kreatywność ich wykonania nie zna granic – opowiadają Mysłowianki, które realizują nie tylko projekty miłe dla oka. Również dla serc. Co roku od 60 lat organizują wiejską Wigilię, podczas której śpiewane są kolędy, a na stołach pojawiają się m.in. tradycyjne makówki czy zupa grzybowa z łazankami. W tym roku gospodynie z Mysłowa przygotowały także mikołajkowe paczki dla uczniów z miejscowej szkoły podstawowej. – Radość i uśmiech dzieci jest tym, co dodaje nam energii do działania – mówią Mysłowianki.

Do prowadzonego przez ARiMR Krajowego Rejestru Kół Gospodyń Wiejskich wpisanych jest obecnie 10 604 tego typu stowarzyszeń, najwięcej pochodzi z województw wielkopolskiego – 1544, mazowieckiego – 1397, i lubelskiego – 1322. Na mocy ustawy z 9 listopada 2018 r. KGW uzyskały osobowość prawną, możliwość prowadzenia działalności zarobkowej, a także ubiegania się o państwowe dotacje, m.in. w ARiMR. Dzięki tym przepisom wzrosła nie tylko liczebność kół, lecz także ich aktywność i prestiż.



Agencja Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa

Otrzymałą dotację koła mogą przeznaczyć m.in. na: prowadzenie działalności społeczno-wychowawczej i oświatowo-kulturalnej w środowiskach wiejskich, prowadzenie działalności na rzecz poprawy warunków życia i pracy kobiet na wsi, upowszechnianie dobrych metod prowadzenia gospodarstw domowych, rozwijanie kultury ludowej, w tym w szczególności kultury lokalnej i regionalnej.

Na co konkretnie wydają przyznane im środki? – Za pierwsze pieniądze otrzymane z Agencji kupiliśmy obrusy i stroje inspirowane folklorem, abyśmy były rozpoznawalne podczas lokalnych wydarzeń. Kolejne złotówki wydałyśmy m.in. na zakup zastawy stołowej, by wyeliminować wszechobecne podczas gminnych festynów i uroczystości plastikowe naczynia. Staramy się być eko, a także promować zachowania proekologiczne. Z tych naczyń może korzystać cała nasza społeczność lokalna, nie zachowujemy ich tylko dla siebie – mówią członkinie Koła Gospodyń Wiejskich z Dobczyna w województwie mazowieckim.

KGW mogą się ubiegać w ARiMR o pomoc na prowadzenie działalności statutowej od 2018 r. Od tego czasu Agencja przekazała im łącznie 135 mln zł, z czego w bieżącym roku 56 mln zł. Te pieniądze koła muszą wydać na działalność statutową do końca br., a rozliczyć się z nich do 31 stycznia 2022 r. przez złożenie w Agencji sprawozdania.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nie ze mną te numery...



www.wojciechreszczyński.pl

Z pewnością pamiętamy pełną sekwencję tego kultowego powiedzonka z filmu „Stawka większa niż życie”. Hans Kloss mówił w ten sposób Hermannowi Brunnerowi: „Nie udawaj idioty, nie graj głupa, nie ze mną te numery”. I tak właśnie należy odpowiedzieć Niemcom tworzącym nowy koalicyjny rząd (SPD, FDP, Zieloni), którzy zamierzają narzucić Unii Europejskiej nowy federacyjny charakter bez konsultacji z innymi państwami członkowskimi Wspólnoty. A to jest możliwe, gdyż UE już dawno przestała być Wspólnotą. Była kanclerz Angela Merkel pokazała, czym jest urząd kanclerski, podejmując decyzję w sprawie migrantów nie tylko bez konsultacji z innymi państwami, lecz nawet z własnym rządem i narodem. Kanclerz w Niemczech, jak kiedyś, może wszystko.

Trafny tekst Anny Wiekaj o pomysłach budowy IV Rzeszy, opublikowany na portalu wPolityce.pl, poprzedzony licznymi w podobnym duchu wypowiedziami polityków, m.in. Jarosława Kaczyńskiego, to szybka i adekwatna reakcja na powrót niemieckiej polityki zagranicznej do starego koryta. Zostawmy I i II Rzeszę Niemiecką dla zainteresowanych dawną historią, a skoncentrujmy się na III Rzeszy, która miała być tysiącletnia. Pomińmy też, tylko tu i teraz, najtragiczniejsze skutki III Rzeszy (miliony unicestwionych istnień ludzkich, oszalały antysemityzm, rasizm, skrajny niemiecki szowinizm). Skoncentrujmy się wyłącznie na politycznych, gospodarczych i ideologicznych planach związanych z budową III Rzeszy.

Według hitlerowskich planistów Europa kontynentalna miała być jednym wielkim obszarem gospodarczym (Grosswirtschaftsraum), ściśle wewnątrz z sobą powiązanych regionów poprzez zaplanowany podział

pracy. Miał to być zwarty organizm polityczno-gospodarczy, z akcentem na słowo „polityczny”, gdyż projekt zakładał prymat czynnika politycznego nad gospodarczym. Inaczej mówiąc – gospodarka wielkoprzestrzenna to gospodarcza strona koncepcji politycznej. Wspomniany podział pracy realizowany w regionach (landach) miał być kierowany według jednolitego planu dopasowanego do poszczególnych części wielkiego obszaru gospodarczego. Ustalał on precyzyjnie, jakie dobra i gdzie mają być produkowane, jakie i gdzie konsumowane.

W 1940 r. Niemcy ostatecznie zrezygnowali z planów włączenia w skład Grosswirtschaftsraum Anglii jako ośrodka, który miał uzupełniać przemysł niemiecki i przekazać na rzecz Niemiec swoją przewodnią rolę europejskiego lidera rynku finansowego i handlowego. Anglię uznano za europejski „czynnik destrukcyjny” i przystąpiono do jej militarnej likwidacji. Już bez Anglii tworzone wizje „Europy Środka Świata”, idei konkurującej z dwoma innymi wielkimi przestrzeniami gospodarczymi, tj. Ameryką i wschodem Azji (Rosji w tych planach nie było).

W niemieckich planach tylko Niemcy mogły odgrywać rolę lidera europejskiego obszaru gospodarczego. Bo ze współpracy z Niemcami Europa osiągnie największe korzyści, bo potęga polityczna i militarna Niemiec zabezpiecza i utrwala te korzyści, bo Niemcy to oczywista wyższość kulturalna i organizacyjna. Koncepcję „Grosswirtschaftsraum”, a od 1943 r. szerszą – „Grosseuropäischer Raum” (wielkiej europejskiej przestrzeni) – „wzbogacali” liczne przesłanki ideologiczne. Uważano, że na Niemczech spoczywa dziejowe posłannictwo, że naród niemiecki jest predysponowany

do przewodzenia i rządzenia innymi mniej wartościowymi narodami, także ze względu na swoją wyższość biologiczną (Herrenvolk).

Do zrealizowania tych planów konieczna była wspólna „idea europejska”, czyli silna, emocjonalna więź podobna do więzi narodowej, wręcz ją zastępująca. Europejskość rozumiano jako więź ponadnarodową. (Lewaccy polscy samorządowcy już tę więź tworzą – plakaty: „Mieszkam w Warszawie, żyję w Europie”).

Niemcy podbiły środkową i wschodnią Europę wspólnie z żołnierzami wielkiej, hitlerowskiej europejskiej koalicji. Polskę nazywali „zdrajcami Europy”, bo podjęła zbrojną walkę zamiast się poddać dla idei „wspólnej Europy”.

A teraz przypomnijmy sobie wszystkie te wypowiedzi na temat Polski, która ponoć nie przestrzega praworządności, jest homofobiczna, nietolerancyjna, antysemicka, którą trzeba zagłodzić i karać finansowo, ten potworny propagandowy nacisk na rezygnację z własnej konstytucji, przyjęcie praw i obowiązków niezapisanych w traktatach i sprzecznych z polskim porządkiem prawnym, likwidacji ID SN i przywrócenie do pracy skorumpowanych sędziów.

Niemcom marzy się IV Rzesza, czyli państwo federalne z pierwszeństwem unijnego prawa, podejmowaniem decyzji większością głosów i brakiem możliwości wystąpienia z UE. Skutkiem federalizacji będzie likwidacja polskiego przemysłu i rolnictwa, zasiedlenie kraju imigrantami z prawem głosowania i kandydowania w wyborach europejskich i samorządowych, utrata suwerenności państwowej, w końcu samoderżawienie państwa. Niemiecki pomysł na Polskę? Rynek zbytu i turystyczny skansen.

Ale „nie z nami te numery”...

Czarno i biało

Każdy inaczej podsumowuje miniony rok, każdy po swojemu go rozlicza, szuka najlepszych chwil i stara się nie zapamiętać tych gorszych, a niekiedy tragicznych.

Z mojej perspektywy to rok wzmocnienia rodzimych podziałów. Coraz ostrzejszych i coraz szkodliwszych.

Polska jest bowiem od lat dramatycznie podzielona, podzielona na pół. Tę granicę można niekiedy wręcz geograficznie wyznaczyć. W wyborach parlamentarnych, europarlamentarnych, prezydenckich widzimy ten podział najbardziej. Ale nie tylko. Bo oto Polacy w niedawnym sondażu nawet nie w połowie orzekli, że Jaruzelski to antybohater. W 40. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego za ledwie połowę jest skłonna uznać niesłuszność jego wprowadzenia i zbrodniczy charakter! Bo jakże inaczej zinterpretować ową powściągliwość w ocenie socjalistycznego satrapy, kremlowskiego namiestnika? Jak można nie pamiętać przynajmniej ośmioletniej beznadziei lat 80.: kartki na każdy niemal towar, upokarzające kolejki po paliwo, skrytobójcze ofiary reżimu, wszechwładność Służby Bezpieczeństwa, ZOMO tłukące palami Polaków i wieczne niedobory wszystkiego?

To tam tkwią źródła obecnego podziału na tych, którzy pogranicznikom dziękują, i na tych, którzy na nich pluja. Wtedy bowiem doszło do ugruntowania, zda się, że nieodwracalnego, socjalistycznego człowieka, który po latach oszalał z radości po „okrągłym stole”, stał się wyznawcą religii Michnika i wiernym czytelnikiem „Wyborczej”, zaatakował Nobla Herbertowi i pozwolił Urbanowi bezkarnie dożywać końca w luksusie. Na razie narzędziem jest tylko język, który w minionym roku dostał kolejną porcję artretyzmu wyginającego go i ohydnie zniekształcającego znaczenie słów.

Pojęcie praworządności trwale skleiło się ze zjawiskiem donosicielstwa. Czyż będziemy mogli zapomnieć kuriozalny hołd Sikorskiego w PE (i pomyśleć, że pełnił on kiedyś ważne funkcje rządowe), Liberadzkiego, Thun, Kohuta, Ochojskiej, Biedronia, Lewandowskiego, Boniego? Czy kiedykolwiek zapomnimy te ich błagalne prośby, aby nie dawać Polsce tego, co jej się słusznie należy? Ależ oczywiście zapomnimy! Za rok połowa Polaków w sondażach uzna ich za ważnych dyplomatów i nie będzie miała do nich pretensji. Być może nawet kolejny prezydent udekoruje ich Orderem Orła Białego? Kto wie, przecież to wszystko od dawna stoi na głowie. Upominanie się o praworządność trafnie skomentował znajomy szytgar z Mikołowa: „Jak sły-



**Aleksander
Nalaskowski**

szę te krzyki o praworządność, to tak, jakbym słyszał »dajcie Polsce w mordę«. Po śląsku brzmi to jeszcze mocniej.

Dwie Polski to niewątpliwy fakt. Tak jak niewątpliwy był podział na konfederatów barskich i targowickich. To także dwie twarze Polski. Jedna ma oblicze Jana Pawła II, a druga Michnika. Papież jest dla jednych święty, a Michnik dla drugih bożkiem. My wsłuchujemy się w świętych, a oni są posłuszni wobec Michnika. My mamy Ewangelię, a oni „Gazetę Wyborczą”. Posługujemy się różnymi językami. My mamy perswazję i logikę, a oni złe emocje i osiem gwiazdek. Każda ze stron ma swoje tygodniki, gazety, teatry, filmy, poetów, profesorów, obyczajowość. My wiemy, czego chcemy, a oni nie wiedzą, dlatego chcą wszystkiego. Wszystko,

co mówimy, z czegoś wynika. To, co oni mówią, wynika bowiem tylko z tego, co myśmy powiedzieli. Poza bojkotem, obstrukcją i byciem anty nie istnieją. Nie są w stanie wymyślić ani jednego akapitu, w którym nie pojawia się Kaczyński czy PiS. Gdyby nie było Kaczora i jego partii, nie mieliby nic do powiedzenia. Bo będąc anty, są wtórni wobec tego przeciwko, czemu gardlują. Wszak nie byłoby antychrześcijaństwa, gdyby najpierw nie było chrześcijan, prawda?

Jeszcze do niedawna można było mieć nadzieję, że tyleż genialny, co tragiczny Broniewski się nie mylił, pisząc, „są w ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli, ale krwi nie odmówi nikt: wysączymy ją z piersi i z pieśni. Cóż, że nieraz smakował gorzko na tej ziemi więzienny chleb? Za tę dłoń podniesioną nad Polską – kula w łeb!”. Ochojskie, Kohuty i Jachiry pokazali, że kula owšem, ale w plecy polskich stróżów granic. Jeśli zagrożenie niepodległości Polski i nienaruszalność jej granic nie zbierają wszystkich w jednym szeregu, to znaczy, że naprawdę istnieją dwie Polski, dwa obywatelstwa i już zupełnie nic ich nie łączy.

Czy da się to połączyć, jakoś naprawić? Nie sądzę, ale to mój pogląd. Bo nie wierzę, aby tamta strona zmądrzała, a my będziemy potrafili im kiedyś wszystko wybaczyć. Nam jedna gruba kreska wystarczyła.

Jak każdy z nas – starzeję się. Moja Polska, moja epoka umiera pomału, ale stale. Umiera w tych, których kochałem. Ostatnio umarła w Wiesławie Gołasie, z którego odejściem wciąż nie mogę się oswoić. A przecież odejdą następni, odbierając mi po kawałku złudzenia, że coś może trwać dłużej niż chwilę.

Dobrego roku 2022!



JAN POSPESZALSKI

W natłoku przysięgających informacji dotyczących Kościoła (mam na myśli np. przegłosowanie przez amerykański episkopat dostępu do komunii św. dla polityków jawnie popierających aborcję czy dekonstrukcję zabytkowego wnętrza katedry Notre Dame, zatwierdzoną przez kurie Paryża) znalazłem wreszcie pozytywne przesłanie. Ponieważ Boże Narodzenie to czas dzielenia się radością i nadzieją, więc chcę się podzielić informacją o odkryciu ważnej książki, która zupełnie radosna chyba nie jest, ale na pewno promieniuje nadzieją. „Światło i Zaczyn. Odnova Kościoła której muszą dokonać wierni” to książka autorstwa odważnego kapłana, amerykańskiego biskupa Josepha Stricklanda, pasterza diecezji Tyler w Teksasie.

Na pierwszych stronach książki, z marszu, dostajemy mocny komunikat: bp Strickland opowiada o ciemnościach, jakie ogarnęły świat, o cywilizacji, która pogrążyła się w mroku i wzywa nas, by zamiast narzekać, że jest ciemno, zapalić choć jedną świecę. A tym światłem, tym płomykiem nadziei, według autora, musimy być my, wierni Kościoła. Musimy się dzielić Dobrą Nowiną, że Chrystus nie jest martwy. On zmartwychwstał i oferuje nam nowe życie. Jezus Chrystus jest Światłem tego świata i chce, abyśmy właśnie my świecili jego blaskiem.

Światło w mroku

„Nie chcę być częścią amorficznej, homogenicznej, skłonnej do kompromisów ludzkiej masy, która prawie w nic nie wierzy”

„Jeżeli odrzucamy Boga, nigdy nie zrozumiemy samych siebie” – pisze bp Strickland. Od razu poczułem się swojsko i bezpiecznie, bo przecież to wyraźne nawiązanie do pamiętnej homilii Jana Pawła II z czerwca 1979 r. Wtedy papież na pl. Zwycięstwa wołał: „Człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa. A raczej człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa”. Coraz rzadziej słyszymy z ust światowych hierarchów nawiązania do nauczania polskiego papieża. Zwłaszcza w kwestiach dotyczących rodziny i małżeństwa. A właśnie sprawie małżeństwa, rodziny, płciowości i seksualności bp Strickland poświęca sporo miejsca.

Autor nie skupia się na narzekaniu na moralny upadek świata. Owszem, zauważa deprawację elit, powszechną demoralizację czy nihilizm, który zatruił współczesną kulturę. Widzi też zło, które nie tylko przenika do wnętrza Kościoła, ale zdomowało się w nim na dobre. Jego diagnoza jest gorzka. Wspomina o sprawie kardynała McCarricka, o wynaturzeniach, jakie ujawniono na najwyższych szczytach kościelnej hierarchii. Ale nie poprzestaje na tym. Strickland wraca do tego co najważniejsze. Składa osobiste wyznanie wiary. Z odwagą i podniesionym czołem mówi o tym w prostych słowach. Jest coś urzekającego w tej prostocie. Coś bardzo przekonującego w przylgnięciu do zwykłych katechizmowych prawd. Strickland nie „ubogaca w sposób szczególny”, nie snuje teo-

logicznych, efekciarskich analiz, po prostu mówi: „Wierzę! Wierzę w Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego”. A mówi to z taką żarliwością i głębokim przekonaniem, że autentyczność jego świadectwa ma MOC! Ma siłę porównującego kerygmatu.

Zagłębiając się w „Światło i Zaczyn”, przypominam sobie pewien list teologów duchownych i świeckich z 2019 r. do biskupów Kościoła katolickiego, oskarżających papieża Franciszka o popełnienie przestępstwa kanonicznej herezji. List jest kontynuacją lub kolejnym krokiem po Correctio filialis z 2017 r. Te zarzuty nigdy nie doczekały się reakcji Stolicy Apostolskiej. Watykan nie ustosunkował się do zawartych tam, poważnie udokumentowanych i argumentowych oskarżeń. Wspominam o tym w kontekście książki Stricklanda, bo teksański biskup odnosi się do wielu z tych kwestii, ale robi to w duchu pozytywnym. Przypomina, jaka jest katolicka nauka. Z miłością do Kościoła i wielką troską afirmuje apostołski depozyt. „Nie chcę być częścią amorficznej, homogenicznej, skłonnej do kompromisów ludzkiej masy, która prawie w nic nie wierzy. Tego akurat na świecie jest mnóstwo. Gdyby Kościół był tylko jedną z wielu takich grup, chciałbym robić coś innego. Dopóki żyję, będę wierny Chrystusowi, który w założonym przez siebie Kościele oferuje odpoczynek niespokojnemu sercu każdego człowieka na świecie”. To dobra wiadomość i dobra książka, na Boże Narodzenie i nadchodzący nowy rok.

Sądy cenią (chronią) talenty

Do czynów, które muszą budzić sprzeciw społeczny, należy zaliczyć zniszczenie przez oskarżonego znaku drogowego poprzez wyrwanie z ziemi słupka metalowego, na którym był zawieszony, w celu użycia go jako narzędzia wobec uciekającej małżonki” – potępił jednoznacznie zachowanie znanego pisarza Bogdana Sarmata sędzia Jacek Dołężyński.

Jak już media wcześniej donosiły – wśród nich i nasz poczytny tygodnik – Bogdan Sarmat za zbyt agresywną postawę wobec własnej żony został przez Sąd Okręgowy w Warszawie skazany na grzywnę oraz dożywotni zakaz używania pojazdów mechanicznych w celach pościgu za żoną. Nasz reporter zdobył przygotowane przez przewodniczącego sądu sędziowskiego Jacka Dołężyńskiego pisemne uzasadnienie wyroku wydanego przed tygodniem. Oto jego obszernie fragmenty.

„Postępowanie oskarżonego nosi wszelkie znamiona określone jako stosowanie przemocy domowej. Chwilami mogło mieć nawet charakter stresogenny dla ofiary, bo noszący cechy brutalności. Należy do nich – w połączeniu z niewybrednymi okrzykami – wyrzucanie przez okno lub z tarasu, na szczęście do własnego basenu, zastawy stołowej, kompletu

kryształowych kieliszków, telewizorów – z salonu i kuchni. Oskarżony, wyprowadzony z równowagi, podejmował też wielokrotnie próby trafienia w uchylającą się sprytnie żonę, największą fajką z drogocennej kolekcji rękodzieła peruwiańskich Indian lub pantofli damskich firmy Casadei, gdzie jeden pantofel wart jest 2,5 tys. zł.

Na korzyść pisarza przemawia to, że nie był karany. Poza kilkoma odstępstwami – jak mówili świadkowie – starał się stosować do wcześniejszych z roku 2009 i 2014 pouczeń sądów, że nie wolno bić żony przy dzieciach.

Podejmując wyrok, sąd odrzucił elementy populistycznej nagonki na profesjonalne elity, artystów, aktorów, pisarzy, dziennikarzy. Oskarżony, jako wybitny utalentowany pisarz jest publicznym skarbem. W życiu prywatnym oskarżony popełnia błędy, ale nie rzutują one na wysoką jakość jego pisarstwa oraz prowadzonego w radio magazynu »Kafejka literacka«. Pochopną izolacją sami wyrządzilibyśmy sobie szkody, skazując się na mierności”.



Jerzy Jachowicz

REKLAMA

8-lecie WCN WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE

Najnowsza książka Érica Zemmoura do nabycia wyłącznie w świątecznej przedsprzedaży z prenumeratą miesięcznika „Wszystko co Najważniejsze”

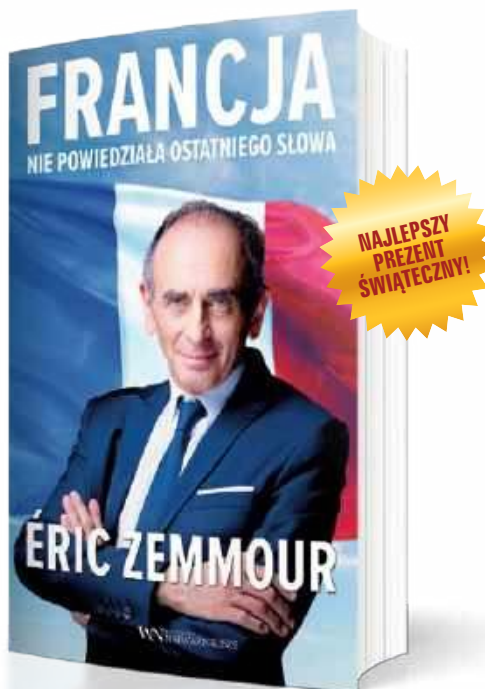
**Zrozumieć Francję.
Zrozumieć Europę.
Jeśli taki jest cel,
to tylko z tym Autorem.**

Eryk Mistewicz

Świąteczna promocja:

- 6 numerów miesięcznika + książka: **86 zł**
- 12 numerów miesięcznika + książka: **129 zł**

Zakup dla odbiorców w kraju: www.SklepIdei.pl/wcn | Zakup dla odbiorców za granicą: [infolinia +48 58 679 00 00](tel:+48586790000)



www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

A my ich tradycją!

To już druga Wigilia, kiedy należy zachować dystans pod jemiolą

Wyśmiewane niejednokrotnie i do rozpuku życzenia „zdrówka” nabrały nagle zupełnie innego znaczenia. Kiedyś zdawkowe i tchnące sztaampą, nagle stały się podstawą formułki przedświątecznej i świątecznej także, a do tego są przyprawione autentyczną troską. Zdewalowało się także niezwykle dowcipne: „zdrowia, zdrowia i jeszcze raz pieniędzy”. Realia COVID-19 zmieniły hierarchię. Nowa wersja brzmi: „pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz zdrowia”.



Ryszard Makowski

Komisja Europejska opublikowała listę słów i zwrotów, których nie powinno się używać. Wśród nich znalazło się „Boże Narodzenie”. Tak, tak... Boże Narodzenie okazało się określeniem niewłaściwym. Nawet za komuny nie hasano tak beztrudno. Owszem próbowano „Świętego Mikołaja” przemianować na „Dziadka Mroza”, ale na Boże Narodzenie nikt ręki nie odważył się podnieść. A teraz jakaś szemrana instytucja, przynajmniej według francuskiego dziennika „Libération”, który posądza to szlachetne grono 27 komisarzy o korupcję i handel wpływami, znalazła sobie zajęcie. Na razie zakazują słowa, a znając ich rozmach, wkrótce zakazą Bożego Narodzenia.

W kilku polskich miastach wydrukowano plakaty z życzeniami bez jakichkolwiek symboli chrześcijańskich. Za to w Warszawie umieszczono na takim plakacie osiem obelżywych gwiazdek. I to są życzenia od prezydenta Europejskiej.

W tych zawirowaniach na wielu płaszczyznach czasach naszym orężem są Wigilia i Boże Narodzenie. One porządkują napierający chaos. Siła i w Bożej, i w naszej rodzinie. Szanując tradycję, damy radę. I od serca, życzę zdrówka!

Michał Korsun prezentuje: Piotr Kraśko
– 6 lat bezkolizyjnej jazdy! Bez prawa jazdy.



Wycinki z przeszłości

Tygodnik „Kobieta w Świecie i Domu” z 15 grudnia 1938 r. tak radził ubierać choinkę: „Jeżeli są w domu małe dzieci, najmilszą dla nich będzie »słodka choinka«, czyli dużo jabłuszek, pierników i cukierków, a zabawki i łańcuchy w barwach żywych. Tam, gdzie są dzieci starsze, trzeba oddać całkowicie warsztat pracy w ich ręce, biorąc w niej udział i zachęcając do wytrwałości. Bardzo niedużym kosztem można ładnie ubrać choinkę, używając wyłącznie bibulek kolorowych i błyszczących papierów. Aby nasza choinka nie straciła polskiego charakteru, dobrze jest mieć w pamięci znakomite wzory ludowe”.

Przykład takiej ozdoby wykonanej z wyduszki zamieściła redakcja, a my ją reprodukowujemy. Choć dziś można kupić wszystko, własnoręcznie wykonane ozdoby dodadzą wyjątkowego charakteru choince.

(mk)



Bożonarodzeniowo



Leszek Długosz

Z Jerzym Liebertem złączyła mnie „Karczmajurgowska”. Zaśpiewałem ją także podczas jubileuszowego koncertu, w czerwcu tego roku, na 80. urodziny. Ze wzruszeniem i radością, wśród świątecznych porządków, powracam do chwil sprzed kilku miesięcy. Tak wiele serdeczności doznałem na okrągłą rocznicę urodzin – od przyjaciół moich i mojej twórczości, a pośród nich i od ważnych osób publicznych: prezydenta RP Andrzeja Dudy, premiera Jarosława Kaczyńskiego, premiera Piotra Glińskiego. Za bliskość i troskę bardzo dziękuję wszystkim, którzy w tym niezwykłym dla mnie roku dzielili się życzliwością.

Zaszczycony 11 listopada wstąpieniem do grona Kawalerów Orderu Orła Białego mogę tylko Bogu i ludziom wyrażać wdzięczność za wszystko. A w czasie, gdy w ostatnich tygodniach roku upomniała się o mnie choroba, po raz kolejny doznałem wzruszenia, odczuwając bezmiar życzliwości i wsparcia. Kłaniam się wszystkim Państwu wierszem wspomnianego poety. I radością, że tak często „wśród witających” można zobaczyć Człowieka!

Jerzy Liebert, „Pasterka”

*Ptaki niby dzwoneczkami cieszą się kołędą –
 Chrystus nam się narodził i nowe dni będą
 Do stajni Betlejemskiej aż do brzegów Wisły
 Z ptakami smukłe sarny dziwować się przyszyły.
 Wiewiórka zęby szczerzy i w niebo się patrzy,
 Jak dwa gołębie płyną na błękitnej tarczy.
 I kwiaty, choć to zima, czas mroźny i cichy.
 Niosą myrrę, kadzidło i złote kielichy.
 I pawie przyfrunęły z krajów cudzoziemskich,
 By swe pióra przyrównać do skrzydeł anielskich.
 A mały Chrystus smutny w drzwi patrzy i czeka,
 By wśród witających zobaczyć człowieka.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Złe światła

*Odlóżcie smartfony w święta, popatrzcie bliskim
w oczy, wsłuchajcie się w Radosną Nowinę,
w słowa starych polskich koled...*

rozsiadają się po kątach. Każdy osobno z laptopem na kolanach. Nawet gdy nie wzywa coś pilnego, to zawsze coś przykuje emocje, a może trzeba komuś odpisać na życzenia.

Młodzi ludzie zasypiają ze smartfonami i ze smartfonami się budzą. Dzięki podpięciu do sieci czują się na właściwym miejscu, nic im nie grozi, bo od ręki wszystko mogą znaleźć, sprawdzić, „pogadać”, powyzywać, pośmiać się i wiele innych rzeczy.

Wgapieni w sztuczny blask ekranu smartfona czy komputera przegapiamy nie tylko Boże Narodzenie.

ZŁO (W) SIECI

Te wszystkie gadżety nie miałyby takiej siły przyciągania, gdyby nie podpięcie do sieci. Toczy się już dyskusja na temat zła, które czai się w sieci, pułapek, których jest tam pełno; na temat złego wykorzystywania internetu.

Ale prawie w ogóle nie podnosi się kwestii *niebezpiecznej natury samej sieci*. Czyż struktura internetu nie jest tu kluczowa? Zasady działania, szybkość łączenia, sposoby wymuszania natychmiastowych reakcji, oczekiwania na ląki, filmiki, posty; na kolejny dowód, że świat o nas nie zapominał. To już działa systemowo – niewidoczne osaczenie z każdej strony. A może gdyby nie to perfidne oswajanie technologii, zaadaptowanie w naszej codzienności, to może zło nie czułoby się w internecie tak dobrze?

Internet miał być wspaniałym, przyjaznym miejscem komunikacji i zdobywania wiedzy. Miał być naszym triumfem cywilizacyjnym, a jednak komunikacja internetowa bywa upraszczana do granic możliwości i łatwo przybiera prymitywne oraz agresywne

formy. Zamiast wiedzy mamy informacyjny zgiełk, w którym trudno odróżnić treści wartościowe od zwykłych śmieci.

Jeszcze bardziej niż zło obecne *wewnątrz* sieci – spam, dezinformacje, oszustwa, wyłudzenia, stalking, hejt – relacje międzyludzkie *zatrzuca zło samej sieci*. Tego pozeracza i rozpraszcza naszej uwagi.

WŚRÓD NOCNEJ...

Czy w naszej technicznej cywilizacji jest jeszcze miejsce na Boże Narodzenie? Miejsce na Opowieść o Zbawicielu, który swoim nauczaniem, a potem śmiercią męczeńską sam jest Światłem i każdemu drogę ku Światłu pokazuje?

Coraz rzadziej w okresie adwentu spotyka się dzieci z lampionami zmierzające na roraty przez miasto, które przestało już być ciemne. Wielkie miasta nie śpią nocami, nocne kluby są pełne błysków. Nie ma już nocnej ciszy. Sztuczne światło daje poczucie bezpieczeństwa na ulicach.

Coraz częściej za to widać ludzi prowadzonych przez światło smartfona. Wcale nie chodzi o skądinąd użyteczny, GPS. Co z nami czynią rozmaite aplikacje „łączące” ludzi? „Napędzane” prądem radia, telewizory, komputery, tablety, smartfony dają zgiełk bodźców, które nie pozwalają naszym umysłom odetchnąć. Ekolodzy mówią nawet o zanieczyszczeniu światłem...

Jasność Prawdziwa nie pochodzi z techniki. Pochodzić może z naszej duchowości. Z miłości. Trzeba mieć odwagę poszukiwać jej samemu. Odlóżcie smartfony w święta, popatrzcie bliskim w oczy, wsłuchajcie się w Radosną Nowinę, w słowa starych polskich koled...

Katarzyna Zybortowicz

Ledwo zaczynamy dzień i nie wiadomo, kiedy znowu nadchodzi zmierzch, szybko przepoczwarczający się w ciemną noc. Gdy już mamy serdecznie dość tej nieprzyjemnej pogody, dni bezlitośnie krótkich, ciemnych, depresyjnych poranków, wtedy przychodzi święto Narodzenia Syna Bożego – Jezusa Chrystusa. W gęstniejący od tygodni mrok, w czas niepokoju, nie do końca zdefiniowanych obaw i lęków, które pewnie co roku na swój sposób przeżywamy, przychodzi światelko betlejemskie.

Zaraz, zaraz... coś tu nie gra.

SZKLANA POGODA

Starsi pewnie pamiętają nagrałą w roku 1983 przez zespół Lombard piosenkę „Szklana pogoda” – „Szyby niebieskie od telewizorów!”. Ale wtedy w domach był tylko jeden telewizor i rodzina zasiadała przed nim *razem*.

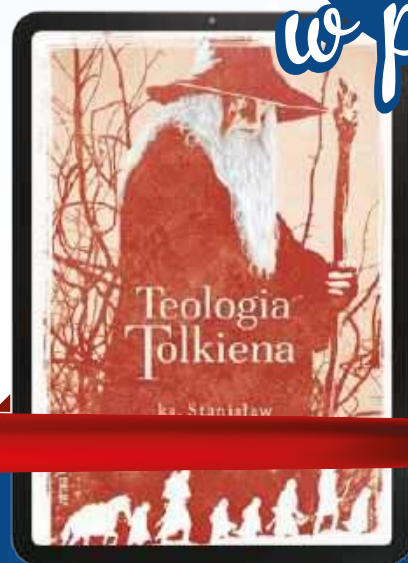
Polegam teraz na pamięci. Kilka lat temu Jan Pospieszalski w tekście o rodzinności świąt Bożego Narodzenia wspominał, że miła, serdeczna atmosfera wieczoru wigilijnego dość szybko się kończy. Ledwo co dobiega końca wieczera, a już członkowie rodziny odchodzą od wspólnego stołu,



Najlepszy pakiet e-prenumeraty

SIECI

3
e-booki
w prezencie



TEOLOGIA TOLKIENA

Ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbicieli teologii – dowiedzą się więcej o Bogu.



OJIEC WOLNYCH LUDZI

Wciągająca opowieść oparta na faktach z życia Prymasa Tysiąclecia. Książka jest lekturą uzupełniającą dla szkół średnich.



SZUSTA RANO

Książka motywator o. Adama Szustaka z inspirującymi myślami na każdy dzień nadchodzącego 2022 r. Najlepiej ją czytać przy porannej kawie!

Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl



ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



ORLEN

R A Z E M



Twoja przekąska wspiera potrzebujących

Bo wybierasz jedzenie, którego nadwyżkę
przekazujemy organizacjom dobroczynnym.
Dla dobra ludzi w potrzebie.

#zDbałościąoNaturę

